



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





BIBLIOTHEKA



14438/11

258
MARCEL DUPONT

S Z A B L E W G A R Ś C I

Bluzjerona Oleowska

8 Bataljonu Saperów

Nr. 3565

617

258

MARCEL DUPONT

SZABLE W GARŚĆ!

DZIESIEĆ BOJÓW KAWALERYJSKICH

Z PRZEDMOWĄ
GENERAŁA WEYGANDA

PRZEŁOŻYŁ
BOLESŁAW WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI



WARSZAWA 1935
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

32 w 1

PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE

28334/2



SPIS RZECZY.

Wstęp	VII
Słowo wstępne tłumacza	1
Szarża plutonu porucznika Roman pod Vance (7 sierpnia 1914)	5
Pluton 32 pułku dragonów pod Fraiture (8 sierpnia 1914)	13
Szarża porucznika Saison pod Mittersheim (19 sierpnia 1914)	19
Szarża szwadronu kapitana de la Taille pod Landres (22 sierpnia 1914)	30
Ostatni podjazd szwadronu porucznika Gironde (9–10 września 1914)	43
Pięć dni patrolowania na tyłach wojsk niemieckich	66
Rozpoznanie i szarża podporucznika Rozoy pod Chérisy (29 września 1914)	123
Szarża pod Chaudun (30 maja 1918)	140
Pierwszy szwadron 7 pułku huzarów pod Mareuil (22 sierpnia 1918)	151
Za przykładem Lasalle'a. Zdobycie Napluzy (21 września 1918)	158

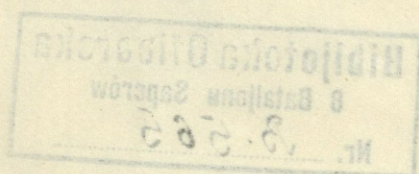
Biblioteka Oficerska

8 Batalionu Saperów

Nr. B. 565

SPIS RZECZY.

VII	Wstęp
I	Słowo wstępne tłumacza
2	Szara plutonowa porucznika Roman pod Vanc (7 sierpnia 1914)
12	Pluton 32 pułku dragonów pod Fraiture (8 sierpnia 1914)
19	Szara porucznika Szaron pod Minsheim (19 sierpnia 1914)
30	Szara szwadronu kapłana de la Taille pod Landries (22 sierpnia 1914)
42	Ostatni podjazd szwadronu porucznika Gronda (9-10 września 1914)
60	Pod dni bitewowania na tyłach wojsk niemieckich
125	Rozpoznanie i szara podporucznika Koroy pod Chérisy (29 września 1914)
140	Szara pod Chauden (30 maja 1918)
151	Pierwszy szwadron 7 pułku huzarów pod Marcul (22 sierpnia 1918)
152	Na przyskadek Lassie'a. Zdobycie Nabluz (21 września 1918)



WSTĘP.

Te opowiadania o dziesięciu utarczkach kawalerji podane są prosto, bez szukania efektów, ale zato z takim temperamentem, z takim uczuciem i taką troską o ścisłość, że się je czyta z zaciekawieniem równem wzruszeniu.

Po zapoznaniu się z ich bohaterami, z zadaniem, które każe im wystąpić z szeregów i będzie nicią przewodnią ich działania, rośnie serce, gdy się stwierdzi jak ściśle byli związani ze sobą w dokonaniu tych pięknych czynów wojennych oficerowie i szeregowcy, rośnie serce, gdy się przeżywa wraz z nimi ich niebezpieczeństwa, trudy, oraz decyzje i gdy się widzi wkońcu osiągnięte wyniki.

Czytelnik zamyka książkę z duszą upojoną zapachem licznych cnót: odwagi, pogardy niebezpieczeństw, karności, poczucia obowiązku, ducha poświęcenia i koleżeństwa.

Rycerskie to cnoty.

Zdobiły one kawalerję francuską podczas ostatniej wojny, tę kawalerję, która zawsze odpowiadała na apel dowództwa, a w chwilach najcięższych przełomów zasilila tysiącami oficerów innej broni.

Niechże troskliwie pielęgnuje kult i praktykę tych cnót, jakiekolwiek bowiem będą losy, które jej przyszłość gotuje, zawsze będzie istniała kawalerja, to znaczy broń szybsza od innych rodzajów wojska, a zadaniem jej będzie rozpoznanie, manewr i pościg. Przenoszona przez konie lub maszyny, znajdzie zawsze powodzenie w szybkości, w odwadze, w zaskoczeniu. Jej zadaniem będzie wykazanie ducha kawalerskiego, wraz ze wszystkimi zaletami tego ducha, jak: decyzja, lojalność, elegancja postawy i serca, a także rozmiłowanie w ryzyku.

Niechaj żyje w pamięci potomności szarża pod Chaudun!

General Weygand.

SŁOWO WSTĘPNE TŁUMACZA.

Wstęp do tłumaczenia książki, której oryginał szczyti się przed mową generała Weygand, dowódcy pułku huzarów w roku 1914, może słuszenie uchodzić za przysłowiowy drugi grzyb w barszczu i to w dodatku pospolity maślak po wytwornej truflu.

Nie piszę jednak tych słów w celu namaszczenia opowiadań Marcelego Dupont zachwalającym wiatykiem na ryzykowny bieg przez przeszkody półek księgarskich do rąk towarzyszków po kawaleryjskiej służbie i kolegów z innych rodzajów wojska, czy też przypadkowych ciekawskich cywilnego autoramentu, chcę natomiast, przetłumaczywszy tę książkę, wytłumaczyć się przed czytelnikami, dla czego podjąłem się pracy tak uciążliwej i niewdzięcznej dla człeka leniwego w piśmie.

Pierwszym tedy bodźcem w tym kierunku była mi chęć przekonania kolegów z innych broni, a przede wszystkim naszych dziarskich i drogich piechurów o pełnej wartości kawalerji, znajdującej niejednokrotną sposobność do pięknych i ważkich w skutkach występów nawet w wyjątkowo trudnych warunkach wielkiej wojny na zachodnim froncie, przy niezwykle natężeniu ognia wszelkiego rodzaju i ogromie środków technicznych. Mniej, znacznie mniej, zależy mi — wyznaję otwarcie — na przekonaniu owych kawiarnianych taktyków i strategów, co trawiać długie godziny na głędzeniu o przyszłej wojnie, widzą same flotylle powietrzne, nawałnice gazowe, korpusy i dywizje samochodów pancernych lub szybkobieżnych czołgów, jednym słowem tylko „na smokach wojska latające“ (jak śpiewają konfederaci barscy w „Księdzu Marku“ Słowackiego, jednak bez lęku przed temi złowrogami majakami, bo z wiarą, że na niebie, wyżej od podniebnych wrogów, „Bóg naszych Ojców jest jeszcze

nad nami"), nie mają jednak ni czasu, ni chęci do zaznajomienia się z wyteżoną pracą naszych wschodnich przyjaciół nad usprawnieniem ich licznej kawalerji, ani też nie zadają sobie trudu nad zapoznaniem się z opinią niemieckich sfer wojskowych w tej materji, wyrażoną jasno w dziele generała Brandta p. t. „Moderne Kavallerie“, gdzie kawalerja nazwana jest bronią przyszłości i gdzie między innemi mowa jest o użyciu wielkich mas kawalerji przeciw wschodniemu sąsiadowi Niemiec. Tym panom radzę jedynie, aby — na wszelki wypadek — poszukawszy starannie palcem na mapie, znaleźli wschodnich sąsiadów państwa niemieckiego.

Wprawdzie nasza zwycięska wojna z bolszewikami i nazwiska Dreszera, Rómmela, Skotnickiego, Plisowskiego, Głuchowskiego, Antka Jabłońskiego i t. d., obok nich zaś nazwisko niejakiego Budiennego, oraz pewnych niemiłych przeżyć z nim połączonych, mogłyby ludziom realnie myślącym dostarczyć sporo tematu do zdrowych wniosków o użyteczności kawalerji w naszych warunkach geograficznych i terenowych, z uwagi jednak na znane mi nazbyt dobre nastawienie psychiczne domoroślej opinji, postanowiłem nieco argumentów importować z Francji, wiadomo bowiem, że jak jedwabne pończoszki dla rodaczek, tak dla wielu rodaków myśli, tezy, zasady i doświadczenia, sprowadzone wprost z Paryża, mają większy powab i wartość.

Drugi czynnik, działający na mnie, był natury wybitnie sentymentalnej, nie potrzebuję zatem zapewniać, że na prawego kawalerzystę, powodującego się zawsze raczej odruchami serca niż zimną kalkulacją, wywarł on wpływ najsilniejszy.

Nie tailem nigdy i dziś przemilczeć nie chcę, że ze wszystkich znanych mi międzynarodówek najmilsza dla mnie jest i będzie do śmierci ta jedyna jawna, najlojalniejsza i ze wszystkich najszlachetniejsza, której zawołanie brzmi:

KAWALERZYŚCI WSZYSTKICH KRAJÓW I NARODÓW
ŁĄCZCIE SIĘ!

Łączcie się w czasie pokoju w gorącym umiłowaniu swej broni, w troskliwym pielęgnowaniu jej prastarych cnót, w służbie wzniosłych haseł, w tęsknocie do wzruszeń, których pragną nasze gorące serca, w hołdowaniu wszystkim rzeczom porywającym, poczynawszy od wielkich idei, a skończywszy na małych kobietkach; rozpanoszonemu dziś kramarstwu wbrew, łączcie się w szczodrości i rozrzutności serc, w upodobaniu do romantycznych gestów, choć obecnie cynizm uchodzi za szczyt wytworności, we wzajemnym szacunku i serdecznem

koleżeństwie, a nadto w tkliwym przywiązaniu do konia, naszego wier-
nego druha; łączcie się również zawsze w nieprzejednanej pogardzie
dla tchórzostwa, podłości, jadowitej głupoty, pospolitości i małości;
a w czasie wojny — cóż począć! — łączcie się w żołnierskiem, lojal-
nem skrzyżowaniu szabel i lanc, przy nieuniknionym — niestety —
natrętnym jazgocie karabinów maszynowych.

W myśl tego hasła pragnę więc, aby nazwiska naszych dzielnych
kolegów z bratniej kawalerji francuskiej, bohaterów tych prawdzi-
wych historyj, stały się w naszych szeregach znane, bliskie i drogie
narówni z naszymi czołowymi kawalerzystami, aby każdy nasz szwo-
leżer, ułan czy strzelec konny lub konny artylerzysta poznał i na-
uczył się cenić hart, wytrwałość, siłę woli i dowcip podporucznika
du Vigier i jego chwackich kompanów w patrolu na tyłach armji nie-
mieckiej, by dragon Duriez, który ranny i osamotniony otwiera ogień
na pluton nieprzyjacielskiej jazdy w celu powstrzymania pościgu za
garstką swoich, stał się postacią popularną w każdym naszym pułku
obok plutonowego Dumaine, pierwszego w szarży na artylerję nie-
przyjacielską, i tego sanitariusza, szarżującego bez broni na zwycięską
piechotę niemiecką pod Chaudun, w chęci dzielenia losu swych to-
warzyszów, gnających za swymi oficerami na pewną, zdawałoby się,
śmierć.

Wszyscy oni są naszymi najdroższymi kolegami, kochanymi krew-
niakami niejako, zasłużonymi w pracy nad sławą i glorią naszej wiel-
kiej i dumnej rodziny kawalerskiej.

Niechże będą dla nas, bez względu na szarżę czy funkcję, przykładem
sumiennego wykonywania naszych szczytnych obowiązków
i honorowej, a ofiarnej służby, oraz wzorem prawdziwego koleżeń-
stwa, cechującego naszą broń, jak przykładem jej ukochania jest Mar-
cel Dupont, autor tych opowieści.

Świetny biograf Murata i pierwszego huzara w świecie generała
Lasalle, mający w swym dorobku literackim cały szereg utworów,
szkiców pamiętnikarskich i powieści, a wśród nich wspaniały opis
bitwy pod Waterloo pod tytułem „La Garde meurt“, należy do rze-
du tych pisarzy, których pomija milczeniem światowa konspiracja
krytyków, zarażonych snobizmem pacyfistycznym i wstrętem do bo-
haterstwa. Nie szukając daleko, bo po drugiej stronie granicy fran-
cusko-niemieckiej podobny los spotyka takiego na przykład Karola
Benno von Mechow, autora powieści „Das Abenteuer“, prawdziwej
epopei, napisanej z większym realizmem, obiektywizmem prawdzi-

wie epickim, zwłaszcza zaś z większym talentem od tendencyjnego „Na zachodzie bez zmian“ Remarcka, tłumaczonego prawie na wszystkie języki.

Niechże tym pogrzebanym w mogile zdradzieckiego milczenia będzie pociechą świadomość, że debiutujący dziś Homer, zostałby w podobny sposób zaduszony przemilczeniem, lub przyjęty drwinami, a niejeden nasz krytyk warszawski białostocki, albo słonimski nazwałby go prawdopodobnie płatnym agentem fabrykantów broni.

Zostawmy jednak w spokoju tych ciasnych doktrynowiczów, którzy pewnie czasem roi się we łbach, jakoby to oni dopiero wymyślili błagalną modlitwę: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie“, sami zaś cieszymy się, że utalentowany i pełen temperamentu pisarz, kryjący się za tuzinkowym pseudonimem Duponta, jest naszym kolegą, rasowym kawalerzystą, kawalerzystą z wiary, z urodzenia, powołania i zamiłowania.

My, kawalerzyści, poznajemy się wzajemnie wlot, jak mrówki z jednego mrowiska, jak szczygły z jednego gaju, po jednym słowie, po jednym geście, po jednym spojrzeniu.

Nie może być dwóch zdań! Marcel Dupont należy do naszej konfraterni. Bez pudła.

SZARŻA PLUTONU PORUCZNIKA ROMAN POD VANCE

(7 sierpnia 1914).

Deszcz leje jak z cebra, pluszcząc na szosie i smagając liście gęstego lasu, przez który wiedzie droga z Bellefontaine do Chantemelle. Szwadron kapitana Lecomte z 2 pułku huzarów posuwa się stępem w strugach deszczu. Pochyleniem głowy starają się jeźdźcy ukryć twarze pod daszkami czak. Psi czas! Parszywy dzień, a zapowiadał się tak szczęśliwie! Meldunki donoszą o pojawieniu się kawalerji niemieckiej w okolicy Arlon, a 4 dywizja kawalerji dostała rozkaz maszerowania na Arlon! Cały pułk został wstrząśnięty dreszczem porwy. Nareszcie zmierzymy się z nimi! Pułk Chamborand będzie miał sposobność do powtórzenia czynów swych przodków! Lecz pod strugami ulewy, która siecze twarze, mrozi ciała i usztywnia odzież, huzarzy tracą nadzieję, że będą mogli rąbać naodlew szabliskami i rzucać się na nieprzyjaciela w szalonym galopie, w pełnym cwale, upajającym serce.

Na szpicy straży przedniej porucznik Roman czujny i baczny towarzyszy szperaczom, dozorując ich zarazem. Cholerne zadanie! Deszcz oślepia, powietrze zamglone, a okolica wymarzona do zasadzek; wsie nieprawdopodobnie rozciągnięte, domy porozrzucane na prawo i na lewo, otoczone sadami i płotami wysokimi a gęstymi. Lasy ciągną się bez końca, a trzeba je przejść od brzegu do brzegu pod grozą głębokich gąszczów, obramujących drogę z obu stron. Do Arlon zaś najwyżej jeszcze jakieś dwanaście kilometrów!

Szwadron Lecomte'a jest strażą boczną dywizji, posuwającej się gościńcem o trzy kilometry na lewo i liczącej na oczy, któremi się

otoczyła dokoła, aby ją chroniły od niespodzianek ze strony nieprzyjaciela. Nie wolno zawieść jej zaufania, a więc przede wszystkim nie można dać się samemu zaskoczyć. Tymczasem mieszkańcy na progach swych domostw mają miny przerażone. Pachnie to sakramencko bigosem! Och! Zapewne, wypytywani udają zuchów, twierdząc, że Niemcy są jeszcze daleko. Niemniej jednak widziano oddział cyklistów w mundurach „feldgrau“, kręcących się na wszystkie strony z zapytaniem, czy niema w pobliżu Francuzów. Wszystko to razem zapowiada możliwość natychmiastowego spotkania. Baczność przed zasadzkami!

Oto nareszcie skraj lasu Etalle. Deszcz się zmniejsza, widok staje się głębszy. W środku jakgdyby obszernej polany wioska Chantemelle sterczy swemi sadami, płotami i niskimi domkami. W okamgnieniu wieś jest otoczona, przeszukana i minięta przez szperaczy. Ani śladu nieprzyjaciela. Nie pozostaje nic innego, jak ruszyć na wzniesienie widoczne naprzeciwko i przygotować się do rozpoznania nowej przeszkody, rozciągającej się woddali, lasu Vance.

Lecz czoło szwadronu zatrzymało się u wejścia do Chantemelle i kapitan Lecomte przyzywa do siebie porucznika Roman. Zaznaja mia go szczegółowo z położeniem:

— Siły główne dywizji zatrzymały się na zachód od Vance na dłuższy odpoczynek. Skraj tej wsi jest obsadzony przez kolarzy. W Chantemelle zostawiam pluton porucznika Houssiaux z zadaniem osłaniania postoju dywizji od południa. Pan ze swym plutonem przesunie się poza drogę do Virton do grupy zabudowań, oznaczonych na mapie jako przysiółek Vance. Stamtąd będzie pan miał wgląd na zachodni skraj lasu, ciągnącego się aż do Arlon. Niech się pan postara partjami nakarmić ludzi i konie. Ale czuj duch! Jesteśmy prawie w styczności.

Porucznik galopem dopędza swój pluton. Najpierw będzie musiał przeskoczyć przez drogę z Virton do Vance. Droga ta, prostopadła do szosy, po której się posuwa dywizja, biegnie między dwiema wyniosłościami terenu, gdzie leżą z jednej strony wieś Chantemelle, z drugiej zaś przysiółek, zwany przedmieściem Vance. Pluton chyżo przeskakuje przez drogę z Virton i wychodzi na przeciwległe wzniesienie. Zagrody przysiółka są wolne od nieprzyjaciela, a mieszkańcy oświadczają, że nie widzieli ani jednego Niemca. Doskonale!

Pozycja jest dobra. Na przodzie, od wschodu do południowego wschodu, w odległości około półtora kilometra ciągnie się półkolem

skraj lasu Vance. W odległości kilometra na północ u stóp wzniesienia bieje droga do Arlon, w kierunku równoległym do biegu rzeczki Semois. Wtyle mały dopływ Semois okrąża wzniesienie, gdzie zatrzymał się pluton. Widok jest wyśmienity na kierunek, skąd jest sygnalizowany nieprzyjaciel.

Porucznik Roman natychmiast wydaje rozkazy, dotyczące się ubezpieczenia. Podczas gdy część plutonu będzie się posilała pod osłoną domów, jedna drużyna zostanie rozrzucona podwójnymi czujkami w odległości 500 metrów naprzeciwko lasu z zadaniem obserwowania zagrożonego kierunku, druga zaś będzie gotowa do walki pieszej. Ludzie i konie, po zaspokojeniu głodu, zlużują pełniących służbę, tak więc w ciągu trzech kwadransów cały pluton będzie gotów do dalszej drogi.

Podczas gdy konie z owsiakami na pyskach żują owies, a ludzie spożywają zimny posiłek, porucznik Roman wraz z podoficerem wachmistrem Vindreau obserwują okolicę, racząc się przytem kromką chleba i zimnem mięsem, wydobytemi z juków.

Z miejsca, gdzie się znajdują, widzą świetnie gęsty skraj lasu Vance. Widoczne jest, że drobny oddział kawalerji mógłby się przeslizgnąć niepostrzeżenie przez dwie drogi polne, które przezeń przechodzą. Lecz mały strumień, otaczający wzniesienie od zachodu, przedstawiałby dla napastników przeszkodę prawie nie do przebycia. Aby przedostać się na drogę z Vitron, a stamtąd na drogę do Arlon, musieliby przejść przez przedmieście Vance. Kilka karabinów dobrze rozmieszczonych wystarczyłoby do przytrzymania ich dostatecznie długo, aby mieć czas na zawiadomienie szwadronu i dywizji, stojących wtyle. Stwierdzenie tego uspokajającego stanu rzeczy pozwala oficerowi i wachmistrzowi z apetytem zajadać skromny posiłek.

Nagle jeden huzar z czujek, wystawionych w kierunku południowo-wschodnim, nadciąga galopem.

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, jacyś jeźdźcy zbliżają się drogą, leżącą za nami.

— Jeźdźcy?... jacy jeźdźcy.

— Melduję posłusznie, nie mogliśmy rozpoznać, bo deszcz oczy zalewa.

Porucznik ze swym podoficerem śpieszą na południową stronę wsi z lornetkami przy oczach starają się odgadnąć, z kim mają do czynienia. Istotnie, jakiś oddział konnicy w sile mniej więcej szwadronu posuwa się w kierunku Vance, lecz z powodu deszczu, który za-

czyna padać z podwójną gwałtownością, niesposób rozróżnić mundurów kawalerzystów. Jakże jednak przypuścić obecność Niemców, maszerujących tak spokojnie w samym środku strefy, zajętej przez kawalerję francuską. Oddział ów wyprzedza wprawdzie kilku szperaczy, lecz jadą oni w bardzo bliskiej odległości od jego czoła. Robią wrażenie oddziału ćwiczącego beztrząsowo służbę polową. Bez wątplenia szwadron, wysłany z dywizji na flankę, wraca do swego pułku do Vance po spełnieniu swego zadania.

Niemniej przeto oficer nie spuszcza z oka natrętów. Są już nie dalej jak 300 metrów. Co to znaczy.... Mundury ich nie francuskie... Nie są jednak także koloru „feldgrau“... mają na sobie bluzy zielone... Ależ, do licha! Przecież to mimo wszystko Niemcy!

— Do koni!... Do koni!

Czujki doskakują galopem, owsiaki zostają zdarte z końskich łbów szybciej, niż można tę czynność opisać, i błyskawicznie ludzie są na siodłach z lancami w dłoniach. Lecz już za późno! Nie można dołączyć do reszty szwadronu. Trzebaby na to mieć czas do przebycia drogi z Virton, o czym nawet marzyć nie można — znaczyłoby to narazić się na szarżę z boku przez cały szwadron nieprzyjacielski. Więc w rezultacie pluton zostanie odcięty od dywizji!... Gorzej jeszcze! Niemcy spostrzegłszy mały oddziałek, osamotniony na tem wzgórzu, z pewnością będą się starali otoczyć go i zniszczyć. Położenie jest istotnie zatrważające.

Lecz pan porucznik nie traci zimnej krwi. Jeśli nieprzyjaciel go zaatakuje, ruszy na jego spotkanie i za wszelką cenę przebiję się przezzeń. Huzary pułku Chamborand nie takich dokazywali sztuki! Z tem wszystkiem szwadron nieprzyjacielski wygląda, jakby wcale nań nie zwracał uwagi. Powolutku, truchcikiem obchodzi wzgórze i zdąża do wsi Vance. Ależ w takim razie wpadnie pod ogień cyklistów. Pogratulować im dobrego celu!

Pluton w bojowym szyku i w gotowości do działania stoi, jako takoukryty za wzniesieniem. Sam dowódca podsunął się ku szczytowi i śledzi marsz niemieckiego szwadronu. Nie wątpi, że ujrzy go dziesiątkowanym przez ogień cyklistów. Jego dowódca jest widocznie przekonany o nieobecności w pobliżu oddziałów nieprzyjaciela, gdyż szperaczom swym nie daje nawet czasu na przeszukanie wsi Vance. Pewny siebie prowadzi swój marsz równym i drobnym kłusem.

W pewnej chwili z nieprawdopodobną szybkością rozwija się dramat. Na skraju wsi wybucha nagle strzelanina. Ludzie i konie padają.

a szwadron wraży ucieka wściekłym chodem, skręca na prawo i znika jak zawierucha na szosie w kierunku Arlon. Cała historia trwała мгновение oka, a na placu zostało tylko kilka kulejących koni i kilka ludzkich ciał, rozciągniętych na ziemi. Strzelanie na wojnie wygląda zupełnie inaczej niż na poligonie. Porucznik Roman spodziewał się, ujrzeć na ziemi przynajmniej połowę szwadronu, który tymczasem stracił zaledwie kilku żołnierzy. Marny wynik! A przytem jaki zawód, że się samemu nie przyłożyło ręki do porażki nieprzyjaciela!

W każdym razie nauczka jest niezła. Należy się strzec nie tylko z przodu, ale także z tyłu. Natychmiast więc porucznik otacza osiedle łańcuchem podwójnych czujek.

Mądra przezorność!

Prawie w tej samej chwili nadlatuje wyciągniętym galopem huzar Barbaza z czujki, wystawionej w kierunku szosy.

— Panie poruczniku, „oni“ powrócili przez las i formują się obecnie naprzeciw wsi.

Porucznik, zdawszy pośpiesznie dowództwo wachmistrzowi Vin-dreau, dopada cwałem drugiego członka czujki huzara Couteny, który pozostał na obserwacji. Istotnie widzi szwadron niemiecki, jak po przemyczeniu się przez lasy w małym zagłębieniu terenu kończy szykowanie się w kolumnę plutonów. Widocznie jego dowódca, otrząsnąwszy się z pierwszego wzruszenia, postanowił zdać sobie sprawę z siły oddziału, na który się natknął. Nie powraca się do swego pułku, mając jako jedyny sukces o kilku ludzi oraz o kilka koni mniej, a nadto świadomość, że manewrowało się jak dziecko.

Sposobność jest zbyt piękna, aby porucznik Roman pozwolił się jej wymknąć. Jednym tchem dopada plutonu. Szabla jego sama wypada z pochwy. Zrozumieli go wszyscy. Brak wprawdzie czterech ludzi, rozproszonych na czujki, wschodnią i południową. Mniejsza z tem! Obejdzie się bez nich. Każda minuta zwłoki może zmarnować najodpowiedniejszą chwilę. Najpierw klusem, a później galopem pluton rusza w kierunku nieprzyjaciela.

Nigdy chyba oddział nie czuł się tak zespolony, nigdy dowódca nie cieszył się takim pełnem zaufaniem swych ludzi i nigdy kawalerzyści nie gнали do szarży z taką radością i z takim zapalem. Pierwsza szarża! Chwila tak długo oczekiwana, wytestniona! Gest oddawna upragniony, wyuczony, wyczuty!

Pluton galopuje przez łan dojrzałego zboża, tak poprawnie wyrównany za swym dowódcą, jak podczas musztry. Wachmistrz Vin-dreau, za frontem, powtarza niby podczas ćwiczenia:

— Równaj!... Lance do boju!

Na szczęście deszcz przestał padać. Teraz szwadron jest widoczny jak na dłoni, żadna zasłona nie dzieli ludzi, którzy chcą lojalnie skrzyżować żelazo. Każdy może przed starciem wręcz wybrać sobie przeciwnika, szukać jego spojrzenia, mierzyć jego odwagę i siłę.

W szeregach szwadronu również spostrzeżono mały oddziałek, mknący ku nim. Zaledwie pięćset metrów ich dzieli. Ramię niemieckiego rotmistrza podnosi się w rozkazującym geście. On sam rzuca się w kierunku napastników. Cztery plutony ruszają za nim, lecz bez wielkiego zapалу i w pewnym nieporządku. Widać z tej strony wahanie, niepewność, brak zwartości i zapалу.

Spostrzegł to wszystko porucznik Roman.

Instynktem w okamgnieniu wyczuł własną siłę. Przy liczebnej słabości ma za sobą bezsporną przewagę moralną! Naprzód! Teraz trzeba tylko walić na całego.

— Marsz — marsz! Hura! ryczy za jego plecami dwudziestu huzarów, co sił w płucach. Każdy z nich bodzie konia ostrogami i pochyla się ku końskiej szyi. Porucznik Roman gna wprost na dowódcę nieprzyjacielskiego szwadronu. Ten niezręcznie puszcza rewolwer, który trzymał w garści, aby wydobyć szablę z pochwy. Roman nie daje mu na to czasu. Pchnięciem szabli przebija mu gardziel i zwała z konia. Jednocześnie zaczyna się wściekła rąbanina. Trwa krótko.

Jeden przeciwko czterem nasi huzarzy dokazują cudów waleczności. Lance i szable szczękają wśród razów i pchnięć. Jakiś strzelec nieprzyjacielski ostrzem szabli godzi w plecy francuskiego oficera, trębacz Pinaud rzuca się nań i, odparowawszy pchnięcie lancy innego Niemca, aż po jelec wbija szablę w pierś tego, który zagrażał porucznikowi. Niemiec pada zabity.

Przez pewną chwilę miejsce spotkania przedstawia niezwykle widok jakby karuzelu, gdzie konie woltują, mijają się i zderzają. Pojedynczy jeźdźcy wybiegają z kotłowiska, by, wzięwszy rozpęd, zanurzyć się w niem z lancą do boju. Spieszeni kawalerzyści umykają co sił w nogach ku lasowi, szukając w nim schroniska; ranni, ociekający krwią, wloką się przez zboże, aby uniknąć końskich kopyt.

Kapralowi Godin, ranionemu poprzednio cięciem szabli w udo, kula rewolwerowa przeszywa ramię. Musi się wycofać z walki. Huzar Beauvais, ranny dwukrotnie lancą w pierś, spada z konia, ale ma jeszcze dość siły, aby się wydobyć z zamieszania; jego kolega Brot ma szyję przebitą kulą i, zalany krwią, musi przerwać walkę. Canteny również dostaje kulą w szczękę.

Dzielny trębacz Pinaud nie przestaje rąbać na prawo i lewo. Na nieszczęście, w chwili gdy się zamierza na jednego ze strzelców, otrzymuje dwa pchnięcia lancą od dwu innych przeciwników. Nic sobie z tego nie robiąc, w dalszym ciągu zaciekle młynkuje swem szabliskiem. Lecz klacz jego, trafiona kulą rewolwerową w sam środek czoła, pada i przywala go sobą. Przezornie, leżąc bez ruchu, udaje nieboszczyka, mimo czego jakiś Niemiec dźga go lancą w łędźwie. Lecz za jednego powalonego huzara czterech Niemców całuje ziemię. Tak zawzięcie walczą nasze zuchy.

Już Niemcy zaprzestają oporu i zaczynają uciekać do lasu. Porucznik zdaje sobie sprawę, że wygrana jest po jego stronie. Stara się więc zebrać swych ludzi, by przyspieszyć klęskę wroga.

Osobiście rzuca się w pościg za uciekającymi z okrzykiem:

— Do mnie huzarzy!

Po jego głosie huzarzy poznają, że są zwycięzcami. W szeregach niemieckich panuje głuche milczenie. Kilku z determinacją stara się bronić, lecz większość umyka w stronę lasu.

Prac w kupę porucznik Roman galopuje między zadami końskimi dwóch uciekinierów. Jednego z nich przeszywa sztychem w plecy. Zamierza się do zgotowania podobnego losu drugiemu, lecz gdy ten nagle się odwraca, widzi lufę rewolweru skierowaną do siebie. Słyszy krótki huk. W gruncie rzeczy drobnostka: ma wrażenie, że co najwyżej otrzymał mocne uderzenie kułakiem. Naprzód! Lecz prawie w tej samej chwili doznaje strasznego wrażenia: brak mu tchu; chce pałasz utrzymać w linji, lecz ramię opada mu bezwładnie; nie ma już nawet siły do ściśnięcia garści i broń wypada mu z ręki, zawisnąwszy tylko na temblaku. Kula przeszła go nawylot.

Ogarnia go obawa, że spadnie z konia. Jakie wrażenie wyrze jego upadek na junakach, walczących pod jego rozkazami? Na szczęście szwadron niemiecki rozsypał się na mnóstwo małych grup, a za każdą gna kilku huzarów, rąbiąc siarczyście. Na najliczniejszą grupę naciska gwałtownie wachmistrz Vindreau na czele kilku żołnierzy.

Trzymając się kurczowo łęku siodła, oficer pozwala się wynieść koniowi i stara się ukryć swe osłabienie. Nagle jakaś postać wyłania się ze zboża, w którym była ukryta. Jest to jakiś podoficer czy też oficer niemiecki. Podnosi rewolwer, celuje, strzela. Tym razem koń porucznika dostaje kulę w szyję.

Koń oszalały z bólu rzuca się w bok, zawraca i wyciągniętym galopem unosi porucznika Romana ku przedmieściu Vance, gdzie go

chwyatają czujki. Na szczęście huzarzy w gorączce walki nic nie spostrzegli. Pościg trwa daleko poza lasy pod dowództwem wachmistrza Vindreau.

Powraca on dopiero późnym wieczorem, przyprowadzając piętnaście zdobycznych koni i dwóch jeńców, należących do siódmego pułku strzelców konnych. W tem wspaniałem spotkaniu plutonu ze szwadronem mieliśmy jedenastu rannych. Sześciu, między nimi porucznik Roman, rażonych kulą, pięciu skłutych lancami. Mieliśmy prócz tego trzy konie zabite, a pięć rannych.

Straty niemieckie były co najmniej trzy razy większe. Nie można było ich ściśle obliczyć, ponieważ pluton tego samego wieczora musiał opuścić Vance. Lecz miejsce spotkania było usłane ciałami rannych i zabitych.

PLUTON 32 PUŁKU DRAGONÓW POD FRAITURE

(8 sierpnia 1914).

Wszystkimi drogami, wiodącymi od rzeki Leusse do Liège, ciągną powoli zmordowane pułki korpusu kawalerji Sordet'a. W ciągu czterech dni odwały zgórą 250 kilometrów prawie bez odpoczynku. Upał podzwrotnikowy; ani śladu najłżejszego nawet wietrzyka. Słońce chyli się ku zachodowi, żarząc się jak piec hutniczy. Czy dotrą przed wieczorem do twierdzy? Od czasu do czasu dochodzi odgłos dalekich grzmotów: to strzały fortów, dokoła których pierścien niemieckiego uścisku zacieśnia się z każdą godziną.

Podjazdy i patrole, zdwojone od świtu, nadsyłają znamienne wiadomości. Kraj na płaszczyźnie, leżącej na południowozachód od Liège, jest usiany patrolami nieprzyjacielskimi. Dnia poprzedniego stwierdzono wielkie masy kawalerji, które, zdaje się, szły ku rzece Meuse między Dinant, a Namur. Czyż wreszcie nastąpi zetknięcie z jazdą niemiecką? Od 6 sierpnia marzy o niem każdy kawalerzysta korpusu Sordet'a. Nadzieja rośnie w rozedrganych sercach. W zapomnienie poszedł ból znużonych członków, zapomniany już pot, ściekający po czołach i grzbietach, nikt nie myśli o pragnieniu, które wysusza język i dotkliwie pali gardło. Ach! Szarża! Szarżować w upojnym cwale, z okrzykiem groźnym, z szablą wzniesioną nad głowę, podobnie jak przed wiekiem olbrzymy napoleońskie za trzciną Murata, za lśniącem pałaszem Nansouty czy Hautpoula, za krzywą szablą Lassalle'a lub Kellermanna. Czyż ziści się ten sen, od przeszło czterdziestu lat pieszczony przez wszystkich kawalerzystów francuskich.

W środku maszeruje 1. dywizja ze strażą przednią, składającą się z 27 pułku dragonów i dwóch szwadronów 32 pułku pod rozkazami majora Gassera. Na czele tej straży szwadron kapitana Mazeline. Po-

suwa się on ostrożnie, wysyłając na flanki szperaczy, przeszukując każdą zaslonę terenową. Okolica jest bowiem lekko górzysta i pokryta laskami oraz gaikami, nadającymi się do zasadzek. Dochodzi godzina siódma wieczorem.

20 kilometrów dzieli jeszcze siły główne dywizji od Liège. Konie są wypompowane do ostatka, wiele jest odsednionych, podkowy zdarte do żywego rogu.

Należałoby się zatrzymać, aby odpocząć i w miarę możliwości napić konie. Czyżby się nie udało osiągnąć tak bliskiego już celu? Szwadron Mazeline'a minął miasteczko Seny i, baczny na wszystko, wysłał dokoła szperaczy w celu ubezpieczenia postoju.

Ledwo kapitan Mazeline zdążył rozstawić swe posterunki ubezpieczające, gdy nagle rozlegają się strzały. Padają one dość daleko, na lewo od drogi, z miejsca, gdzie lasy graniczą z łąkami i ścierniskami. Ludzie znieruchomieni nasłuchują i wytrzeszczają oczy w kierunku, skąd, zdaje się, dolatują strzały. Nareszcie! Może nadeszła chwila zmierzenia się z wrogiem. Są to pierwsze strzały karabinowe, jakie usłyszeli żołnierze korpusu kawalerji od chwili, kiedy został zorganizowany do wyruszenia w pole. Leciutki dresczyk, który łaskocze grzbiety wobec powiewu śmierci, mimo wszystko przebiega ludzi.

Oficerowie już są na siodłach.

Lecz oto i nowiny. Dwóch szperaczy nadlatuje galopem od strony lasu, położonego na zachodzie. Wywijają znacząco lancami: jeden z nich ma grzywę na kasku, do połowy urwaną przez kulę. Z chwilą gdy się znaleźli na odległość głosu, wrzeszczą:

— Oni są tam!... Oni są tam!...

Spokojnie pułkownik Boissieu przywołuje ich i każe sobie wyjaśnić położenie. Dwaj dragoni natknęli się na spieszony pluton, ukryty w kępie drzew. Nie dostrzegli w pobliżu żadnego większego oddziału. Patrol?... Placówka?... Mniejsza o to. Rzecz w tem, by znieść ten pluton, wziąć jeńców, dzięki nim zaś określić ściśle zamiary przeciwnika.

Major Gasser niezwłocznie wydaje rozkazy. Nakazuje najpierw porucznikowi de Cailleux przesunąć się szybko przez pola w kierunku zachodnim w celu zaatakowania oddziału nieprzyjacielskiego od południa, poczem przywołuje porucznika Gonse.

— Rznij pan prosto drogą do Liège. Jeżeli wymkną się pańskiemu koledze, niewątpliwie będą się starali przemknąć tamtędy. W ten

sposób dostaną się między pana a Cailleux. Zjedzą diabła, jeśli kilku z nich nie zostanie w naszych rękach.

Porucznik Gonse rozkazuje plutonowemu Hiboust wsadzić ludzi na koń i przyprowadzić ich kłusem jak najprędzej. Sam zaś skoczy naprzód, aby rozpoznać teren i zorientować się w możliwościach walki konnej. To powiedziawszy, rusza galopem i co tchu dopada pierwszego wzniesienia, przez jakie prowadzi droga. Tam się zatrzymuje i bada okolicę. Przed nim w odległości 1500 kroków mniej więcej leży miasteczko Fraiture: domy, otoczone ogrodami i sadami, grupują się po obu stronach drogi. Jeżeli Niemcy chcą osiągnąć Liège, będą się starali ominąć tę miejscowość. Należy tedy jak najszybciej wysunąć się poza nią. Późniejsze działania będą zależały od okoliczności.

Skoro tylko dołączył się do niego pluton, oficer kieruje go galopem w stronę Fraiture. Trzeba się śpieszyć, bo każda stracona minuta może dać Niemcom możność wymknięcia się. Porucznik Gonse osobiście rusza naprzód z dwoma szperaczami szpicy. Dotarłszy do pierwszych zabudowań, zwalnia tempo. Cisza i pustka zupełna. Miasto wygląda jak wymarłe. Mieszkańcy pod wpływem strachu ukryli się w domach, zaparliśmy szczelnie drzwi i okiennice. Znalazł się jednak taki okaz, który, stojąc na progu swego domu, rozgląda się ostrożnie dokoła. Wypytywany przez oficera, objaśnia go, jak umie. Tak jest, widziano jeźdźców niemieckich, kręcących się na północ od miasteczka. Trzeba tylko maszerować w dalszym ciągu prosto gościńcem.

Już pluton dogania swego dowódcę, który każe obnażyć szable i lance wziąć na uda. Wstrząsająca chwila. Dragoni zwarci ze sobą ściśle, z bronią mocno dzierzoną w garści, stanowią nierozzerwalną całość ze swym dowódcą. Wszyscy mają wycucie spoistości i nierozzerwalności swych szeregów; nie wątpią o swej sile: o sile naprężonych mięśni, o sile duszy, płonącej chęcią zwycięstwa i miłością ojczyzny. Niema mocy zdolnej w tej chwili ostudzić ich zapal oraz ich pragnienie spełnienia za wszelką cenę obowiązku żołnierzy i Francuzów.

Porucznik Gonse zrozumiał odrazu ten nastrój. Doskonale. Poleca plutonowemu Hiboust kłusem doprowadzić oddział do północnego skraju Fraiture, sam zaś galopem dogania swych przednich szperaczy. Należy działać przezornie, nie pokazywać się za wcześnie, aby zachować dla siebie przewagę niespodziewanego natarcia.



Nagle, w chwili gdy pluton dochodzi do skrzyżowania gościńca z drogą, wiodącą od zachodu, jakaś dzielna Belgijka wybiega ze swego domku i, wskazując na kierunek, w którym się oddalił porucznik, krzyczy:

— Nie tędy... Nie tędy!...

Hiboust przechodzi w stępa.

— Gdzież oni są?

— Wszyscy pojechali w tamtą stronę!

I wskazuje na drogę, wiodącą w lewo, ku lasowi.

— Ilu ich?

— Dwudziestu pięciu... może trzydziestu.

Plutonowy zatrzymuje się na sekundę, rzuca okiem na drogę, która się ciągnie prosto między łąką a ścierniskiem. I oto co widzi! W odległości kilkuset metrów, rysując się wyraźnie na zielonem tle lasu, stoi pluton kawalerzystów w mundurach „feldgrau“, z lancami na udach; przed nim oficer z lornetką przy oczach bada, jak się zdaje, kierunek do Sëny.

Hiboust się nie namyśla. Na wroga!... Woła więc na dragona, stojącego tuż za nim:

— Galopem!... Zamelduj porucznikowi, że oni są tam. Stają do nich frontem.

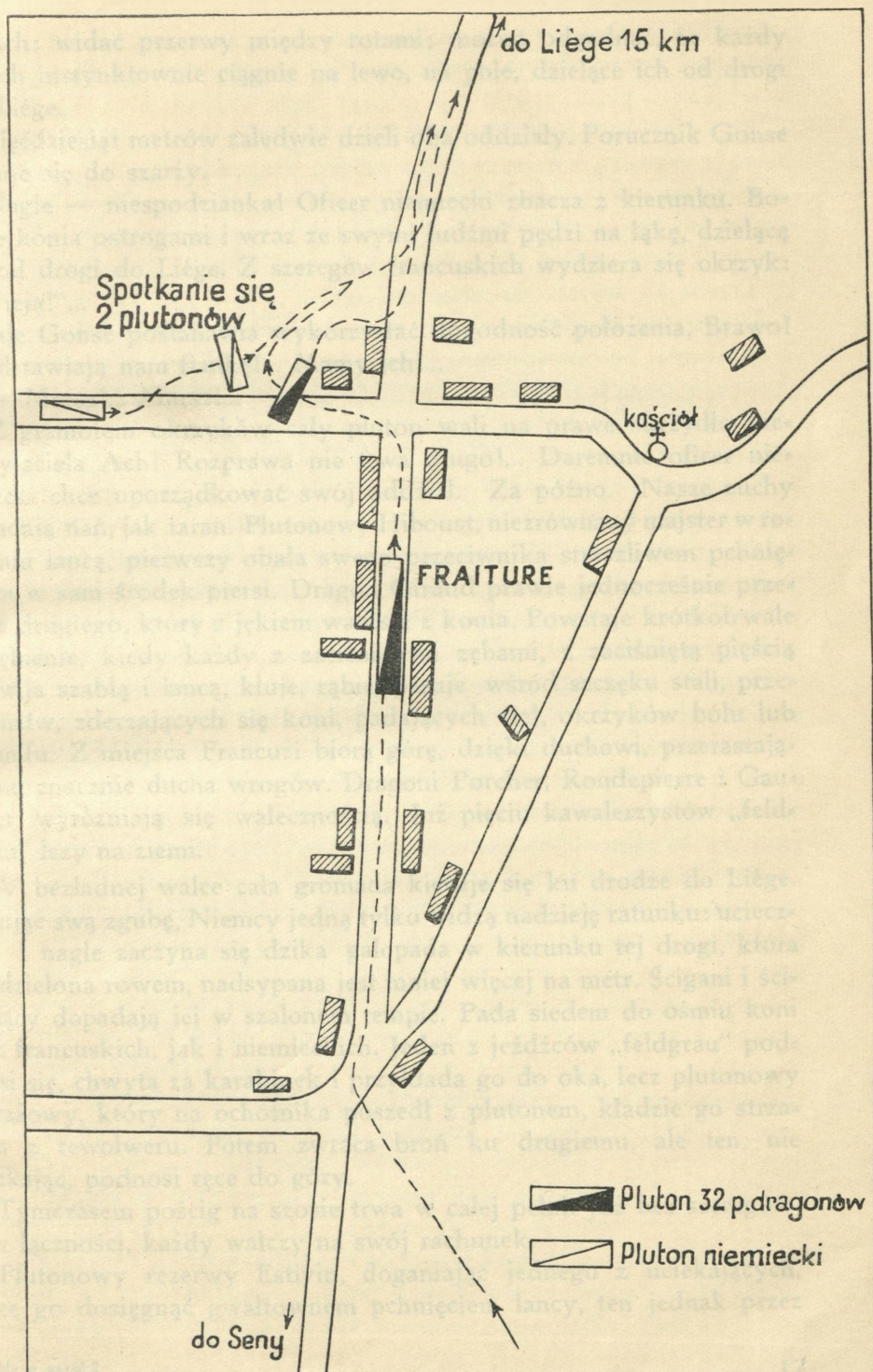
Nie zdążył skończyć, a dragon już rwał do porucznika, żgając konia ostrogami. Plutonowy tymczasem robi na lewo front i rozwija pluton do boju. Dwadzieścia par oczu wpija się we wroga, dwadzieścia serc drży ze wzruszenia, lecz wzruszenie to radosne. Nareszcie!

Pełnym cwałem powraca porucznik ze szperaczami i zajmuje swoje miejsce na czele oddziału. Rozważnie, drobnym kłusem rusza z plutonem, aby do ostatniej chwili mieć w rękach zwartą całość.

Tymczasem Niemcy dostrzegli pluton, wychodzący z miasteczka. Natychmiast stają doń frontem i ruszają na jego spotkanie Czyż zdarzenie nastąpi na drodze?

Dragon, kłusujący za swym oficerem, z trudem panują nad sobą. Porucznik Gonse słyszy szept ich stłumionych okrzyków: „Naprzód!... Naprzód!... Na nich!“... Konie zaczynają się denerwować, przechodzić w galop: nerwy są naprężone do najwyższego stopnia. Teraz widać przeciwnika wyraźnie.

Kaski o długim kolcu, pokryte szaremi pokrowcami, lance czarne, trzymane pod pachą, ludzie rośli, dobrze odżywieni i dobrze oporządzeni. Ale zarazem doświadczone oczy naszych dragonów dostrzegają, po niewidocznych prawie oznakach, pewne wahanie w sze-



regach: widać przerwy między rotami; można odgadnąć, że każdy z nich instynktownie ciągnie na lewo, na pole, dzielące ich od drogi do Liège.

Pięćdziesiąt metrów zaledwie dzieli oba oddziały. Porucznik Gonse gotuje się do szarży.

Nagle — niespodzianka! Oficer niemiecki zbacza z kierunku. Będzie konia ostrogami i wraz ze swymi ludźmi pędzi na łękę, dzielącą go od drogi do Liège. Z szeregów francuskich wydiera się okrzyk: „Wieżą!“...

Ale Gonse postanawia wykorzystać dogodność położenia. Brawo! Nadstawiają nam flankę!... Mamy ich!...

— Marsz!... Marsz!...

Z grzmiotem okrzyków cały pluton wali na prawe skrzydło nieprzyjaciela. Ach! Rozprawa nie trwa długo!... Daremnie oficer niemiecki chce uporządkować swój oddział. Za późno. Nasze zuchy wpadają nań, jak taran. Plutonowy Hiboust, nieźrównany majster w rozbiciu lancy, pierwszy obala swego przeciwnika straszliwym pchnięciem w sam środek piersi. Dragon Giraud prawie jednocześnie przebijają drugiego, który z jękiem wali się z konia. Powstaje krótkotrwałe skłębienie, kiedy każdy z zaciśniętymi zębami, z zaciśniętą pięścią wywija szablą i lancą, kłuje, rąbie, paruje wśród szczęku stali, przekleństw, zderzających się koni, padających ciał, okrzyków bólu lub triumfu. Z miejsca Francuzi biorą górę, dzięki duchowi, przerastającemu znacznie ducha wrogów. Dragoni Porcher, Rondepierre i Gauthier wyróżniają się walecznością. Już pięciu kawalerzystów „feldgrau“ leży na ziemi.

W bezładnej walce cała gromada kieruje się ku drodze do Liège. Czując swą zgubę, Niemcy jedną tylko widzą nadzieję ratunku: ucieczkę. I nagle zaczyna się dzika galopada w kierunku tej drogi, która oddzielona rowem, nadsypana jest mniej więcej na metr. Ścigani i ścigający dopadają jej w szalonym tempie. Pada siedem do ośmiu koni tak francuskich, jak i niemieckich. Jeden z jeźdźców „feldgrau“ podnosi się, chwytając za karabinek i przykładając go do oka, lecz plutonowy furazowy, który na ochotnika poszedł z plutonem, kładzie go strzałem z rewolweru. Potem zwraca broń ku drugiemu, ale ten, nie czekając, podnosi ręce do góry.

Tymczasem pościg na szosie trwa w całej pełni. Już bez szeregów, bez łączności, każdy walczy na swój rachunek.

Plutonowy rezerwy Estivin, doganiając jednego z uciekających, chce go dosięgnąć gwałtownym pchnięciem lancy, ten jednak przez

pochylenie tułowia unika ciosu. Nie panując nad koniem, Estivin mija go i sam z kolei przypadkiem unika przeznaczonego dlań pchnięcia. Lanca prześlizgnęła się między jego tułowiem a ramieniem. Chwyta jej drzewce i przytrzymuje pod pachą do chwili, kiedy Niemiec ją puszcza, zarąbany przez innego dragona.

Hiboust puszcza się za nieprzyjacielskim oficerem. Powoli go dogania. Już zamierza się na niego łańcą, gdy mu się koń potyka i przewraca. Oficer ucieka, nie oglądając się za siebie.

Trzeba się wyrzec dalszego pościgu.

Wolno, na długich wodzach, nasi dragoni powracają już raz przez bytą drogą. Są zmordowani i promienni. Jak długo galopowali? — Nie mają pojęcia. Może przebiegli dwa, może trzy kilometry. Po drodze mijają domy, których nawet nie zauważyli w zapale pościgu i gęsto leżące ciała w szarozielonych mundurach.

Wkrótce dragoni jeden po drugim zbierają się za swym oficerem. Co za piękny dzień! Nikogo nie brak na apelu. Dwóch tylko rannych: plutonowy Hiboust, który w upadku złamał obojczyk, i dragon Jarril, mocno poturbowany przy nieudanym skoku przez rów. Cztery konie są poważnie okaleczone. Pluton nieprzyjacielski został zniesiony. Zostawił w rękach porucznika Gonse pięciu jeńców z 19 pułku dragonów oldenburskich i siedem koni zdrowych.

Tak się zakończyła potyczka pod Fraiture. Przebieg jej powinien być znany we wszystkich pułkach francuskich, jako znakomity przykład cudów, które może zdziałać oddział dobrze dowodzony i ożywiony podniosłym duchem. Oba plutony, francuski i niemiecki, były jednakowo silne i jednakowo uzbrojone, lecz jeden z nich wierzył w zwycięstwo i pragnął go, drugi zwątpił o własnych siłach i lękał się klęski w tym wzniosłym pojedynku, gdzie się przeciwnicy mierzą na białą broń, konno i oko w oko. Był zgóry pokonany.

SZARŻA PORUCZNIKA SAISON POD MITTERSHEIM

(19 sierpnia 1914).

19 sierpnia 1914 r. w zabranej Lotaryngji... Powietrze jest wilgotne i ciężkie do tego stopnia, że nawet bezustanna kanonada, mimo swego natężenia, brzmi w uszach jakby przez watę. Między Nomeny a Schirmeck rozszalała pierwsza bitwa wielkiej wojny.

Armje generałów Castelnau i Dubail rozpoczęły ofensywę w kierunku na Colmar, Sarrebourg i Sarrebrück. Przez pięć dni obie te armje zmuszały nieprzyjaciela do cofania się na całym ich odcinku frontu, lecz obecnie napotykają opór przeważających sił, przeciwstawiających się ich naporowi na silnie umocnionych pozycjach. Ciężka artylerja nieprzyjacielska zabrała głos ku niespodziance naszych oddziałów. Straty francuskie są poważne, a natarcie prawie wszędzie odparte.

Łączność między obiema armjami utrzymuje korpus kawalerji generała Conneau. Zajmuje on pas kraju, leżący między Kerprich-aux-Bois, Langatte i Haute-Clocher, na wschód od obszaru Étangs. Swemi oddziałami rozpoznawczemi osłania lewe skrzydło ósmego korpusu, zmagającego się wśród wzgórz na północ od Sarrebourg z dwoma korpusami bawarskiemi.

Na rozkaz generała Dubail, zaniepokojonego tym niespodzianie zwiększonym oporem, dowódca korpusu polecił generałowi Varin, dowódcy 2 dywizji kawalerji, wyznaczyć dzielnego, a przedsiębiorczego oficera do przedostania się przez linję nieprzyjacielską oraz do stwierdzenia głębokości i siły stanowisk niemieckich.

Generał Varin przywołuje porucznika Saison z 31 pułku dragonów. Wybór w tym wypadku słuszny. Saison jest oficerem w sile wieku, atletycznej budowy, rozkochany w ryzyku, ma nadto zdolność szyb-

kiego orjentowania się i odwagę, niezbędne w tego rodzaju grze. Jeżeli ktoś zdoła przedostać się przez linię nieprzyjacielską, to przede wszystkim on.

Generał Varin przedstawia mu z jak największą dokładnością dość zagmatwane położenie linii bojowej i szczegółowo wyjaśnia, czego oczekuje od niego dowódca 1. armji:

— Niech pan dokładnie zapozna się z mapą i zastanowi przez chwilę. Z uwagi na trudność i znaczenie pańskiego zadania daję panu zupełną swobodę w wyborze miejsca, gdzie pan spróbuje przemknąć się przez linię nieprzyjacielską.

Porucznik Saison z największym spokojem zagłębia się w studjowanie mapy, starając się odtworzyć w umyśle teren z tajemniczej gmatwaniny kresek, znaków i liter. Trudno o kraj bardziej poprzecinany i zalesiony. Należy się tedy posuwać w kierunku najbardziej bogatym w zasłony terenowe, dającym największą łatwość skrytego podejścia i prześlizgnięcia się. Zastanawia się nad wszystkimi możliwościami i postanawia próbować szczęścia w okolicy Mittersheim, tam bowiem obszary leśne Fénétrange wbijają się klinem w pozycje niemieckie. Jeśli uda mu się przemknąć niepostrzeżenie, to jedynie przez wyzyskanie tej zalesionej przestrzeni, której południowa część jest w rękach francuskich.

Generał zgadza się i dodaje od siebie:

— Aby panu ułatwić zadanie, przydzielę panu jednego oficera z 4 pułku dragonów. Każdy z was zabierze jednego podoficera i czterech dobranych żołnierzy. Po przejściu przez Mittelsheim posuwać się będziecie wzdłuż osi Sarr-Union i Sarrable. Z chwilą gdy się pan znajdzie wśród linii nieprzyjacielskich, zostawiam panu całkowitą swobodę wyboru, czyto maszerowania w jednej grupie, czy też podzielenia swego oddziału na dwie części niezależne. Do pana należy znalezienie najlepszego rozstrzygnięcia.

Otrzymawszy te wskazówki, porucznik Saison udaje się do Kerprich-aux-Bois, gdzie czyni wszelkie przygotowania, aby móc się posuwać z jak największą szybkością. Jest godzina trzecia po południu. Trzeba będzie nocą przemaszerować trzydzieści kilometrów, aby dojść do Mittersheim. Widoki powodzenia są niewielkie, żadnego jednak nie należy zaniedbać. Od północ-zachodu po południ-wschód kanonada armatnia brzmi nieprzerwanie, bez żadnej z owych „dziur“, dzięki którym możnaby mieć nadzieję znalezienia przerwy w linii. Nie pozostaje nic innego do wyboru, jak wyzyskać na swą korzyść niespodzianki świtu.

Tymczasem juczki oraz wszelkie zbędne obciążenie zostają usunięte z siodła, zostaje również sprawdzony stan podków; konie i ludzie posilają się pośpiesznie. Jednocześnie oficer stara się o znalezienie pewnego przewodnika, któryby umiał doprowadzić go do celu, w ciemnościach, poprzez ten kraj lasów, jezior i kanałów o nieodgadzionych skrętach. Znajduje potrzebnego mu człowieka, Lotaryńczyka, obiecującego poprowadzić patrol, towarzysząc mu na rowerze. Wygląd jego wzbudza zaufanie, lecz ponieważ kraj ten jeszcze wczoraj był niemiecki, należy się mieć na ostrożności. Wszystkie środki będą zastosowane.

Koło godziny 7^{ej} przybywa oddział 4 pułku dragonów, złożony z podporucznika Bonneau, plutonowego Vallin, kaprała Martineau i trzech szeregowców. Porucznik Saison zabiera ze sobą plutonowego Gabrielli i dragonów: Piot, Laisse, Vasselin i Guyot.

O g. 7 min. 30 oba połączone patrole są gotowe do drogi. W kilku mocnych słowach porucznik tłumaczy wszystkim zadanie, jakie mu powierzono, i swe niezłomne postanowienie doprowadzenia go do końca, poczem, spaliwszy pisemny rozkaz, poprzednio mu wręczony, daje komendę: „na koń”.

Przewodnik staje na czele ze swym rowerem i mały oddziałek rusza wślada za nim w kierunku mostu, przez kanał Houillères o dwa kilometry na zachód od Kerprich-aux-Bois. Po przejściu mostu kieruje się na północ ścieżką holowniczą, po drugiej stronie kanału.

Nadeszła noc, noc ponura, rozświetlona odbłaskami pożarów. Do tej chwili nasi kawalerzyści zapoznali się z wojną jedynie w postaci upajających potyczek konnych, zuchwałych podjazdów i spotkań na wysuniętych posterunkach; teraz zanurzają się w grozę nowoczesnej bitwy z towarzyszami jej straszliwymi cierpieniami i niedolą, z jej olbrzymiami pociskami, działającymi z fantastycznych odległości, i ze zniszczeniem wszystkiego, co oddycha, rośnie, wznosi się lub żyje na ziemi.

Dragoni nie tracą ducha, lecz serca im się ścisniają wobec rozmiarów i majestatu kataklizmu, wobec powagi ich zadania.

Działa odzywają się już tylko rzadkiemi, pojedynczemi grzmotami, strzały karabinowe wybuchają jedynie od czasu do czasu gwałtowną nawałnicą, zamierającą nagle. Cisza nocna stopniowo zalega nad armjami, lecz cisza ta jest zaludniona upiorami wszelakich niebezpieczeństw.

O północy podjazd dochodzi do Bisping, później do Angviller. Obie te wioski, leżące tuż przy południowym skraju lasu Fénétrange,

są zapchane wojskiem, taborami, ambulansami, służbami. Porucznikowi Saison udaje się odnaleźć oficera ze sztabu jednej z dywizyj XVI korpusu, walczących na północ i na zachód od lasu lub w samym lesie. Wtajemnicza go w swoje zadanie i prosi o wyjaśnienie obecnego położenia u północnych wyjść z lasu. Oficer ów nie wierzy w możliwość przedostania się przez linje nieprzyjacielskie w tym kierunku. Gęstość oddziałów jest tam taka, że żaden patrol, choćby najmniejszy, nie zdoła się przeslizgnąć przez obsadzone pozycje.

— Pomyśl pan tylko!... Niemcy zajmują linję, ciągnącą się od Loufreding-Lostroff aż do Benestroff. Na tym froncie wszystkie miejscowości są poważnie umocnione i trzymane przez poważne siły, w każdym razie większe od naszych. Według naszego zdania pozycje są nie do wzięcia i z niepokojem oczekujemy rozkazów na jutro.

— Ale bardziej na wschód, w stronie Mittersheim?

— To jest nasza słaba strona. Mittersheim leży między naszym prawem skrzydłem a lewem 1. armji. Jest tam luka, którą powinien obsadzić wasz korpus. Lecz to, co jest naszym utrapieniem, może być szczęściem dla pana. Jeżeli pan może przedostać się gdziekolwiek, to chyba tylko tamtędy.

— Dziękuję. Taki właśnie miałem zamiar.

Przewodnik z Kerprich może być teraz jedynie ciężarem dla patrolu, znajdującego się już prawie na linii bojowej. Porucznik oddaje go pod opiekę posterunku żandarmerji z poleceniem przytrzymania go do świtu, poczem postanawia dać mały wypoczynek swym ludziom i koniom. Po obdzieleniu swych wierzchowców szczupłą racją owsa nasi dragoni, nie rozsiadlując koni, wyciągają się na dwie godziny na słomie. O g. 3 min. 30, przełknąwszy kawę, skaczą na siodła i na przód!

Wśród chłodu, poprzedzającego świtanie, podążają ciemną drogą przez las Mühlwald. Dokoła bezwzględna cisza. Ze wszystkich stron zmożone trudami oddziały oczekują sygnału podjęcia na nowo walki i możnaby przypuszczać, że zawieszenie broni zawarte zostało między obiema armjami, przerażonemi potokami przelanej krwi. Z oddali, z bardzo daleka, dolatuje trudny do określenia hałas — to tysiące wozów toczy się mozolnie w mrokach nocy. Od strony Mittersheim — milczenie.

Oto znowu kanał Houillères. Tym razem również patrol kieruje się ścieżką holowniczą. Wkrótce wstępuje w ten pas tajemniczy, gdzie z każdego drzewa, z każdego rowu, z każdej chaty może paść mor-

derczy strzał. Krajobraz zaczyna się odsłaniać; ma wygląd podstępny, a zdradliwie pociągający, niby zamaskowane oblicze.

O g. 4 min. 30 jeźdźcy są już nie dalej jak o 200 metrów od Mittersheim. Szarawy świt oświetla majaki istot i przedmiotów. Na prawo kanał przelewa swe wody niebiesko-zielone i martwe; na lewo pokryte zaroślami wzniesienie zakrywa gościniec z Fénétrange do Dieuze. Saison zatrzymuje swych ludzi i nadstawia ucha. Ciągłe ta sama cisza. Dolatuje go tylko nieuchwytne drżenie drzew, traw, całej przyrody, która żyje i oddycha bez przerwy i mimo wszystko. W mroku można jednak domyśleć się, że niedaleko, ukryta w mgłach, leży jakaś osada, napozór pusta i wymarła. Czyżby znajdowali się przed przerwą w linii, gdzie patrol będzie mógł się przeslizgnąć na tyły pozycji niemieckich?

Tak mija dziesięć minut. Porucznik Saison przezornie i powoli dobywa szabli z pochwy. Bonneau go naśladuje. Dragoni z pochylonemi lancami gotują się do skoku:

— Naprzód!

Z głuchym hałasem, który w ich uszach brzmi jak łoskot przeraźliwy, dwunastu jeźdźców rusza w kierunku północnym. Teraz od czasu do czasu ukazują się pojedyncze domki, otoczone ogrodami. Okiennice są zamknięte — wszyscy śpią.

Trzeba jeszcze przejechać koło domu dozorczy tamy i podkowy końskie zadźwięczały na bruku. Ach! otwierają się drzwi... ..na progu staje człowiek w płaskim kaszkiecie, napół przerażony, napół nieprzytomny jeszcze ze snu. Saison zdarł swego konia i dobył rewolweru. Zanim nieznajomy zdążył otworzyć usta, już czuje na swem czole zimny pocałunek wylotu lufy.

— Jeden krzyk, a jesteś trupem!... Odpowiadaj i, jeśli ci życie miłe, mów prawdę. Czy w Mittersheim są jakieś oddziały wojska?

Dozorca tamy drży jak liść. Niepotrzebne mu są niezwykle zdolności obserwacyjne, aby zgadnąć, z kim ma do czynienia. Taki typ dotrzyma słowa bez chwili wahania. Ta pewność szybko rozwiązuje mu język:

— Panie oficerze, dwie kompanie piechoty nocowały we wsi, lecz przed godziną mniej więcej odeszły do Fénétrange... Tej nocy również znaczna ilość artylerji przemaszerowała szosą także w kierunku Fénétrange. Będzie tam ze dwa pułki.

— Dobrze. Mów dalej, co wiesz, tylko uczciwie, a nic złego ci się nie stanie.

Głos oficera brzmi łagodniej, lecz rewolwer jego ciągle dotyka czoła tamiarza. Prosi podporucznika Bonneau, aby wszedł do środka budynku i stwierdził, czy nie ma tam czegoś podejrzanego. Bonneau robi pośpieszny przegląd, przyczem nie znajduje nic niebezpiecznego dla patrolu, prócz aparatu telefonicznego, który rozbija jednym uderzeniem głównej swej szabli. Przez przezorność obchodzi dom dookoła. Znalazłszy się po stronie przeciwnej od wejścia, widzi dokładnie zachodni skraj Mittersheim i dostrzega u wejścia do wsi około dwieście rowerów, leżących po obu stronach szosy. Mimo iż bacznie się roze-gląda na wszystkie strony, nie może dostrzec nikogo; żadnego strze-gącego ich posterunku, żadnego siedzącego lub leżącego obok człowieka.

Powraca więc śpiesznie, aby zdać sprawę ze swych spostrzeżeń porucznikowi Saison.

— Tem gorzej! I tak straciliśmy już za dużo czasu. Droga jest wolna, idziemy. I, zwracając się do tamiarza, dodaje:

— Ruszaj naprzód i prowadź nas do mostu na kanale Salines.

W istocie, mimo zapewnień pocziwego informatora, byłoby największym szaleństwem przejść przez most Houillères i defilować przez Mittersheim. Sama obecność tych pozornie porzuconych rowerów czyni tę drogę bardzo ryzykowną. Przeciwnie zaś, kierując się wprost na północ, można dojść do zbiegu kanału Houillères z kanałem Sallines, na którym według mapy znajduje się most, prowadzący do zamierzonego obszaru działania patrolu. Zamiarem jego dowódcy jest, żeby zaraz po przejściu kanału Salines ukryć się w lesie Bonnefontaine i posuwać wzdłuż kanału ku północy w kierunku Sarrable.

Tymczasem rozwidniło się całkowicie. Stępem, wślad za swym przewodnikiem, mały oddziałek posuwa się, nie spotykając żywego ducha. Dochodzi wreszcie do mostu na kanale Salines. Prowizoryczna barykada zamyka wejście nań, lecz nikt jej nie pilnuje. Wydaje się, jakgdyby opatrność usuwała przed dragonami wszystkie zasadzki i wszystkie przeszkody. Na rozkaz oficera tamiarz bez trudu usuwa słabą zaporę. Po drugiej stronie rozpościera się okolica niezajęta, spokojna, bezludna. Można żywić wszelkie nadzieje. Saison puszcza na wolność przewodnika, pod groźbą srogiej kary zaleciwszy mu mil-
czeć o swym przejściu, poczem rusza kłusem w kierunku północno-wschodnim. Jeden dragon jedzie jako szpica; zadaniem dwóch innych jest obserwacja na prawo i na lewo od drogi; czwarty musi baczyć na to, co się dzieje z tyłu. W odległości dwóch kilometrów widnieje ciemna linja lasu, w którym można się skryć, odetchnąć, odpocząć.

Oddział przebył już połowę odległości od jego skraju, gdy nagle porucznika Saison dolatuje ztyłu zdyszany głos:

— Na lewo pluton niemiecki. . . !

Wszystkie głowy zwracają się we wskazanym kierunku i wszyscy widzą silny pluton nieprzyjacielski, uszykowany do boju frontem do dragonów. Znajduje się on na wzniesieniu, przez które biegnie droga z Mittersheim do Insviller, położonem o 150 metrów na zachód. Są to dragoni, co łatwo można poznać po ich kaskach z długimi szpiż kulcami, po ich lancach i po ciężkich koniach. Widać nawet, jak jeden z nich najspokojniej zsiada z konia, zdejmując karabinek z wyraźnym zamiarem strzelania do patrolu.

Z błyskawiczną szybkością ukazuje się porucznikowi Saison groza położenia. Jeżeli podąży dalej swą drogą, dwudziestu pięciu jeźdźców puści się za nim w pogoń i spadnie mu na kark. A zatem jedyne wyjście — nacierać.

— Za mną!

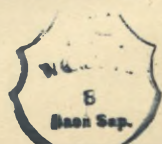
Z tym okrzykiem oficer rzuca konia na lewo i pełnym galopem pędzi wprost na nieprzyjaciela. Zamiar jego pojmują i podchwytyją z zapalem jego towarzysze. Jedenaście koni, kłutych zawzięcie ostrożami, rusza za nim. Z wściekłym rozmachem przebiegają zbocze, wiodące do wroga. Z szablami złożonemi do kłucia, z lancami gotowemi do pchnięcia nasi dragoni walą kupą za swym dowódcą. Żadnemu z nich ani na chwilę nie przychodzi na myśl, że mogą ulec przewadze liczebnej.

— Marsz, marsz!

Dwanaście gardzieli powtarza okrzyk porucznika Saison i dwanaście rumaków, zarażonych zapalem swych jeźdźców, rwie co sił ku wybranemu celowi. Na widok tej lawiny nieprzyjaciel nie czeka na zderzenie, lecz robi wtył zwrot i bezładnie ucieka.

I zaczyna się epiczny pościg. Dragonom niemieckim nie starczyło nawet ochoty, aby pomóc spieszonemu koledze. Nie mogąc z powodu znarowienia się konia wskoczyć na siodło, składa się on z karabinka, lecz Saison nie daje mu czasu na pociągnięcie języczka. Wpada na niego jak piorun i przeszywa go pałaszem z taką siłą, że wydobywa oręż, skrzywiony jak sierp. Nie zwalniając biegu, oficer prostuje za krwawiony brzeszczot o łęk siodła.

Niemcy rozproszyli się w ucieczce. Jedni galopują, co pary w koniach, drogą do Insviller, drudzy gnają naprzelaj przez pola. Wślad za nimi rozbiegli się również i Francuzi, goniąc jak opętani; wszyscy przejęci jedną myślą, aby żadnemu z tych tchórzów nie pozwolić na



zaalarmowanie ich pułku. Konie naszych dragonów znacznie ścielejsze od wierzchowców przeciwników, zbliżają się do nich z każdym susem.

Jeźdźcy niemieccy zupełnie bezwstydnie nie myślą nawet o walce. Pochyleni ku końskim szyjom, z ostrogami wbitemi w końskie boki, jeden tylko cel widzą przed sobą: ucieczkę przed śmiercią. A przecież liczebnie więcej niż dwukrotnie przewyższają swych przeciwników. Ci jednak odrazu zdobyli przewagę moralną. Gdy strach opasnuje żołnierza, gdy utracił on wiarę w zwycięstwo, jedynie wpływ niezwykle dzielnego dowódcy może go ocalić. Dowódca plutonu niemieckiego, podobnie jak jego ludzie, myśli jedynie o swej skórze.

To tchórzostwo przeciwników ułatwia zadanie naszym dragonom. Tu i ówdzie jakiś kolczasty kask miękko udaje ruch obronny, jeden nawet lekko rani lancą podporucznika, lecz natychmiast zostaje powalony z konia. Podporucznik Saison, galopując dalej po drodze, własną ręką kładzie dwóch uciekających, za każdym ciosem zginając pałasz w półkole i za każdym razem prostując go szybko na łęk.

Już połowa nieprzyjacielskiego plutonu gryzie ziemię i konie, pozabawione jeźdźców, z rozbujanemi strzemionami galopują tabunem między resztą uciekających. Nagle przybywa im nieoczekiwana pomoc. Dopędzają mianowicie jeden ze swych wozów taborowych, zaprężnięty w czwórkę koni, posuwający się w tym samym kierunku. Jezdni ogarnięci popłochem, popędzają konie, które, ruszając galopem, ciągną za sobą wóz podskakujący, zataczający się i przeraźliwie szczękający żelaziwem.

Lecz na dachu wozu jest siedzisko, a na niem dwóch kawalerzystów, trzymających karabinki między kolanami. Na widok zbliżającego się szybko pościgu odwracają się i zaczynają ogień. Przybył więc nowy nieprzyjaciel. Trzeba go dogonić i unieszkodliwić. Ze zdwojonym zapalem pędzi za nimi Saison oraz plutonowy Vallin z kilku szeregowcami z 4 i 31 pułku. Wkrótce zbliżają się do wozu.

Już dzieli ich tylko 4 do 5 metrów. Jeden ze strzelających dwukrotnie składa się do porucznika i chybia, lecz drugą kulą obcina dolną wargę jego wierzchowcowi. Jednocześnie zaś drugi bierze na cel plutonowego i pierwszym celnym strzałem w sam środek piersi powala go bez życia na ziemię.

Na widok jego upadku ogarnięty wściekłością Saison daje koniowi ostrogę i, galopując wzdłuż wozu, stara się dosięgnąć Niemca sztychem pałasza. Pałasz jest jednak za krótki i zabójca plutonowego uniika pchnięcia, a nawet udaje mu się powtórnie naładować broń. Przy-

kłada ją do oka. Saison ledwo ma czas krzyknąć na dragona Vasselina, galopującego tuż za nim:

— Ściągnij go swą lancą!

Potężnem pchnięciem straszliwej broni Vasselin trafia Niemca w sam środek tułowia. Karabin wypada z omdlałych rąk, ranny zatacza się i spada na ziemię, gdzie ginie zmiażdżony tylnem kołem wozu. Saison, bodąc konia ostrogami, równa się z zaprzęgiem.

— Nuże! Wal w konia! — Krzyczy do Vasselina.

Ponowne, dobrze wymierzone uderzenie lancy zabija jednego z lejących koni. Wóz zatrzymuje się. Dragoni kładą trupem drugiego strzelca. Jeszcze tylko jezdni pozostali. Jeden umyka przez pole, ale rychło pada od ciosu ścigającego go dragona, który się za nim puścił w pościg. Drugi, którego koń upadł, podniósł się prędko i, zerwawszy z pleców karabinek, gotuje się do obrony. Doskakuje doń Piot.

Piot, dragon z 31 pułku, jest zawalistym chłopakiem i, jak to mówią, zuchem naschwał. Koń jego padł zabity, lecz on w okamgnieniu wydobył się z pod niego i schwycił w dłonie karabin. Widząc na przeciw siebie straceńca, gotowego do strzału, składa się i strzela z lufą prawie przyłożoną do piersi przeciwnika. Ale karabin, bądźto z powodu kiepskiego ładunku, bądź też dlatego, że nie był naładowany, nie wypala. Los jego wydaje się przesądzony.

A jednak — nie. Odrzuciwszy karabin, Piot rzuca się na swego przeciwnika i uderzeniem pięści w twarz obala go na ziemię. Z Niemca także nie ułomek, a przytem zuch. Padając wypuścił karabin, nie myśli jednak o ucieczce. W chwili, gdy stanął na nogach, dopada doń Piot. Zaczyna się zażarta walka na pięści, kiedy to jeden, to znów drugi ma przewagę, aż wkońcu chwytają się wzajemnie wpół i tak padają. Ale Piot jest na wierzchu, wyrывa się, wstaje, ruchem szybkim jak błyskawica chwytą swój karabin i Niemca, który się zerwał prawie równocześnie z nim, uderzeniem kolby posyła w krainę cieniów.

Załatwiwszy się ze swym wrogiem, najspokojniej odpręga od wozu jednego z koni, kładzie nań własne siodło, dosiada go i galopem dopędza resztę kolegów, zebranych dokoła rannego Vallina.

Vallin jest w agonji. Trafiony kulą w okolicę serca, leży bez przytomności. Nic już nie mogą pomóc koledzy, a czas pili. Trzeba będzie zostawić ciało towarzysza. Wprawdzie tylko czterech kawalerzystów niemieckich uszło przed lancami i szablami francuskimi, lecz nie omieszkają oni niewątpliwie zaalarmować swoich oddziałów i spróbować je na kark patrolowi. Należy więc jak najprędzej. Dragoni ze

ściśniętem sercem zegnają ostatniem spojrzeniem dzielnego podoficera i wyciągniętym kłusem zdążają za swym dowódcą do kanału Salines.

Odwróciło się jednak od nich szczęście. W odległości 500 metrów od skraju lasu wita ich gwałtowna strzelanina; prawie w tej samej chwili odzywają się strzały ze wschodniego brzegu kanału. Kule gwizdają i krzyżują się nad ich głowami. Wygląda, jakby rozciągnięto nieprzerwaną sieć karabinów dla odcięcia im powrotu.

Saison robi w galopie wtył zwrot, by dopaść nieznacznego wkleśnięcia terenu, gdzie ma nadzieję ukryć się przed kulami. W pewnej chwili słyszy za sobą jęk. To dragon Laisse z 31 pułku ranny postrzałem w brzuch.

— Panie poruczniku, już nie mogę dłużej wytrzymać... proszę mi pozwolić zsiąść z konia.

— Nie, chłopcze. Odwagi, zrób jeszcze jeden wysiłek!... Przecież nie chcesz spaść w ręce Boszów!

Z zaciśniętymi zębami, uczepiony kurczowo końskiej grzywy, dzielny żołnierz pędzi z gromadką kolegów. Dobiegają do zagłębienia, gdzie mają nadzieję odsapnąć, lecz z pewnych punktów nad kanałem widzą ich strzelcy niemieccy i nie przestają zasypywać gradem kul. Po krótkiej naradzie z Bonneau porucznik Saison postanawia cofnąć się o 1500 metrów ku południowi. Tam się zobaczy, czy są jakieś szanse wydostania się. Dla uniknięcia, a przynajmniej zmniejszenia strat, ruch zostanie wykonany w pełnym galopie, pojedynczo, w pięćdziesięciometrowych odległościach.

Za zezwoleniem dowódcy patrolu podporucznik Bonneau rusza pierwszy pod gradem pocisków. Za nim, po jednym, wypuszcza Saison pozostałych dziewięciu jeźdźców. Wszystkim udaje się przejść cało. Ostatni z kolei rusza Saison, lecz po kilku zaledwie susach koń jego, śmiertelnie ugodzony, wali się na ziemię, przyczem jeździec, wyrzucony z siodła, uderza głową o drzewo. Na szczęście kask dragoniński złagodził uderzenie. Napół ogłuszony Saison podnosi się. Nie jest ranny, ale odczuwa dotkliwy ból w lewym udzie; mimo to bierze w garść rewolwer i biegiem przebywa 1500 metrów, dzielących go od kolegów.

Ci znalazłszy się w bezpiecznem chwilowo miejscu, zdjęli z konia rannego Laisse'a i ułożyli go na murawie, niezdolnego do dalszej drogi. Ze swej strony Saison stwierdza, że ma nogę zwicznietą w dwóch miejscach: w kolanie i w kostce, i ledwo może utrzymać się na nogach.

Kule zaczynają świstać na nowo, a przy ich wtórze zjawiają się strzelcy niemieccy i szybko się zbliżają do grupki naszych jeźdźców. Przejście jest zamknięte ze wszystkich stron. Trzeba szukać ocalenia, zostawiając na miejscu Laisse'a.

Porucznik Saison z trudem dosiada jego konia i daje znak do odwrotu. W ostatniej chwili, gdy jeźdźcy nasi są już prawie poza zasięgiem pocisków, pada plutonowy Martineau, ugodzony kulą w pierś. Pada z okrzykiem:

— Żegnajcie, przyjaciele, dostali mnie! Niech żyje Francja!

I patrol, zostawiając za sobą trzech towarzyszy, z których jedynie Laisse zdoła wyleczyć się z ran, zagłębia się w las Fénétrange.

SZARŻA SZWADRONU KAPITANA DE LA TAILLE POD LANDRES

(22 sierpnia 1914).

Od samego świtu 2 szwadron 12 pułku strzelców konnych, dowodzony przez kapitana Jana de la Taille, obserwuje okolicę, stojąc koło dworca w Landres, wsi położonej na drodze z Longwy do Pont-à-Mousson. Upał jest straszliwy. Powietrze stanęło w bezruchu. Słońce niełitościwie przypieka karki, wysusza gardziele, zalewa potem czoła, wydłużając w nieskończoność godziny oczekiwania i beczynnego stania, podczas gdy armaty ryczą dokoła i gdy każdy ma wycucie olbrzymiego znaczenia rozgrywającej partji.

22 sierpnia jest pierwszym dniem, później tak zwanej, „bitwy granicznej“. 12 pułk strzelców zaś pracuje zwiadami dla skrajnego prawego skrzydła armij francuskich, tworzonego przez armję generała Ruffey. Armja ta ubezpiecza się wygiętem ku wschodowi skrzydłem, gdzie walczy wspaniała 40 dywizja z Saint-Mihiel, pod rozkazami generała Hache i przed tą właśnie dywizją 12 strzelców przeszukuje teren. Dowódca pułku pułkownik Frotiée skierował o trzeciej rano detaszowany szwadron la Taille na Landres, z zadaniem obserwowania ruchu nieprzyjaciela, wychodzącego z rejonu fortecznego Metz — Thionville.

Do tej chwili, t. j. do g. 3 po południu, nie zaszło nic niezwykłego. Jedyną rozrywką naszych strzelców, poza kilku patrolami, jest gapienie się na szrapnele niemieckie, rozrywające się na niebie bez chmur, wysoko nad wzgórzami Murville. Beczynność jest ciężką próbą dla ludzi, którzy służą w szwadronie znakomicie zaprawionym do pracy wojennej, płonących zapalem bliskim zapamiętałości.

a w dodatku dowodzonym mistrzowską ręką. Kapitan de la Taille jest zawołanym kawalerzystą, jakich w owym czasie nie brak było w szeregach naszej jazdy, jakich nie brak i dzisiaj i jacy znajdują się w niej zawsze, godni spadkobiercy i uczniowie głośnych rębaczy z czasów cesarstwa, Lasalle'ów, Curelych, Montbrunów i Kellermannów. Posiada ich umiłowanie swego zawodu, dochodzące do fanatyzmu, ich bystrość sądu, zimną krew, szybkość decyzji, połączoną z wolą wprowadzenia w czyn swych postanowień za wszelką cenę i do końca.

Strzelcy nudzą się śmiertelnie. Od dwudziestu dni, t. j. od czasu, kiedy walczą na wyznaczonych odcinkach osłonowych, doszli do przeświadczenia o swej bezwzględnej wyższości nad kawalerzystami niemieckimi. Przy każdym spotkaniu patroli widzieli umykających przed ich szablami chłopów dwa razy od nich większych, których lance jednak pochylały się, jak się zdawało, jedynie dla wskazania kierunku szybkiej ucieczki. Brali niejednokrotnie jeńców i zbierali w trofeach całe różańce hełmów o długich stalowych szpikulcach. W tych warunkach jakąż męką jest młynkowanie palcami, gdy się słyszy odgłosy walki i wyobraźnią widzi kolegów, zbierających wszystkie wawrzyny dla siebie.

Wyludniona wieś wygląda pośępnie. Wczoraj gospodarzyli tu Niemcy i zniszczyli dworzec. Nie poprzestawszy na zgruchotaniu tarcz sygnałowych i semaforów, rozwaleniu torów, podziurawieniu zbiorników na wodę i rozgrabieniu towarów, dobrali się do mieszkania naczelnika stacji. Wszystko w niem jest zrujnowane. Meble połamane, pamiątki rodzinne zdruzgotane, odzienie i bielizna w strzępach. Musiało ich to kosztować sporo czasu... Nie przyczynia się ten widok do poprawienia złego humoru żołnierzy. Na dobitkę ten przekłety upał i pragnienie, palące w gardle jak ogień... i ani kropli wody do ugaszenia go. Do djabła z takim dniem.

Wiwat! W jakimś zapomnianym kącie magazynu towarowego znajduje porucznik d'Halewyn beczkę przepyszego piwa. Cudem uniknęła zachłanności nieprzyjacielskich opojów. Bez ceregieli ulega natychmiastowej rekwizycji; przytoczona do szwadronu i spuszczo-
na z rampy — toczy się przed front plutonów, zbudzonych nagle z odrętwienia.

Uzbrojony w mały kij porucznik d'Halewyn naciska szpunt, a wobec jego oporu zaczyna grzmocić weń zawzięcie, aż nagle strumień złościstego płynu tryska mu w twarz. Byczo jest... Z rąk do rąk przelatują mąnierki szybko napelniane. W ciągu kilku minut

cały szwadron ugasił pragnienie i zaopatrzył się w napój, niezupełnie może świeży, ale zato gazujący. Oblicza żołnierskie zmieniają wyraz, z chmurnych stają się pogodne. Ach! Gdyby jeszcze można się rozprężyć, pogalopować z szablą w garści i wypróbować odzyskane siły.

Właśnie nadjeżdża cyklista, cały w pocie od kręcenia pedałow. Przebywa łąkę i wręcza jakiś papier kapitanowi. Rozkaz dla 2 szwadronu, aby dołączyć się do pułku w Domprix, zostawiwszy dla obserwacji w Murville pół plutonu. Wachmistrz szef Philippe spełni to zadanie na czele 15 ludzi. Kapitan daje mu odpowiednie rozkazy.

— Na koń!

W okamgnieniu szwadron jest na siodłach. Wszyscy cieszą się z tej zmiany losu. Jeśli oddział zostaje wezwany, to chyba nie poto, by go znowu oddać na pastwę zabójczej bezczynności. Poza tem zdaje się, że sprawy biorą zły obrót: szrapnele pękają coraz to liczniej i częściej; do białych obłoczków dołączają się wybuchy silniejsze, połączone z dymem cięższym i czarnym. Kilku piechurów, widocznych na lewo, znika nagle. Dokoła pustka i martwota.

W kolumnie plutonów, stępem, na długich wodzach, szwadron posuwa się powoli naprzelaj przez pola w kierunku Domprix. Kapitan jedzie nieco w tyle za szwadronem. Wtem dopada go galopem plutonowy Perrin.

— Panie kapitanie — krzyczy w radosnem uniesieniu — panie kapitanie, na lewo od nas jakiś oddział kawalerji zbliża się szosą od Landres.

W tej samej chwili rozlega się grzmot kilku strzałów, jedna lub dwie kule świszczą nad głowami i widać trzech jeźdźców, zbliżających się wyciągniętym cwałem. Pierwszy jest francuskim strzelcem, dwaj inni — kawalerzystami niemieckimi. Z szablami w dłoniach ścigają oni Francuza i doganiają go.

Na szczęście strzelec dojrzał bratni szwadron. Tam ratunek i zbawienie.

Ze zdwojoną szybkością umyka ku kolegom, popędzając konia z rozpaczliwym wysiłkiem. Niemcy zresztą zrozumieli jego manewr i, zrobiwszy wtył zwrot, porzucają swój łup. Jest to rezerwista z 10 pułku strzelców, tworzącego brygadę z dwunastym. Może chłop mówić o szczęściu!

Podczas tego kapitan de la Taille w towarzystwie podoficera żywnościowego i trębacza Munscha dopada w galopie małego

wzniesienia, położonego na północ od kopalni, skąd widać całą okolicę na południe i na wschód.

I rzeczywiście w odległości 1500 metrów dostrzega w chmurze pyłu spory oddział konny, na drodze z Longwy do Pont-à-Mousson, maszerujący na Landres. Przez lornetkę widzi dokładnie dwa mocne szwadrony, idące na równej wysokości w kolumnie plutonowej po obu stronach drogi. Drogą nieco w tyle zdąża oddział cyklistów w tym samym kierunku. Jeźdźcy mają na głowach „pikelhauby” i lance na udach. Nie ulega wątpliwości, że są to dragoni, prawdopodobnie straż przednia większej jednostki — brygady albo dywizji. Rzecz jest godna zastanowienia.

Nagle oba te szwadrony się zatrzymują. Szperacze rozbiegają się tam i sam, zbliżają się do Landres, powracają galopem do czoła kolumny, poczem prawie natychmiast cały oddział robi wtyły zwrot i oddala się. Prawdopodobnie jego dowódca doszedł do przekonania, że się zanadto wysunął naprzód i postanowił się cofnąć. Szwadron francuski może tedy swobodnie przejść przez tor kolejowy i wejść na drogę do Domprix. Kapitan opuszcza swój punkt obserwacyjny i wraz z nieodstępnym trębaczem dogania kłusem swe plutony, które przystały przed nowozbudowanym torem kolejowym nie wniesionym jeszcze na mapę. Przejście przezeń przedstawia pewne trudności. Kapitan postanawia więc przejść przez most, oddalony o 800 kroków, gdzie droga z Landres do Baroncourt krzyżuje się z linią kolejową, prowadzącą z Audun-le-Roman do Domprix. Rozkazuje porucznikowi de Préaulx, swemu pierwszemu oficerowi, aby przeprowadził szwadron stępem w tym kierunku i oczekiwał nań po osiągnięciu mostu, sam zaś wraca na lewo ku nieprzyjacielowi. Chce mieć pewność, że będzie mógł przejść przez most bez ryzyka. I w tej chwili dostrzega niebezpieczeństwo.

Dwa szwadrony nieprzyjacielskie wcale się nie wycofały; zmieniły jedynie kierunek marszu w celu obejścia zabudowań kopalniowych. Teraz znajdują się w odległości 300 metrów zaledwie, stojąc w szyku bojowym za południowo-zachodniem skrzydłem kopalni, z frontem zwróconym ku własnemu szwadronowi. Groźba jest poważna; zamiar niewątpliwy.

Gdy się jest, jak kapitan de la Taille, kawalerzystą z krwi i kości, to w podobnym wypadku natychmiastową i jedyną decyzją jest szarżować.

Chociaż jednak jest się kąpanym w gorącej wodzie, mimo pogardy śmierci oraz ukochania ryzyka, trzeba mieć głowę trzeźwą i rozu-

mować na długą metę. W mgnieniu oka kapitan obliczył dodatnie i ujemne strony swej decyzji. Z jednej strony — sława; z drugiej — nierówność sił: mniej więcej trzech na jednego, a nadto rozkaz: unikać walki i cofać się na Domprix; poza tem niebezpieczeństwo dodatkowe a bardzo prawdopodobne: oddział cyklistów, w myśl taktyki kawalerji niemieckiej, ukryty gdzieś wpobliżu; wkońcu niedogodność terenu zniżającego się ku mostowi, na dobitkę niebezpieczeństwo szarży z niezbadanym labiryntem kopalni na lewem skrzydle, skąd plutony niemieckie, zniemacka wyskoczywszy, mogą zaatakować szwadron od tyłu... to wystarcza. Kapitan de la Taille odpycha pokusę. Nie będzie szarżował narazie.

Lecz nie rezygnuje z walki.

Przy analizie własnych możliwości stawia się zarazem w położeniu dowódcy dywizjonu nieprzyjacielskiego. Czyż oficer ten, choćby nawet był najbardziej kiepskim kawalerzystą, może zrezygnować z atakowania swemi ośmiu plutonami osiemdziesięciu czterech Francuzów. Walka jest więc nieunikniona, bo przecież mowy niema o wymknięciu się i ucieczce do Domprix. Tak łatwe rozstrzygnięcie nie jest do przyjęcia dla oficera francuskich strzelców konnych.

Będziemy się tedy bili, lecz w warunkach jak najmniej korzystnych. W tym celu trzeba wyzyskać ciśnień mostu. Minąć go przede wszystkim, a jeżeli wróg ruszy do natarcia, starać się, aby spotkanie nastąpiło na moście lub przy wejściu nań. Tym sposobem zostanie zrównoważona liczebna przewaga nieprzyjaciela.

— Naprzód!

Powziąć postanowienie, wyskoczyć na czoło pierwszego plutonu i przejść z nim przez tor kolejowy jest dla kapitana de la Taille dziełem jednej chwili. Poczem rozkazawszy podporucznikowi Flocon, aby maszerował naprzód, sam zatrzymuje się na łanie owsa i przepuszcza mimo siebie resztę szwadronu, przez co znajdzie się na jego czołe przy sfrontowaniu go do tyłu.

Ale, żeby przebyć most, plutony muszą zmienić szyk, zwęzić front, kolumna się wydłuży, a zator jeźdźców przesłania kapitanowi widok nieprzyjaciela. Głupstwo. Cokolwiek się stanie, nic nie zaskoczy kapitana de la Taille.

Z chwilą gdy go minął ostatni strzelec, daje komendę:

— Plutonami w lewo wtył... do boju... maaaarsz!

Zrozumieli wszyscy. Bez rozkazu błysnęły wyrwane z pochw szable.

W tej samej chwili dowódca nieprzyjacielski, w nadziei zaskoczenia oddziału francuskiego w chwili odwrotu, wypuszcza swych dragonów do ataku. Nasi strzelcy słyszą za plecami niemieckie — „hura“, zanim dokonali zmiany frontu. W szwadronie mniej pewnym podobne położenie mogłoby niejednemu napędzić strachu.

W danym wypadku ani jednego słowa, ani jednego wahania. Szwadron gotów jest do walki.

Na nieszczęście wzdłuż szosy ciągnie się niedogodny rów, powodujący upadek kilku koni w czasie zmiany frontu, co wywołuje pewien nieporządek w szeregach; lecz z chwilą ukończenia zwrotu każdy pluton galopem zajmuje swe miejsce.

— Do szarży... Marsz, marsz!

I szwadron rusza cwałem...

Niemcy tymczasem również nie marudzili. Pierwszy szwadron, sformowany do boju naprzeciw trzech francuskich plutonów, rusza do szarży, zanim one zdążyły stanąć w pożądanym szyku. W dodatku Niemcom sprzyja teren, opadający od mostu ku łanowi owsa, gdzie strzelcy dokonywają zmiany frontu. Wreszcie drugi szwadron przechodzi z kolei przez most i gotuje się do podtrzymania i wsparcia pierwszego.

Zderzenie następuje niezwłocznie; zderzenie gwałtowne i brutalne.

W szeregach strzeleckich nikt się nie ociąga. Dla każdego wybiła godzina, do której sposobiły go długie miesiące wyszkolenia wojakowego, ćwiczenia oraz nastawienie psychiczne. Cały 12 pułk strzelców, jako pułk graniczny, wiedział, że wcześniej czy później chwila ta nadejdzie, a drugi szwadron wiedział o tem lepiej od innych.

Jego żołnierze tworzą jedną zwartą masę, jednym ożywioną duchem, jedna kieruje nimi wola: iść wszędzie za swym dowódcą i obalić każdą napotkaną przeszkodę. Za kapitanem de la Taille nikt nie tchórzy, wszyscy walą murem. Nikt nie może przewidzieć, jak się skończy spotkanie, lecz bez względu na wynik uwieńczy ono bogatym plonem wawrzynów skronie naszych zuchów. Szarżę prowadzi sam kapitan, a z nim trzech znakomych oficerów de Préaulx, chłop o złotem sercu, zamiłowany w żołnierce, który na własne żądanie ukończy wojnę w spieszonych kirasjerach, d'Halewyn, kolega zawsze pewny i zawsze wesoły o barach szerokich i żelaznych muskułach, oraz młodziutki, po ukończeniu Saint-Cyr świeżo upieczony podporucznik Flocon, który tego dnia szarżuje w mundurze szkolnym z pióropuszem rozwianym na wietrze.

Srodek strzeleckiego szwadronu rozluźnił się nieco z powodu upadku kilku koni przy skoku przez rów. Lawina niemiecka wali w tę dziurę wślad za płotem pochyłonych lanc. Lecz walka nie ustaje. Spotkanie wręcz jest krótkie, ale niezwykle zacięte.

Kapitan de la Taille w chwili zderzenia musi się porać z dwoma przeciwnikami. Jeden z nich chybia go pchnięciem lancy i umyka na lewo. Kapitan sztychem zamierza się na drugiego, lecz na nie-
szczęście rękę przeszywa mu lanca, której grot przechodzi między prętami rękojeści jego pałasza. Pomimo bólu nie wypuszcza szabli, nie może jednak posługiwać się nią. Jest poprostu rozbrojony. Wszelako nie traci zimnej krwi i bystrem spojrzeniem śledzi walkę.

Porucznik de Préaulx zetknął się oko w oko z jednym niemieckim oficerem. Sztychem szabli przeszywa mu ramię. Nieprzyjacielski oficer wypuszcza pałasz z ręki, zwisającej bezwładnie wzdłuż korpusu. De Préaulx zostawia go własnemu losowi, aby stawić czoło razem, spadającym nań ze wszystkich stron.

Porucznik d'Halewyn, pochyłony ku końskiej szyi, gna całą parą prosto przed siebie.

Prześlizguje się pod lancą, wymierzoną w twarz, natyka się na dragona z wytrzeszczonemi ślepiami, wrzeszczącego hura... i pakuje mu brzeszczot w brzuch aż po jelec. Nagle znajduje się poza linią niemiecką. Nuże! Wtył zwrot, by zanurzyć się w wir walki. Jakiś „Wachmeister“ dostrzega go i ryczy:

— Offizier!... Offizier!

W następnej chwili d'Halewyn jest otoczony. Ledwo zdążył jeszcze sztychem zranić podoficera w ramię, gdy odczuwa ostry ból w prawem kolanie i dostaje gwałtowne uderzenie w bok. Wyszadzony z siodła, spada na ziemię jak kłoda, podczas gdy koń jego się przewraca. Wpadł na niego zboku jeździec nieprzyjacielski na oszalałym zupełnie koniu. Mimo bólu udaje mu się dźwignąć z ziemi i oto znajduje się wśród dziesięciu lanc, wymierzonych w jego piersi.

Rozpacz podwaja siły młodego oficera. Gotów jest zginąć, jeżeli tak trzeba, ale z honorem i patrząc w oczy wrogowi. Szablę swą trzyma w garści. Nie mogąc dosięgnąć nieprzyjaciół, trzymających się przezornie na odległość lancy, paruje jak może, przeznaczone dla siebie pchnięcia, bądź szablą się zasłaniając, bądź broniąc się lewą ręką.

Wtem otrzymuje straszliwe pchnięcie prosto w twarz. Grot lancy jednego z dragonów przeszywa mu policzek, wyłamuje część szczęki, kaleczy język i zatrzymuje się dopiero na przednich zębach. D'Hale-

lewyn jednak nie upadł. Broni się zaciekle. Lecz nowy cios przeszzywa mu plecy. I wtedy nagle opuszczają go siły. Traci przytomność i bez ducha pada nosem w owies.

Podporucznik Flocon również zdołał wyjść cało z pierwszego zdarzenia, przyczem swoim szkolnym pałaszem dzielił po łbie dwóch dragonów. Lecz jego mundur czyni go nazbyt widocznym dla oczu napastników, otaczają go więc zewsząd. Młynkiem szabli usiłuje przerwać zacieśniający się dokoła niego krąg. Daje koniowi ostrogę i prześlizguje się między dwoma jeźdźcami, ale bezpośrednio potem koń jego potyka się w skoku i zwala się na drożynę, biegnącą dnem wąskiego rowu.

Flocon choć półomdlały, widzi jednak nad swą głową brzuchy koni niemieckich, przeskakujących przez fatalną dlań drogę. Mijając go, każdy jeździec stara się dosięgnąć go lancą, na szczęście jednak razy nie są celne. Udując zabitego, podporucznik uniknąłby niewątpliwie zawziętości swych przeciwników. Ktoby jednak takie snuł przypuszczenia, tenby musiał nie znać jego uczciwości w służbie. Szabla wyslizgnęła mu się z dłoni w upadku, został natomiast rewolwer. Dźwiga się więc z trudem i stara się wydobyć broń ze skórzaney pochwy. Daremny wysiłek. Pchnięcie lancą w głowę rozciąga go bezprzytomności na dnie rowu.

Wszyscy bez wyjątku żołnierze szwadronu spisali się dzielnie. Plutonowy Colin na początku spotkania przychodzi z pomocą kapralowi Taillard, kładąc strzałem rewolwerowym dragona, który chciał lancą przeszyć kolegę; sam pada z ręki niemieckiego oficera, śmiertelnie ranny kulą rewolwerową. Perrin, Cobée i Peyrard oraz kapral Rougeoreille wyróżniają się wyjątkowem męstwem. Plutonowy podkuwacz Charles z wściekłością kłuje na lewo i na prawo, rani przytem trzech przeciwników. Trębacz Morge, zrzucony z konia, nie chce się poddać. Wypuściwszy szablę, chwyta rewolwer i wypala sześć ładunków, aż otrzymuje sam kulę między żebra i kilka pchnięć lancą w głowę i twarz. Niemniej jednak zdołał zbiec i w nocy wrócić do pułku. Kapral Eyzannic, zwalwszy się z koniem do rowu, zrywa się natychmiast, zwołuje dwóch czy trzech ludzi, których spotkał podobny los, i rozpoczyna ogień do Niemców, zabijając sporo koni.

Lecz nawet zbiorowe męstwo nie może wyrównać tak wielkiej słabości liczebnej. Przedłużanie walki równa się skazaniu szwadronu na zagładę.

Zrozumiał to kapitan de la Taille. Ostrogą zmusza konia do skoku przez szeroki rów, pełny wody i zarośnięty sitowiem. Ta przeszkoda,

nie do przebycia dla ciężkich niemieckich koni, daje mu czas do oceny położenia i powzięcia decyzji.

W odległości 500 metrów ciągnie się skraj małego lasu la Mouriére. Tam postanawia zebrać szwadron i w razie potrzeby bronić się w pierwszym szyku.

Wierny Munsch, dzięki znakomitemu koniowi, przesadza rów za swym dowódcą. Na rozkaz przykładą trąbkę do ust i gra zbiórkę, co siły w płucach. Dźwięczne tony trąbki brzmią donośnie, poprzez szcęk broni, krzyki i przekleństwa.

Galopem, z ręką zakrwawioną, jak z proporcem szwadronowym nad głową, kapitan rusza naprzelaj w stronę lasu. Zalani potem i krwią, wywijając purpurowymi od posoki lancami i szablami, gonią za nim strzelcy. Przez chwilę Niemcy mają zamiar wykorzystać swą przewagę, widocznie jednak okupili ją zbyt drogo. Prawie natychmiast wyrzekają się pościgu, zostawiając nawet jednego jeńca w rękach strzelców.

Walka jest skończona. Straty są duże, niezaprzeczenie duże; dwunastu zabitych, w tem dwóch podoficerów i trzydziestu dwóch rannych, między nimi trzech oficerów i trzech podoficerów. Lecz, proszę sobie wyobrazić, jakie byłyby straty tego samego szwadronu, gdyby jego dowódca nie zdecydował się na przyjęcie ataku przeciwwuderzeniem. Tylko ucieczka, ucieczka w całym tego słowa znaczeniu mogłaby uratować szwadron od dopadnięcia go z tyłu przez dwa szwadrony nieprzyjacielskie i w następstwie od zupełnej zagłady.

Lecz jego dowódca inaczej się zapatrywał na obowiązki oficera kawalerji. Zwycięstwo było mało prawdopodobne, prawie niemożliwe. Należało więc przynajmniej bić się z honorem przy jak najmniejszych stratach.

Szarża pod Landres pozostanie jedną z najpiękniejszych walk konnych z czasów wielkiej wojny.

Przed zakończeniem tego opowiadania wspomnijmy o dzikości, z jaką odnosili się do rannych i rozbrojonych Francuzów kawalerzyści niemieccy, z wyjątkiem oficerów.

Porucznik d'Halewyn, spadłszy z konia twarzą do ziemi, niezupełnie utracił przytomność. W półomdleniu słyszy zgiełk walki i niejasno zdaje sobie sprawę, że galopują przez niego konie, a zarazem dochodzą go jakieś dziwne odgłosy, jakgdyby niewidzialne ręce obrzucały kamieniami ziemię dokoła niego. Złudzenie to trwa niedługo. Potężne żgnięcie lancą w ramię każe mu zrozumieć przyczynę tego niemiłego szmeru. Każdy Niemiec, mijając go, godzi weń grotem lan-

cy. Pierwsi, na szczęście, chybiają go źle wymierzonymi razami, lecz następni celują bardziej starannie, haniebnie znęcając się nad ciałem, zbaczając krwią. Jedenaście jeszcze ran otrzymuje w ten nieczyny sposób.

Te pchnięcia zresztą nie sprawiają mu prawie żadnego bólu. Za każdym razem doznaje najwyżej wrażenia, jakby go ktoś kijem uderzał po grzbiecie. Lecz krew bucha zeń obficie nosem i ustami, odczuwa więc dziwne zmęczenie i gwałtowną potrzebę natychmiastowego snu. Tymczasem zamęt dokoła cichnie. Ranny zdaje sobie sprawę, że walka albo się skończyła, albo oddaliła się od niego.

Spokój nie trwa długo. Słysząc kroki koni, zbliżających się stępem. Gdybyż to byli Francuzi... Gdyby go stąd zabrali... leczyli... uratowali... może. Nadzieja dodaje mu sił do nieznacznego dźwignięcia głowy.

— Nie... To znowu są Niemcy... jest ich trzech, powracających z boju na wyczerpanych koniach. Ale spostrzegli rzucającego się trupa. Natychmiast bodą konie ostrogami, otaczają porucznika d'Halewyn z zamiarem dobicia go. Zatrzymuje ich donośny okrzyk:

— Halt.

Galopem zbliża się oficer niemiecki, sam dowódca nieprzyjacielskiego dywizjonu, major Mozer ze sztabu dywizji kawalerji von Schlettowa. Zatrzymuje konia nad kąpiącym się we własnej krwi rannym, przygląda mu się przez chwilę i wkońcu zagaduje go po francusku:

— Officier... Monsieur vous êtes prisonnier.

Do pioruna. Trudno zaprzeczyć. Lecz w jakimże smutnym stanie jest ten jeniec, przeszyty trzynastoma pchnięciami lancy, z których dwa przebiły mu płuca. Tymczasem Niemiec ostrym głosem daje rozkazy swym trzem dragonom. Żołnierze zsiadają z koni, podnoszą jeńca i kładą go nawznak. Obaj oficerowie spoglądają na siebie. Jeden ma w oczach błysk zwycięstwa, drugi rezygnację konającego.

Wreszcie odzywa się major Mozer, nie odwracając oczu od rannego:

— Ce n'est rien, Monsieur... Ah. Cette guerre est terrible...

I zapatrzony w dal powtarza:

— Terrible... Terrible.

Poczem oddala się, ponowiwszy jeszcze swój rozkaz, dany poprzednio dragonom.

Trzech drabów bezzwłocznie zdejmuje rannemu czako, zabiera mu rewolwer, szablę, rozpina mundur, obmacuje ciało.

Jeden z nich natrafia na pas, w którym brzęczy kilka ludwików. Aby dostać się do nich jak najprędzej, unoszą nieco rannego i wyrwawszy pas, bezładnego rzucają na ziemię.

Leży oto kilka centymetrów od końskich kopyt. Wystarczy, by którykolwiek koń cofnął się na cal, a zmiażdży mu głowę lub tułów, gdyż nie może się zdobyć na najmniejszy nawet ruch.

Podzieliwszy się złotem, dragoni chwytają porucznika d'Halewyn i zarzucają go niby tłumok na grzbiet jednego z koni. Nie mając siły do utrzymania się na siodle, nieszczęśnik kładzie się na końskiej szyi, z rękami zwisającymi bezwładne po obu stronach. Dwaj dragoni dosiadają swych koni, spieszony Niemiec ciągnie za sobą swego wierzchowca i w ten sposób ponury korowód rusza z miejsca.

Za każdym krokiem ciało d'Halewyn zsuwa się, to na prawo, to na lewo, a wówczas jeden ze zbirów chwytą go za ramiona i brutalnie kładzie z powrotem na końskiej szyi, nie szczędząc rannemu przekleństw i obelg. Prawdziwą kalwarią jest ta droga.

Nakoniec się zatrzymują. D'Halewyn otwiera powieki. Naprzeciw niego na polu stoi moc kawalerji niemieckiej, sformowanej w masę. Ilu ich jest? Brygada czy dywizja. Trudno określić. W każdym razie mają za sobą długi marsz, bo konie ich są w pianie. Nowy ból przeżywa serce francuskiego oficera, gdy uświadamia sobie, że jak pożałowania godny i zakrwawiony łachman wystawiony jest na widok setkom wrogów. Chciałby przynajmniej się wyprostować... Daremnie.

Nagle głos majora Mozera rozlega się znowu w pobliżu. Powtarza on swoje poprzednie zdanie:

— Ce n'est rien, Monsieur.

To nic... Do czego odnoszą się te słowa? Jeżeli do trzynastu ran, któremi krwawi d'Halewyn, toby Francuz wolał raczej widzieć Niemca na swoim miejscu. Niemniej jednak należy oficerowi niemieckiemu oddać sprawiedliwość, że się opiekuje swym jeńcem. Na jego rozkaz nadbiega lekarz pułkowy z kilku sanitariuszami. Ostrożnie kładą rannego na murawie, zdejmują zeń bluzę i koszulę, bandażują mu twarz i pancerzem z waty oraz gazy i opasek owijają cały tułów.

— Czy może iść? — pyta major.

— Bezwarunkowo nie — stwierdza doktor.

Po krótkiej naradzie sanitariusze krzyżują dłonie, sadzają na tem zaimprovizowanym krześle d'Halewyn i ruszają w drogę. O jakieś 200 metrów znajduje się opuszczona i zrabowana kawiarnia. Dwaj

Niemcy niosą tam swój ciężar. Układają go na podziurawionej i zalanej krwią kanapie, poczem odchodzą bez dalszych ceregieli.

D'Halewyn zostaje sam na pastwę zrozumiałe ponurych myśli. Czuje wyraźnie, że śmierć zbliża się krok za krokiem, nieuchronnie. Czyż ma zdechnąć tak samotnie, porzucony przez wszystkich jak pies.

Nie. Dwaj ranni niepewnymi krokami wchodzą do brudnej izby. O radości. To właśnie dwaj strzelcy z jego plutonu, z których jeden zalicza się do najdzielniejszych, do tych, co najbardziej bohatercko walczyli, kapral Rougeoreille. Jego towarzysz otrzymał pchnięcie lancą w głowę. Na szczęście grot się ześlizgnął, powodując jedynie silny krwotok przy względnie lekkiej ranie.

Sam Rougeoreille jest ciężiej ranny. Zabity koń, padając, przygniótł go swym ciężarem. W tem położeniu Niemcy zadali mu osiem pchnięć lancą, nadto ma dłoń napół zmiażdżoną kopytem i kości wszystkich palców obnażone. Jeszcze mało było tego jego przeciwnikom. Po ukończonej utarczce dragoni zsiadli z koni, a jeden z nich, schwytawszy karabin rannego, wypalił mu w sam środek piersi.

Mimo strasliwej utraty krwi, mimo okropnego bólu, spowodowanego licznymi ranami, dzielny chłopak nie stracił ducha. Opowiedziawszy swe przygody, kończy z oburzeniem:

— Wszystko to nic. Ale najgorsze świństwo, że miałem manierkę rumu... i te dranie wychlały wszystko do ostatniej kropelki... Ani jednego łyku dla mnie nie zostawili.

Na prośbę d'Halewyn, który jest bliski omdlenia, Rougeoreille odwija duszące go opaski, co sprawia oficerowi pewną ulgę. Z wysiłkiem stara się od czasu do czasu odetchnąć. Wówczas powietrze wydostaje się przez rany na plecach i uczucie duszności się zmniejsza.

W takim stanie pozostaje do piątej rano, kiedy dwaj lekarze niemieccy wchodzą do kawiarni i obejrzawszy powierzchownie rannych kazał ich załadować na wóz i skierować do Fontoy, gdzie się znajduje szpital polowy.

Tam d'Halewyn dzięki oficerskiemu stopniowi zostaje zbadany przez „General-Arztę“ we własnej osobie. Skończywszy swe badanie, wyrokuje on z powagą:

— Mój panie, według wszelkiego prawdopodobieństwa czeka pana śmierć... Ale może pan i nie umrze... Powiem to panu za dziesięć dni.

I d'Halewyn nie umarł, dzięki wyrokowi niebieskim i niezwykle silnemu organizmowi.

Flocon, mniej ciężko ranny, został doprowadzony do miejsca postoju 20 brygady kawalerji, w której skład wchodził 2 pułk dragonów badenских. Do niego należały dwa szwadrony, dowodzone przez majora Mozera.

Tam spotkał się z porucznikiem niemieckim, ranionym w przedramię przez porucznika de Préaulx. Oficer ów, niezwykle dobrze wychowany i uprzejmy, takimi przywitał go słowami:

— Panie, proszę mi pozwolić uścisnąć pańską dłoń oraz wypowiedzieć cały mój podziw. Pański dowódca, koledzy pańscy i podkomendni oraz pan sam osobiście daliście dowody niezwyklego męstwa i odwagi. Zasłużył pan na lepszy los.

Los istotnie był opłakany. Ukończyć szkołę, dostać się do pułku zaledwie przed czterema dniami i przy pierwszej potyczce zostać ranionym, a na dobitkę dostać się do niewoli, to zaiste nadmiar nieszczęścia.

Flocon nie mógł się pogodzić z myślą, że wielką wojnę spędzi w więzieniu niemieckim. Skoro tylko podleczył się z ran, jednym tylko żył pragnieniem: uciec. Trzy razy próbował ucieczki, trzy razy srogą karą przypłacił swe zuchwalstwo. Ale nie należał do ludzi wyzlekających się tego, co raz postanowili.

Po raz czwarty spróbował szczęścia i po niezwykle przygodach, które, miejmy nadzieję, zostaną kiedyś opowiedziane, 27 stycznia 1918 zdołał przejść przez granicę holenderską.

Powrócił jeszcze wporę, aby uczestniczyć w zwycięstwie.

OSTATNI PODJAZD SZWADRONU PORUCZNIKA GIRONDE

(9—10 września 1914).

Dnia 9 września 1914 r. koło godziny 1 po południu 5. dywizja kawalerji, pod dowództwem generała de Cornulier-Lucinière, stanęła na płaskowzgórzu, położonem na południe od Villers-Hélou, wykonując z rozkazu generała Maunoury ostatnią fazę słynnego zagonu.

Poprzedniego dnia wyruszyła z okolicy Nanteuille-Haudouin z zadaniem przedostania się za wszelką cenę na wschodni brzeg rzeki Ourcq. Rzeka ta, broniona uporczywie przez von Klucka, służyła mu za podstawę do przeciwuderzeń. Generałowi de Cornulier-Lucinière przykazano, aby jego artylerja zagrzmiała na tyłach armji niemieckiej na obszarze Ferté-Milon.

Dywizji udało się przejść do lasu Villers-Cotterets, obejść główne siły prawego skrzydła nieprzyjacielskiego i zatoczyć działa na pozycję na wzgórzach, ciągnących się do Ferté-Milon ku wschodowi, budząc przerażenie i zwątpienie wśród sztabów nieprzyjacielskich. Na nieszczęście jej atak na lotnisko niemieckie pod Mosloy załamał się w ogniu karabinów maszynowych. Lekka brygada dywizji poniosła przytem ciężkie straty.

Niemniej jednak zdołała dywizja, przez nikogo nie niepokojona, spędzić noc na biwaku w lesie Villers-Cotterets i ze świtem dojść do płaskowzgórza pod Chouy, skąd znowu ostrzelała liczne oddziały wojska i taborów, wychodzące z Ferté-Milon i z Neuilly-Saint-Front. Ta kanonada, nieoczekiwana w okolicy całkowicie opanowanej przez nieprzyjaciela, wywarła olbrzymie wrażenie. Ale w celu uniknięcia otoczenia i zniszczenia dywizja musi być w nieustannym ruchu, zjawiać się w jednym miejscu poto tylko, by po wywołaniu zamieszania

nia zmykać i pokazywać się gdzie indziej. Dlatego właśnie znalazła się na ostatniej pozycji, w połowie odległości między Soissons a Ferté-Milon.

Generał de Cornulier-Lucinière postanawia wysłać dwa podjazdy: pierwszy, w składzie dwóch szwadronów 22 pułku dragonów z drużyną ciężkich karabinów maszynowych pod rozkazami majora Joullie, ma dojść do drogi z Soissons do Oulchy-le-Château i rozgromić wszystkie napotkane oddziały służb i taborów; drugi, w sile jednego szwadronu, z 16 pułku dragonów pod dowództwem porucznika Gironde, ma ruszyć w kierunku Soissons z zadaniem: obserwować ruch, wychodzący z tej miejscowości, i w razie okazji napadać na mniejsze oddziały i tabory.

Ponadto generał postanawia tego jeszcze samego wieczora powrócić za linje własnych sił z powodu braku amunicji, której pozostało zaledwie po kilka ładunków na człowieka i po kilka pocisków na działo, a nadto z powodu doszczętnego wyczerpania koni. W jaki sposób i gdzie zdoła tego dokonać? Tego nie wie. Zamknięty od czterdziestu ośmiu godzin za barierą wojsk nieprzyjacielskich, nie ma wyobrażenia o przebiegu bitwy nad rzeką Ourcq. W tamtej stronie armaty ryczą nieustannie. Czy się front przesunął bardziej ku północy? Na wszelki wypadek wyznacza generał, jako punkt dołączenia się podjazdów do dywizji, okolicę Nanteuil-le-Haudouin. Stamtąd wyszedł, tamtędy będzie próbował powrócić.

Szwadron porucznika Gironde, opuściwszy dywizję, posuwa się naprzelaj w kierunku Soissons. Będziemy mu towarzyszyli w jego tragicznym pochodzie.

A najpierw — czy to jest naprawdę szwadron? Co najwyżej cień szwadronu. Liczy zaledwie 54 ludzi, t. j. mniej niż połowę regulaminem przewidzianego etatu i to w jakim stanie, wielki Boże! Przecież od czterdziestu dni jest w marszu albo w boju prawie bez wytchnienia. Nieskończenie długie pochody z korpusem Sordet'a w Belgji, marsze, kontrmarsze, walki odwrotowe, upały, ulewy, wszystkiego już użyli jego ludzie i wszystko to zużyło ich siły. Mimo uzupełnienia, otrzymanego pod Wersalem, oddział stał się zaledwie szwadronem szkieletowym. 7 września walczył cały dzień, przydzielony do piechoty, na północ od Betz, nazajutrz zaś na koniach kalekich i zmordowanych musiał przebyć ponad 60 kilometrów, aby wraz z towarzyszami z 5 dywizji przekraść się na tyły bitwy, do kraju zajętego przez Niemców.

Od rana dnia dzisiejszego przemaszerował już koło dwudziestu kilometrów, przyczem sporo koni padło z przemęczenia. Teraz znów, pozostawiony sam sobie, musi maszerować i jeszcze maszerować, aż do całkowitego wyczerpania sił, aby swem bohaterskim przedsięwzięciem uzyskać wyniki, leżące w granicach ludzkich możliwości.

Na szczęście, istnieje siła, której nie zdoła naruszyć ani zmęczenie, w napięciu swem dochodzące do bólu, ani śmiertelna potrzeba snu. Siłą tą jest niezrównany duch, panujący wśród oficerów i żołnierzy. Od początku wojny ożywiający ich zapal nie przygasł ani na chwilę. Nie zmniejszyły go żadne niepowodzenia, żadne klęski. Duch ten podtrzymuje ich w nieszczęsnej doli.

Szwadron szczyli się oficerami wypróbowanymi, przekonanymi głęboko, że ich żołnierze pójda za nimi wszędzie, bez względu na trudy i ofiary. Dowodzi szwadronem porucznik Gironde, który niezwykłym cnotom żołnierskim zawdzięcza, przy niskim stopniu, zaszczytną funkcję; za nim idą czterej dowódcy plutonów: de Kerillis, Gaudin de Vilaine, de Villelume i Ronin — wszyscy jednakiem płonący animuszem, wszyscy jednakowo dziarscy i mężni.

Ach! Gdybyż ich konie miały jeszcze nogi i grzbiety z pierwszego sierpnia, z jaką ochotą, z jakim sercem nasi dragoni maszerowaliby w poszukiwaniu przygód. Lecz narzędzie ich pracy jest zużyte, bliskie zniszczenia, co napęłnia ich dusze ciężką troską. Kto sam tego nie przechodził, ten nie zrozumie nigdy wzruszającego smętku kawalerzysty, gdy czuje pod sobą konia goniącego resztkami sił, utykającego, zataczającego się wśród oznak zbliżającej się śmierci.

W takich oto warunkach 2 szwadron 16 pułku dragonów maszeruje w kierunku Soissons.

Zaledwie oddalił się od macierzystej dywizji, już się czuje samotny, zgubiony w tym terenie, gdzie każdy dom, każdy krzak, każdy płot może ukrywać szereg nieprzyjacielskich karabinów. Położenie tego oddziału jest pełne wielkości i grozy zarazem. Jest już tylko mizernym pyłkiem, skazanym na zagładę, lecz ciąży na nim najświętszy, najchwalebniejszy obowiązek. Od tej chwili między pięćdziesiątką jego ludzi, a ich braćmi, walczącymi nad Ourcq, wznosi się olbrzymia zaporą: 300.000 żołnierzy von Klucka i tysiące jego armat.

Przedewszystkiem należy unikać dróg, po których krążą nieustannie tabory pod osłoną zbyt poważnych sił, aby można odważyć się na zaatakowanie ich w pięćdziesiąt szabel. Gironde prowadzi swój oddział od jednego gaju do drugiego, od jednego zagłębienia

w terenie do drugiego, skokami i z szybkością, na jaką mu pozwala stan koni. W ten sposób bez przeszkód dochodzi na odległość ośmiu kilometrów od Soissons.

Dalej nie można się posuwać bez narażenia na wykrycie. Znajduje się bowiem w kącie, utworzonym przez drogi, wiodące z Paryża i Oulchy-le-Château, zbiegające się w Soissons. Dotąd cudem uszedł niespostrzeżony, lecz przy najmniejszym wysunięciu się ku północy będzie widoczny z jednej i z drugiej drogi i wzięty we dwa ognie.

Opodal znajduje się duży folwark, schowany w dolinie, opadającej ku rzece Crise. Szpica pośpiesznie przekonywa się, że niema tam nieprzyjaciela i natychmiast szwadron cały kryje się w czworoboku zabudowań. Bramy zostają zabarykadowane i starannie ukryte czujki, rozstawione dokoła. Wówczas Gironde przyzywa podporucznika Ronin.

— Chcę — oznajmia mu — wiedzieć dokładnie, co się dzieje dzisiaj na drodze paryskiej. Czy Bosze mają zamiar opuścić linję rzeki Ourcq, czy przeciwnie — umocnić się na niej. Oto, co musimy wiedzieć i o czem nas pouczy ruch na drodze. Lecz nie chcę lekko myślnie poświęcać resztek szwadronu. Niech mi pan zdobędzie potrzebne wiadomości zapomocą wypytywania mieszkańców, unikając spotkania z Niemcami. Lecz gdyby pan widział jaką możliwość działania, proszę mnie o tem szybko uprzedzić. Nie zawaham się przed żadnem ryzykiem. Tymczasem postaram się napoić nasze konie i dać im nieco wytchnąć.

Powróciwszy do swego plutonu, Ronin domaga się trzech ochotników do poleconego mu patrolu. Jednogłośnie zgłaszają się wszyscy, wybiera więc kaprała Rousseau i dwóch dragonów, z końmi mniej zmizerowanymi od innych, a potem w drogę. Stępem, przezornie, z oczyma czujnymi i szablą w garści posuwa się między obiema drogami. Dalekiem obejściem udaje mu się dotrzeć do wschodnich zabudowań Vauxbuin, rozległej wsi, dochodzącej za chodnim krańcem do drogi paryskiej.

Ukrywszy się w cieniu sadu, wywołuje ostrożnie kilku mieszkańców. Pocziwcy, zdumieni widokiem francuskich dragonów, nie posiadają się z radości i starają się dostarczyć oficerowi potrzebnych wiadomości. Tak jest, we wsi są w tej chwili oddziały niemieckie; wypoczywają wzdłuż drogi przed dalszym marszem ku frontowi. Ze strony nieprzyjaciela niema nawet mowy o cofaniu się; liczne kolumny żywnościowe i amunicyjne wyszły z Soissons w stronę frontu... od rana ponad trzysta wozów przeszło drogą paryską w tym

kierunku...; w przeciwnym kierunku, do Soissons zdążają wozy sanitarne i podwody, zapelnione rannymi.

Podziękowawszy gorąco zacnym ludziskom, Ronin klusem powraca do szwadronu, którego dowódca po zaznajomieniu się z położeniem uważa za swój obowiązek przekazać jak najszybciej uzyskane wiadomości swym przełożonym. Odpowiedni meldunek powierza wachmistrzowi Lallemant, tęgiemu i zręcznemu podoficerowi, zdolnemu do uniknięcia wszelakich zasadzek. Musi zrobić wszystko, aby odnaleźć dywizję i doręczyć kopertę generałowi de Cornulier-Lucinière. Będzie mu towarzyszył jeden jeździec na dobrym wierzchowcu.

Wysławszy wachmistrza, Gironde postanawia wracać. Już jest wpół do czwartej i noc za pasem. Niema czasu do stracenia, jeśli idzie o wyzyskanie istniejących jeszcze, aczkolwiek skromnych widoków powrotu do oddziałów francuskich. Odległość od nich wynosi 35 kilometrów w linii powietrznej, a przecież w dodatku ostatni ów odcinek drogi trzeba przebyć stępem, jeśli się chce doprowadzić wszystkie pozostałe w szwadronie konie. Oddział opuszcza tedy folwark i w linii plutonów czwórkami podąża do lasu Villers-Cotterets. Nie przebył jednak 500 metrów, gdy się natknął na ogień pieszej tyraljery, wychodzącej nań od czoła. Galopem wtył, marsz...! Szczęśliwie bez strat. A właśnie ten odcinek drogi paryskiej jest w tej chwili wolny, przeskakuje go więc Gironde, a wślad za nim jego ludzie, i nie zwalniając tempa, dopadają do innego folwarku, położonego na zachód. Tam ukrywa się szwadron wśród budynków. Niestety. W szalonej ucieczce padło sporo koni, martwych lub napół martwych z wycieńczenia. Ich jeźdźcy, nie chcąc wpaść w ręce nieprzyjaciela, uciekają biegiem i zdążają w kierunku, gdzie zniknęli ich koledzy.

Podczas gdy się plutony zbierają, a konie mają czas odsapnąć, Gironde śpieszy ku drugiej stronie zabudowań folwarcznych i przez lornetkę bada teren między tymczasowem schroniskiem, a skrajem lasu. W odległości niespełna 800 metrów stoi bataljon niemiecki, rozwinięty po obu stronach drogi, panując w ten sposób nad zachodnim skrajem lasu, gdzie porucznik miał nadzieję znaleźć schronienie dla ludzi. Ten więc kierunek odwrotu jest dla nich zamknięty. Wszelka nadzieja połączenia się z dywizją pierzcha, odtąd może liczyć tylko sam na siebie. Wobec niemożliwości przebicia się w kierunku południowo-zachodnim, kieruje się na północ-zachód, starając się iść wzdłuż korytarza między lasem Villers-Cotterets

a lasem Compiègne; w razie potrzeby da nurka w ten drugi i postara się znaleźć wyjście bardziej na północy.

Szwadron stopniał do 45 jeźdźców. Dziesięciu innych, których konie padły i nie dźwignęły się więcej, tworzy oddziałek pieszy, podążający za plutonami konnymi, z mocnym postanowieniem kierowania się śladami kopyt, w razie stracenia z oczu szwadronu.

Powoli, ze wszystkimi możliwymi ostrożnościami, wyrusza konny oddział, wślizgując się w nieznaczne zagłębienia terenu, przecinające równinę we wszystkich kierunkach. Co chwila musi przystawać, badać położenie, wysłać szperaczy, aby się upewnić, że nie wpadnie w zasadzkę. Między temi przymusowymi przystankami, ze względu na ostateczne osłabienie koni, marsz może się odbywać tylko stępem, co zresztą ułatwia spieszonym dragonom utrzymanie łączności.

Godziny lecą z rozpaczliwą szybkością. Wieczór się zbliża; już się kształty terenu zacierają, przybierając wygląd podejrzanym i wrogim; z każdym krokiem, z każdą minutą rośnie niebezpieczeństwo. Noc już zapanowała czarna, gdy szpica natknęła się na głęboki wąwóz Coeuvres, którym płynie rzeka. Stóóój!

W ciemnościach przeszkoda wydaje się niemożliwa do przebycia. Istotnie nie można marzyć o zejściu zboczem, spadającym niemal prostopadle do rzeki, z wysokości stu metrów. A czyż wolno puścić się drogą, pełną zakrętów, prowadzącą do mostu pod wsią Couevres? Można iść o każdy zakład, że wieś i most są obsadzone i że szwadron będzie zmiążdżony w tej ciaśninie. Ponieważ jednak niema innego przejścia, trzeba rozpoznać przynajmniej to jedyne.

Gironde postanawia wysłać patrol podoficerski w celu zbadania przejścia, szwadron zaś tymczasem zsiada z koni i kryje się w cieniu zarośli. Ludzie, zmożeni trudami, kładą się na ściernisku i zasypiają, podczas gdy oficerowie, zebrani u wylotu drogi, czekają z przejmującym niepokojem.

Noc jest łagodna i przepełniona wilgocią. Ponad ciemną masą lasu Villers-Cotterets niebo się czerwieni od łun pożarów i błysków ognia armatniego. Tutaj, dokoła osamotnionego i wymęczonego oddziałku, panuje względna cisza. Jedyne tylko hałas niezliczonych wozów, toczących się we wszystkich kierunkach, oraz szmer nieokreślony, złożony z różnorodnego stukotu, dreptaniny zwierząt i szczęku żelazniwa, przypomina że kraj jest w rękach nieprzyjaciela.

Oficerowie wytężają słuch, wstrzymują oddech. Odgłos kroków oddalającego się patrolu przycichł, minuty ciągną się w nieskończoność, napięcie nerwów dochodzi do fizycznego bólu. Oczekują każ-

dej chwili krótkiego trzasku karabinowego wystrzału, po nim salwy, a później galopady koni, uciekających przed śmiercią. Odpowiada im głucha cisza.

Nagle cienie jeźdźców zamajaczyły na białej taśmie drogi. To powraca patrol w całości. Oficerowie cisną się wokół powracających, wysłuchują słów wygłaszanych szeptem, które, niby uderzenia siekiery, rozbijają ich marzenia.

Na drodze niema nikogo ani niczego... prowadzi ona do mostu dość odległego od wsi... Na tym moście barykada z powywracanych wozów... Panuje ona nad drogą na przestrzeni 500 metrów..

Przekleństwa witają tę złą nowinę. Więc cóż?... Czyż wszystkie przejścia są pilnowane? Chwilowy zamęt zapanowuje w sercach tych dzielnych ludzi. Gironde nie chce jednak pozwolić, aby się przemienił w zwątpienie.

— Spróbujemy przedostać się bardziej na północ. W okolicy Laversine znajdziemy niewątpliwie most. Małe jest prawdopodobieństwo, aby i ten był obsadzony.

Możliwości nie są zbyt wielkie, ale należy je wypróbować. Oficerowie i podoficerowie muszą budzić żołnierzy tarposzeniem i szturchańcami. Tak słodko im się spało... jeszcze nieprzytomni ze snu z trudem dosiadają koni, wykonywając szereg regulaminowych ruchów, przyczem zdaje im się, że w męczącym śnie patrzą na innych ludzi, wykonywających owe poruszenia.

Krokiem powolnym, ociągłym rusza szwadron naprzelaj przez pola. Księżyc ukazuje się od czasu do czasu, nadając przedmiotom fantastyczne kształty, wydłużając cienie, przesadnie rysując zagłębienia, pozwalając marnym żywopłotom udawać skraje głębokich lasów. Za jeźdźcami posuwa się piesza gromadka, zdrożona, lecz podtrzymywana silnem postanowieniem uniknięcia niewoli.

Pochód prowadzi Gironde, obwąchując, wymacując, wyszukując przejścia. Nagle dostrzega słabe światełko, migocące przez drzewa... zatrzymuje szwadron i sam podchodzi bliżej. Samotna chata rysuje się przed nim w cieniu. Oficer puka do okna i daje się poznać. Dzielny wieśniak wychodzi osłupiały, wypytuje się, ofiarowuje swą pomoc i radę.

— Most pod Laversine... Niech pana Bóg broni, panie oficerze. Byłem tam dziś po południu. Jest silnie pilnowany i zabarykadowany.

Gironde'a ogarnia nagle niezmierne zmęczenie. Ma wrażenie, że nerwy jego zbyt naprężone popękały. Niema już widoków wyba-

wienia... Bierze go pokusa, aby wyciągnąć się tu, na miejscu, wypocząć, wyspać się, zapomnieć... Lecz głos zanego chłopka przypomina mu obowiązki:

— Jest wprawdzie mały mostek między Coeuvres a Laversine... tylko że dojście do niego jest djabelnie trudne, bo droga bardzo stroma i wąwozista... ma on jednak jedną zaletę. Leży w szczerem polu, oddalony od obu wiosek, nie myślę więc, żeby był pilnowany, gdyż prowadzi przezeń polna droga... Jeżeli panowie chcecie, mogę zaprząć swój wózek i zaprowadzić was do drogi, skąd poprostu zjeździecie do mostu.

Nadzieja powodzenia dodaje sił oficerowi. Przyjmuje ofiarowaną pomoc i serdecznie ściska prawicę dzielnego człowieka, który nie wątpliwie naraża swe życie. Podczas gdy on zaprzęga wózek, Gironde dzieli się dobrą nowiną z kolegami.

— Zrobimy tak, powiada. — Zatrzymamy szwadron w ukryciu, w odpowiedniej odległości, a ja sam galopem doskoczę do mostu. Jeśli nie usłyszycie strzałów, natychmiast przyprowadzicie kłusem szwadron.

— Gironde — odpowiada mu Kérillis — nie wolno ci tak postąpić. Jesteś dowódcą szwadronu i nie masz prawa narażać swego życia bezużytecznie. Do mnie, jako do dowódcy czołowego plutonu, należy ta czynność.

Po żywej wymianie słów Gironde ulega zgodnej opinii wszystkich kolegów; zezwala tedy, aby Kérillis sam pojechał na ten niebezpieczny wywiad.

Nadjeżdża wózek ze skrzypieniem i terkotem. Skręca na prawo i bierze kierunek prostopadły do zbocza. Szwadron dwójkami idzie wśląd za nim, zagłębiając się w ciemność pełną zagadek.

Straszliwie wyboista droga spada stromo do rzeki. Przed oficerami Gironde i Kérillis toczy się niezdarnie chłopska bryczuszka, jako szpica, zaiste niezwykła. Nagle zatrzymuje się na skraju drogi, zostawiając wolne przejście. Wieśniak pochyła się i półgłosem mówi:

— Teraz idźcie prosto przed siebie. Nie można zablądzić. Do widzenia i powodzenia, zuchy!

— Dzięki i do widzenia.

Jeszcze przez pewien czas szwadron zjeżdża spadzistemi zakrętami, lecz wkrótce teren się wyrównywa pod nogami koni. Oddział znajduje się na dnie wąwozu. Most musi być już niedaleko, dojrzeć go jednak niesposób, albowiem brzeg rzeki zarośnięty jest haszczami, wśród których wije się drożyna. Gironde zatrzymuje szwadron.

i zgodnie z umową Kérillis rusza galopem. Podkowy jego rumaka dudnią po twardym gruncie, jeżeli most jest strzeżony, zostanie niechybnie ostrzelany. Lecz nie, odgłos galopady przycicha, a nic nie nasuwa podejrzenia, że jeździec natknął się na jakąkolwiek przeszkodę.

— Naprzód!

Oddziałek zapuszcza się w mały i rzadki las, mija jakiś ciemny budynek, zapewne młyn i spotyka Kérillisa, idącego na spotkanie swoich.

— Na moście niema nic, oznajmia. — Niema nic i nikogo na pierwszy rzut oka z drugiej strony... lecz posłuchajcie.

Na północ, najwyżej w odległości 600 do 700 metrów, rozbrzmiewa donośnie turkot kół, tupot kopyt i szczęk łańcuchów. Niema dwóch zdań, że to artylerja ciężka przechodzi przez most pod Laversine. Odgłosy rozkazów, przekleństw, chrapliwych wrzasków zagłuszają hałas i dolatują do uszu Francuzów. Ale tu na tym moście między Laversine a Coeuvres żadna przeszkoda nie zamyka drogi szwadronowi. Teraz wspina się on na przeciwległe zbocze ścieżyną równie stromą i krętą, jak ta, po której przed chwilą się schodziło. I zadziwiająca rzecz, póki się znajdowali w tej ciemnej i ciasnej pułapce, gdzie wszystkiego należało się obawiać, skądby w razie zasadzki żywa noga nie zdołała wyjść, nasi dragoni czuli się prawie zupełnie bezpiecznie. Obecnie, wyszedłszy na płaszczyznę, mają wrażenie, że są widoczni ze wszystkich stron. Istotnie, mimo mroków nocy, niebo jest tak rozświetlone łunami, że toną poprostu w blaskach światła. Każdej chwili może się zacząć strzelanina, niewiadomo skąd wychodząca.

W każdym razie trzeba jak najprędzej porzucić drogę, ponieważ ruch oddziałów jest tak samo ożywiony w nocy, jak i w dzień. Zaraz przeto po wyjściu z ciałniny Gironde przechodzi z oddziałem w luźny szyk i przez pola naprzelaj, na los szczęścia, rusza w kierunku zachodnim. Maszeruje tak godzinę. Dragoni, zmęczeni trudami, zasypiają na kulbakach, konie posuwają się odruchowo i bezwiednie, bliskie zupełnego wyczerpania, za nimi zaś wloką się ostatkiem sił spieszeni kawalerzyści, utrzymując się na nogach jedynie dzięki zawziętości.

Na drodze szwadronu leży samotnie duży folwark. Gironde rozumie, że musi dać koniom i ludziom kilkugodzinny odpoczynek wobec czekającego ich ostatecznego wysiłku w końcowym etapie. Jeden z oficerów, wysłany naprzód, przekonywa się, że zabudowania

wolne są od nieprzyjaciela. Trzeba będzie się tam schronić, poczyniwszy wszystkie konieczne przygotowania do obrony, na wypadek niespodziewanego natarcia. Jest północ. Może uda się ze trzy godziny pospać i ruszyć w dalszą drogę przed świtem.

Szwadron wchodzi na podwórze. Ludzie ledwo przystanęli, już się ześlizgują z kulbak, padają na ziemię u stóp swych wierzchowców, i nie szukając ani ukrycia pod dachem, ani wiązki słomy dla wygodę, zasypiają kamiennym snem. Podczas gdy oficerowie zabarykadowują wejścia i stawiają na posterunkach co cięższych strzelców, gospodarz, zerwawszy się ze snu, oddaje się do dyspozycji dowódcy szwadronu, który go wypytuje, aby sobie zdać sprawę, jakie mogą mu grozić niebezpieczeństwa.

— Czy są gdzieś w pobliżu wojska niemieckie, na kwaterach lub biwaku?

— Niestety tak, panie poruczniku. Wielki park lotniczy nadciągnął z zapadnięciem nocy z licznymi samolotami i samochodami. Rozłożyli się o osiemset kroków stąd, w miejscu zwanem Râperie, na skrzyżowaniu szosy z Haute-Fontaine i drogi z Montigny do Villers-Cotterets.

— Czy bardzo jest pilnowany ów park?

— Tego nie potrafię powiedzieć. Widziałem w każdym razie, jak rozstawiano warty z chwilą nadejścia wozów, lecz nie wiem, jakie zarządzenia zostały zrobione później.

— Doskonale. Napadniemy na ten park.

Wielu było dowódców, którzy podczas wielkiej wojny musieli brać na siebie odpowiedzialność za postanowienia, powzięte w chwilach prawie rozpaczliwych, ale niewielu znalazło się w tak trudnych warunkach jak Gironde. Zważmy położenie, zastanówmy się nad możliwościami, postawmy się wyobraźnią na miejscu dowódcy tego szwadronu. Znajduje się on na tyłach oddziałów niemieckich, otoczony, prawie zgubiony. Jest panem swego losu i niktby nie mógł wziąć mu za złe, gdyby myślał jedynie o ratunku dla powierzonych mu ludzi. Złamani zmęczeniem, są w jego ręku już tylko narzędziem zniszczenia, które się skruszy przy pierwszym uderzeniu. Nawet on sam i jego oficerowie zaczynają się załamywać, odczuwając zanik energii i nadziei. Dlaczego ma wyrzec się jedynej możliwości ratunku? Dlaczego by nie miał dać swym ludziom i koniom kilku godzin odpoczynku, aby następnie użyć wszystkich sił do jednego tylko celu; przerwać pierścień nieprzyjacielski i powrócić na swoje

miejsce do wojska francuskiego. Jasno zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę.

Lecz tej pokusie ulega tylko na krótką chwilę, natychmiast bowiem przypomina sobie drugą część poruczonego mu zadania: dokonywać napadów na tyłowe oddziały nieprzyjacielskie, gdy tylko zdarzy się sposobność. Otóż sposobność taka zjawia się, narzuca się poprostu. W odległości kilkuset kroków znajduje się park lotniczy; jest prawdopodobnie osamotniony i źle strzeżony. Trudno o lepsze warunki do zaskoczenia. A zatem, precz z wypoczynkiem, precz z myślą o ratunku dla siebie i swych ludzi, jedno tylko pozostaje rozstrzygnięcie: spełnić otrzymany rozkaz.

Gironde zwołuje swych kolegów i oznajmia im swe postanowienie, przyjęte bez słowa protestu, bez wahania przez tych pięciu rycerzy o duszach z hartowanej stali. Następuje krótka rada wojenna, nabierająca w tych warunkach, wśród tej nocy pełnej tajemnic, nadludzkiej wielkości.

Kérillis i Villelume zaatakują obóz swemi plutonami w pieszym szyku; bez rozpoznania terenu, bez patroli bojowych, aby nie wzbudzić czujności posterunków. Rozkaz brzmi: unieszkodliwić posterunki ubezpieczające, zanim zdołają wszcząć alarm, potem trzema salwami ostrzelać park. Po trzeciej salwie Gironde na czele plutonu Gaudin de Vilaine'a skoczy na wroga szarżą. Natychmiast po dostaniu się do wnętrza obozu zadaniem pieszych będzie podpalić samoloty oraz samochody, podczas gdy konni przeciwstawią się każdemu przeciwnatarciu. Ronin z pozostałym plutonem stanie w konnym odwodzie wraz z koniowodami. Po wykonaniu zadania odwrót do folwarku.

— Według rozkazu!

Oficerowie śpieszą do swych plutonów, aby budzić ludzi. Początkowo nieszczęśnicy nie pojmują, o co chodzi. Zmożeni pierwszym snem, nie rozumieją, gdzie się znajdują, ani nie zdają sobie sprawy z położenia. Nieprzytomnymi oczyma widzą jakieś cienie, krzątające się w mrokach nocy, a jako jedyną rzeczywistość odczuwają straszliwe zmęczenie, nieodpartą potrzebę zapadnięcia się w nicość, w zapomnienie. Lecz z ust do ust krąży czarodziejskie słowo:

— Atakujemy!... Atakujemy!... — Błyskawicznie mgła otulająca mózgi rozsuwa się i ulatnia. Zapomniane zmęczenie, wygnane zniechęcenie. Kérillis i Villelume sprawiają w ciemnościach swe plutony, ogółem po tuzinie ludzi na pluton. Vilaine i Ronin każą swoim podciągnąć popręgi. Dwaj spieszeni dragoni mają wziąć na siebie rolę

koniowodów. Wierzeje zostają otwarte i mała kolumna rusza do natarcia w ciemną noc.

Bez szelestu, pochylona, z karabinami gotowemi do strzału, w linii sekcji posuwa się piesza tyraljera za swymi oficerami. Kierunek jest łatwy do utrzymania, wskazuje go bowiem wyraźnie szara wstęga drogi, wiodąca prosto do Râperie. W niewielkiej odległości za nimi idzie konny pluton Vilaine'a z szablami w garściach. Aby uniknąć stukotu podków, posuwa się po ściernisku. Wdali armaty grzmia nad rzeką Ourcq wścieklemi, choć coraz rzadszemi, salwami.

I nagle, mimo ciemności, nasi dragoni widzą przed sobą coś, co stanowi zapewne zewnętrzną linię obozu. Ciemne bloki, wyrównane starannie i ustawione w równych odstępach, zapewne samochody ciężarowe, tworzące rodzaj ogrodzenia, w którego wnętrzu zostały prawdopodobnie umieszczone samoloty. Półgłosem rozwijają oficerowie tyraljerę, nie przerywając ruchu naprzód. Na tej piędzi ziemi francuskiej, owdzięki przez wroga, zamarłej w milczeniu, w drażniącym jakimś niepokojem, serca naszych ludzi zaczynają bić przyśpieszonym, gorączkowym tempem. Ach! Gdybyż im się udało zniszczyć, zebrane przed nimi samoloty, tutaj w środku nieprzyjacielskich pozycji...

— Nagle, w odległości trzydziestu kroków, rozlega się głos:

— Wer da?!

Kérillis nie daje wartownikowi czasu na powtórzenie zapytania. Rozkazuje:

— Cel... Pal...

Na ślepo, prosto przed siebie, żołnierze dają trzy salwy. Z obozu odpowiadają wycia, krzyki i odgłosy komend. Spano tam widocznie z otwartymi oczami. Nie można dać czasu do zorganizowania obrony.

— Naprzód!

Kérillis i Villelume rzucają się na czele strzelców i wpadają do wnętrza czworoboku z wozów. Zbiornik z benzyną, niewiadomo przez kogo podpalony, wybucha płomieniem i oświecła tę dramatyczną scenę, niby olbrzymia pochodnia.

Gironde chce wyzyskać jej blask.

— Dalej... szarżujmy ich!... krzyczy do Gaudin de Vilaine.

Dragonii galopem wpadają między wozy, rozbiegają się wewnątrz obozowiska, rąbią na lewo i na prawo, każdego, kto im się nawinie pod rękę. Lecz nieprzyjaciół, po chwili zaskoczenia, szybko się opamiętuje. Dla niego wozy są twierdzami, do których się schronił i skąd strzela bezkarnie do naszych dragonów. Kérillis wraz z Villelume do-

skoczyli do oddziału, pełniącego służbę policyjną i wycięli go prawie do nogi, mimo okrzyków we francuskim języku: „Vive la France... Nous nous rendons“, którym zresztą towarzyszyła nieprzerwana strzelanina.

Z jednej i drugiej strony padają ranni i zabici. Nieopisane zamieszanie panuje w obozie. Dragoni uwijają się dokoła wozów, starając się dosięgnąć lancami niewidzialnych wrogów, rażeni z kolei strzałami z bezpośredniej odległości. Gironde dowódca, a zarazem duch przewodni natarcia, pada pierwszy ofiarą. Trafiony kulą w pierś, czuje, że jest zgubiony, jedno tylko ma na myśli: trzeba zdać dowództwo swemu zastępcy, porucznikowi Kérillis. Znajduje nawet dość siły, aby skierować konia do samochodów, które Kérillis wraz z kilkoma ludźmi próbuje podpalić.

— Jestem śmiertelnie ranny — mówi do młodego oficera. — pan obejmie dowództwo. Umieram za Francję.

Pochyla się i spada z konia bez zmysłów.

Można sobie wyobrazić straszne położenie, w jakim znajduje się Kérillis, zmuszony do objęcia dowództwa w nocy, wśród strasznego zamieszania, nad oddziałem rozproszonym i rażonym ogniem ze wszystkich stron. Spostrzegł, że wszystkie rozkazy, które wykonywają obrońcy obozu, wychodzą z małej grupy, stojącej na uboczu wozów, skąd rozlegają się ciągle okrzyki. Tam znajduje się zapewne dowódca. Śmierć jego mogłaby zmienić położenie na naszą korzyść.

Biegnie tedy ku niemu z garścią żołnierzy, których ma pod ręką. Na stopniu jednego wozu ciężarowego stoi olbrzym w oficerskim kasku i wykrzykuje komendy, zagłuszające palbę karabinową. Dostrzega słabą grupkę napastników, zwraca się ku nim i, waląc raz po raz z rewolweru, kładzie dwóch dragonów i rani w ramię Kérillisa. Kérillis strzela doń i kolos pada zabity na miejscu.

Lecz w chwili, gdy jego brak mógłby zmienić położenie na korzyść Francuzów, Niemcom przybywa nieoczekiwana pomoc. Na odgłos walki nadbiega oddział cyklistów, wspierając obrońców obozu pięćdziesiątką nowych karabinów. Nadto reflektor, zapalony przez nieprzyjaciela, zdradza słabość sił jego przeciwnika.

Podczas zbierania swych żołnierzy Kérillis otrzymuje straszne uderzenie kolbą w głowę, od którego pada na ziemię zemdłony. Dragon Cossenet przyskakuje doń z zamiarem podniesienia swego dowódcy. Pada również rażony kulą. Dwom innym dragonom udaje się szczęśliwie podpełznąć do niego, wyciągnąć bezwładne ciało i unieść z placu boju.

W tej chwili Ronin rusza do walki z ostatnim plutonem, lecz oślepiiony reflektorem wpada ze swymi ludźmi na ścianę wozów. Niemcy na całej linii zaczynają ofensywę, zmuszając Francuzów do odwrotu, który osłania Ronin z kilkoma ludźmi, trzymającymi się jeszcze na koniach. Spostrzega Kérillisa. Odzyskał on przytomność, i, podtrzymywany przez dwóch dragonów, czyli nadludzkie wysiłki, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela. Urywaniem głosem zwraca się do niego ranny:

— Ronin, nie powiodło się nam. Gironde zabity, Vilaine zaginął, ja jestem ranny i niezdolny do utrzymania się w siodle. Nie troszcz się o mnie. Śpiesz do Villelume'a, powiedz mu, że ma objąć dowództwo i zrobić wszystko, co będzie w jego mocy, aby ocalić pozostałych przy życiu. Żegnaj.

W tej samej chwili w ciemnościach rozlega się głos Villelume'a:

— Baczność! Bosze ścigają nas z odległości 50 metrów. Żywo! Żywo! Zbiórka na folwarku!

W istocie kule zaczynają gwizdać, od strony zaś Râperie dolatują odgłosy komend i wrzaski w języku niemieckim. Ostatnim wysiłkiem woli dragoni śpieszą do folwarku, gdzie czekają konie. Nie będzie już spieszonych, albowiem oddziałek stopniał do połowy. Gironde zabity, Kérillis ranny, Vilaine zaginiony, tak wygląda bilans strat oficerskich. Z żołnierzy tylko dwa tuziny siedzi na końskich grzebiach, w tem ośmiu ciężko rannych. Nie stało czasu na opatrzenie ich, więc broczą krwią serdeczną z otwartych ran, krwią zalewającą ich mundury, ich siodła, lecz żaden z tych, co zdołali wgramolić się na konia, nie chce myśleć o poddaniu się nieprzyjacielowi.

Mimo nieznacznej liczby pozostałych, trzeba się starać o wyrwanie ich ze szponów niemieckich. Villelume i Ronin stają na czele i przez bramę, leżącą po stronie przeciwnej od pola walki, wiodą swą garść ludzi w ciemną noc, która otacza ich dokoła. Nie wiedzą, gdzie się znajdują, nie wiedzą, dokąd idą. Maszerują na los szczęścia, prosto przed siebie, zagubieni, zmordowani i złamani rozpaczą, że porzucają kolegów zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

Jedyna mapa, jaką się szwadron dotąd posługiwał, została przy zabitym Gironde. Zresztą, gdyby nawet była pod ręką, byłaby całkiem bezużyteczna wobec panujących ciemności. W celu zapoznania się z nią trzeba by znaleźć schronienie w jakimś samotnem domostwie, zapalić światło, o czem w szczerem polu nie można marzyć, a z drugiej strony zbliżenie się do miejscowości zamieszkałych byłoby zbyt niebezpieczne, gdyż mogą one być zajęte przez Niemców, zaalarmo-

wanych strzelaniną. Najkorzystniej zatem będzie posuwać się przezornie, poomacku, trzymając się zdala od miejscowości zamieszkaných, z kierunkiem marszu ku zachodowi.

Na szczęście, w bladym świetle blasku zbliżającego się dnia, krajobraz rysuje się coraz wyraźniej i zbiegowie po pewnym czasie mogą się orjentować w otoczeniu. Ta korzyść ma jednak swoją słabą stronę: sami stają się widoczni ze wszystkich stron i będą zaraz ścigani. Pierwszem więc pragnieniem jest znalezienie jakiegokolwiek kąta, gdzieby się można ukryć, postarać się wyjaśnić sobie położenie i po rozważeniu wszystkich okoliczności znaleźć najlepsze wyjście.

W mgle porannej wyrastają przed nimi duże zabudowania, otoczone płotami i sadami. Zbliżają się do nich z należytą ostrożnością, nie znajdują nic podejrzanego, wpadają więc natychmiast do wnętrza. Jest to przysiółek Haute-Fontaine, położony niedaleko od wsi tej samej nazwy. Zamykają bramy, umacniają je jak można najsilniej i oddychają z ulgą.

Otoczają ich zaraz mieszkańcy folwarku, wzruszeni do łez nędznym stanem naszych dragonów. Oddają im wszystko, co mają, śpieszą z pomocą rannym. Nawet starcy ofiarowują swą pomoc w obchodzeniu dokoła zabudowań i pilnowaniu podejrzanego ruchu. Dla ściganych, jak dzikie zwierzęta, żołnierzy jaką osłodą, jaką pociechą są te objawy troskliwości!

Następuje krótka rada wojenna między Villelume a Ronin. W jej wyniku postanawiają najpierw podzielić rannych między wieśniaków dobrej woli, którzy postarają się ukryć ich przed Niemcami, następnie spędzić cały dzień na folwarku, gdyż przekroczenie pozycji nieprzyjacielskich za dnia byłoby niemożliwością, a natomiast przemknąć się nocą, znalazłszy najwygodniejszą drogę.

Jeden z wieśniaków przynosi oficerom starą mapę. Postanawiają przedostać się po zapadnięciu zmroku do lasu Compiègne, przez Chelles i Saint-Étienne. Jeżeli im się uda dotrzeć do lasu, to — do licha! — zdołają zmylić pogoń i znaleźć jakieś nieobsadzone miejsce nad rzeką Ourcq. Na wszelki wypadek konie zostają pod siodłami, ale trzeba je przynajmniej nakarmić, napoić i otoczyć możliwymi wygodami. Ludzie będą wypoczywali kolejno, zawsze jednak gotowi do ucieczki na pierwszy sygnał.

Początek tego programu zostaje urzeczywistniony punkt za punktem. Wieśniacy dzielą między siebie rannych i zabierają ich do swych domów. Broń oraz mundury są starannie ukryte. Osiem koni najbardziej zmęczonych zostaje rozsiodłanych i oddanych pod opiekę

najzamożniejszemu z mieszkańców osiedla. Pozostałe po napojeniu otrzymują posiłek, złożony z pełnej racji owsa i siana. Ludzie raczą się żywnością, przygotowaną przez zapobiegliwych gospodarzy. Czy będą mogli wyciągnąć się i przespać?... Nie!

Nagle rozlega się łoskot, niby grzmot piorunu, od którego wszystkie serca zamierają. Zjawia się samolot niemiecki, lecąc nisko, tuż nad dachami stodół, jakby miał zamiar uderzyć na folwark. Czy w czasie krótkiego przelotu zauważył dwadzieścia koni osiodłanych, stojących pod murem, oraz tych kilku ludzi w czerwonych rajtach, krzątających się dokoła nich? Czy zadaniem jego było poszukiwanie resztek szwadronu, czy też znalazł się nad osiedlem jedynie przypadkowo? Bądź co bądź wypadek ten zafrasował bardzo oficerów i odebrał im chęć do posiłku.

Pół godziny jeszcze upływa w zupełnym spokoju. Powoli zaczynają się zamykać ciężkie od senności powieki, gdy nagle rozlega się straszliwy łomot, jakby huragan napierał na bramę folwarku. Pod uderzeniami kolb, pięści, ramion i kolan trzeszczy i grozi zawaleniem się.

— Na koń... Na koń!

Na krzyk oficerów dragoni, wyrwani ze snu, wskakują na siodła. Brama nie ostoi się już długo. Pośpiesznie przeciwniegiem wyjściem oddziałek opuszcza folwark i oddala się galopem.

Ale na świecie jest już jasny dzień. Trzeba jak najszybciej dopaść lasu Compiègne, którego gęstwina jest ostatnią deską ratunku. W odległości czterech kilometrów leżą jego olbrzymie, szmaragdowe głębinsy. Jeżeli uda się dotrzeć do nich, może będzie rzeczą możliwą dojść przesiekami do zachodniej krawędzi lasu. Dragoni wprowadzają w stępą zadyszane konie, obchodzą Chelles, chociaż wygląda, jakby nie było zajęte przez nieprzyjaciela, następnie Saint-Étienne, którego mieszkańcy, widząc, że oddział kieruje się na drogę do Pierrefonds, odwodzą dragonów od tego zamiaru:

— Nie idźcie tamtędy: tam się roi od wojska... Jest tam także jakiś wielki sztab.

Zgoda. Villelume postanawia maszerować naprzelaj, obejść Pierrefonds od południa i dotrzeć do lasu między tą miejscowością a Morienvil. Popędzając napół zdychające konie, szczątki szwadronu porucznika Gironde, z trudem posuwają się po ściernisku. Mijają Pierrefonds, zostawiając tę miejscowość o dwa kilometry za sobą. Może już pora ruszyć wprost w kierunku lasu.

Ku temu rozstrzygnięciu skłaniają się obaj oficerowie. Przed nimi, wabiąco jak miraż, rysuje się wyraźnie skraj lasu. Przybliża się, jest coraz lepiej widoczny; serca biją coraz gwałtowniej od rosnącej w nich nadziei. Jeszcze tylko pięćset metrów dzieli ich od upragnionego celu.

Wtem gęsta palba wybucha ze skraju upragnionego lasu. Rój pocisków gwizdże dokoła nich. Villelume krzyczy:

— Galopem. W lewo wtył!

Plutonik rozsypuje się ze swymi dowódcami z szybkością, na jaką pozwala zmęczenie koni. Zatrzymują się w pierwszym zagłębieniu terenu. Co robić. Gdzie się obrócić. Nie ulega wątpliwości, że o obecności tych kilkunastu kawalerzystów francuskich na tyłach armji niemieckiej zawiadomione są wszystkie oddziały; zewsząd czyhają strzelcy na tę bezbronną, osamotnioną garstkę. Ponieważ skraj lasu Compiègne jest strzeżony, tem gorzej, trzeba szukać przejścia między nim a lasem Villers-Cotterets w kierunku Morienval. A więc w imię Boże!

Naprzód! Jeden koń pada wyczerpany, z zamglonemi oczyma. Pod kopnięciami butów dźwiga się z ziemi i wlecze się za innemi. Niema nadziei na możliwość posuwania się szybciej niż stępem. Biedne koniska stąpają, jakgdyby były śmiertelnie ranne.

Dwa wybuchy, poprzedzone przeciągłym gwizdem, zatrzymują nieszczęśników. Przed nimi niespełna o sto metrów pękają dwa pociski z dział 77 mm. Zaledwie nasi dragoni zdołali zdać sobie sprawę z nowego niebezpieczeństwa, gdy się rozlega ponowny gwizd i dwa nowe pociski, przeleciawszy nad ich głowami, wybuchają o sto metrów za nimi. Strzały te pochodzą od baterji, stojącej na pozycji na wysuniętym cyplu lasu Villers-Cotterets. Villelume ledwo ma czas uskoczyć ze swymi ludźmi w nurt strumienia Retheuil. W kilka sekund później przystrzelane działa niemieckie zasypują gradem pocisków miejsce, przed chwilą przez nich opuszczone.

Podczas tego pada drugi koń. Tym razem usiłowania podniesienia go są daremne. Zwierzę wydaje ostatnie tchnienie. Villelume rozkazuje jego jeźdźcowi:

— Starajcie się nadążyć za nami pieszo, a w razie stracenia nas z oczu zdobądźcie sobie odzież cywilną i ukryjcie się aż do powrotu naszych, co musi wkrótce nastąpić.

Podszedłszy do Retheuil, niedobitki szwadronu wychodzą znów na płaskowzgórze. Może im się powiedzie od tej strony przedostać do lasu Villers-Cotterets. Oddaleni są od niego niespełna o 1200 me-

trów i między nimi a lasem ciągną się pola równe i puste. Może bliskie jest nareszcie ocalenie. Nie, jeszcze raz nie.

Jednocześnie z manewrem naszej garstki w tym nowym kierunku z przeciwległego lasu wynurza się inny oddział kawalerji. To pluton ułanów, który z pochyłonemi lancami rozwija się natychmiast w linię harcowników; za nimi ukazuje się drugi, później trzeci, czwarty. Pełny szwadron nieprzyjacielski idzie na ich spotkanie. Ostatnia droga jest zamknięta.

Położenie jest rozpaczliwe. W jakąkolwiek stronę zwracają się zbiegowie, natykają się na obsadzone pozycje, na zamknięte przejścia. Sieć, zaciągnięta dokoła nich, jest dokładnie szczelna. Czują, że są zgubieni. Villelume zawraca i stępem, z pustką w głowie, z nerwami w strzępach, rusza zpowrotem ku Saint-Étienne.

Odwrót odbywa się w posępnem milczeniu i bezsilnej rozpacz, nie ujawniającej się niczem nazewnątrz. Bo i poco, w jakim celu? Za wiele ciosów spadło na tych zuchów. Przeznaczeniem ich jest skończyć tutaj. Czyż bowiem nie zbliża się ich ostatnia godzina?

„Rittmeister“, rozporządzający stu dwudziestu końmi, nie może nie wyzyskać świetnej gratki, pchającej mu się w ręce; ma tuż przed sobą, na długość ramienia, zwycięstwo pewne, pozbawione wszelkiego ryzyka; szarżować w dziesięciu przeciw jednemu na pluton konnych mar, to sprawa, która musi pójść jak po maśle. Tymczasem Francuzi z całego serca pragną tego natarcia. Ono bowiem zgotowałoby im śmierć chwalebną jako zakończenie przeciągłego konania, dałoby im umrzeć po żołniersku, po kawaleryjsku, z szablą w garści, oko w oko z wrogiem.

Minuty oczekiwania się wydłużają, oczekiwana szarża nie następuje. Co się stało? Jaka obawa, czy też głupota, powstrzymuje dowódcę ułanów. Villelume i Ronin oglądają się za siebie. Jakto? Czyż to możliwe? Wyrzeka się szarży. Zamierza wystrzelać, niby niebezpieczną zwierzynę, tych kilku nieszczęśników, resztką sił wlokących się przed jego nosem.

W istocie szwadron ułański spiesza się i zaczyna ostrzeliwać gromadkę Francuzów. Villelume daje komendę:

— Harcownikami... Galopem... Maarsz!

Lecz konie odmawiają ostatecznego wysiłku. Daremnie jeźdźcy bodą je ostrogami; koniska niezdolne są już nawet do zakłusowania. Na szczęście Niemcy strzelają za wysoko, przy wykorzystaniu tedy do osłony najmniejszej nierówności terenu, każdej kępy drzew, naj-

mizerniejszego żywopłotu, udaje się naszym dragonom osiągnąć bez strat Saint-Étienne.

Instynktownie skręcają na drogę do Haute-Fontaine, gdzie tego samego rana pozostawili swych rannych. Ale zatrzymują ich wieśniacy:

— Nie idźcie tam. Po waszem przejściu Niemcy obstawili posterunkami wszystkie ścieżyny i wystrzelają was co do nogi.

Tego już zanadto. Wszystko ma swój koniec. Po krótkiej wymianie słów z Ronin, Villelume skłania się do decyzji, która już przedtem świłała mu w głowie, lecz którą odrzucał, dopóki istniała jeszcze najmniejsza nadzieja ocalenia. Zwraca się tedy do swych żołnierzy z następującemi słowami:

— Dzieci, jesteśmy otoczeni. Pozostał nam jeden tylko sposób wygnięcia się nieprzyjacielowi. Duchem musicie się rozproszyć po wsi, poumieszczać konie po stajniach, wypożyczyć przyodziewek od mieszkańców, schować stare mundury, broń i rząd koński. Poczem po dwóch ukrycie się w okolicznych polach. Róbcie wszystko, co w waszej mocy, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela. Wkrótce wrócą tu nasi i będziemy uratowani. Do widzenia i w górę serca. Niech żyje Francja!

Dragoni pośpiesznie wykonywają rozkaz. Pomysł zresztą był doskonały, albowiem pozwolił większości niedobitków szwadronu porucznika Gironde uniknąć niewoli i powrócić do swych pułków.

Dwaj oficerowie, zostawszy sami, naradzają się, czy mają również porzucić swoje mundury i przebrać się za wieśniaków. Niewątpliwie niewola jest dla nich straszniejsza niż śmierć, lecz nie mogą pogodzić się z myślą rozstania ze swemi mundurami. Będą więc usiłowali ująć przed pościgiem, ale bez maski, z możliwością, w razie potrzeby, rozbicia użytku z broni. Aż do końca zostaną oficerami francuskimi.

Z tem postanowieniem kryją się obaj w pewnego rodzaju piwnicy, wykutej w skale tuż obok drogi, w odległości około stu metrów od wsi. Schodzą do niej po wąskich schodkach, zakończonych długim korytarzem; natrafiają na drzwi, poczem znajdują się w lochu, w którym widocznie nocowali już żołnierze, ponieważ zasłany jest słomą. Pokusa jest silna, zmęczenie zbyt wielkie, potrzeba zapadnięcia w nicłość, chęć zapomnienia są nieodparte. Obaj towarzysze niedoli padają na posłanie, ofiarowane im przez przypadek i zasypiają snem letargicznym. Budzi ich głuchy turkot. Jest wczesny ranek dnia następnego. Spali osiemnaście godzin jednym ciągiem, nie odzyskując ani na chwilę styczności z życiem, w które jawa nagle znowu ich rzuca. Początkowo odczuwają pewien zawrót głowy; nie mogą się

połapać w tej strasznej przygodzie. Gdzie są? Co robią w tej norze? Skąd ten hałas? Lecz słabe światło, przenikające do lochu, oświetla dekorację ostatniego aktu. Ten widok w mgnieniu oka przypomina im cały dramat.

Ów jednostajny hurkot, szcęk łańcuchów, zmieszany z tupotem koni... niema wątpliwości... to jakaś kolumna artyleryjska przeciąga drogą, przy której leży ich kryjówka. Obaj zrywają się na równe nogi, opanowani niepokojem i lękiem. Nieprzyjaciel defiluje o kilka kroków od nich, zaledwie kilka kamieni służy im za osłonę. Z jaką trwogą przysłuchują się drzeniu ziemi, starając się odróżnić najmniejszy szelest od strony schodów.

Nagle dolatują ich okrzyki:

— Halt... Halt...

Rozkaz rozbrzmiewa wzdłuż kolumny i wkrótce olbrzymia maszyna zatrzymuje się. Na Boga! Żeby tylko nie strzeliła im do głowy chętka przeszukania tej kryjówki. Kilka sekund upływa... potem... nagle... odgłos ciężkich kroków rozbrzmiewa na schodach, buciska, podbite gwoździami, zgrzytają po kamiennych stopniach... nadchodzi kres... Obaj oficerowie z zapartym oddechem zbliżają się do drzwi i śledzą korytarz wejściowy przez szczelinę, wybitą w murze na wysokości człowieka.

Na najniższych stopniach schodów rysuje się cień człowieka w ruchu pełnym wahania. Po kasku, ozdobionym mosiężną kulą, można poznać, że to jest artylerzysta. Trzyma karabinek w garści, posuwa się z nieufnością. Villelume i Ronin przywarli do drzwi, niezabezpieczonych żadnym zamknięciem. Może zaszedł tu jedynie w nadziei znalezienia paru butelek wina, a przekonawszy się, że drzwi są silnie zaparte, nie będzie się zbytnio upierał.

Żołnierz się przybliżył; popycha drzwi, początkowo lekko, później z większą siłą, a obaj oficerowie całym ciężarem swych ciał przeciwstawiają się jego wysiłkowi. Kanonier chwilę się waha, poczem nagle chwyta obiema rękami za górną krawędź drzwi. Między nią a górną listwą odrzwi znajduje się kilkocentymetrowa szpara. Siłą mięśni dźwiga się w górę. Za drzwiami oficerowie trwają bez oddechu, jakby wykuci z kamienia. Dolatuje do ich uszu hałas zeskakującego na ziemię człowieka, poczem słyszą chyżo oddalającego się kroki. Czy ich widział. Czy się poprostu obawia spóźnić na wypadek odmarszu kolumny.

Niestety. Wątpliwości te pierzchają prędko; zbiegowie zostali wykryci. Słyszą wrzawę w szeregach oddziału stojącego na drodze, roz-

kazy, poruszenia, kroki. Niewątpliwie przygotowanie do natarcia. Dobrze. Przynajmniej drogo sprzedadzą swe życie.

Pośpiesznie podpierają kawałkami drzewa najpierw drzwi wejściowe, potem drugie, wiodące do następnej piwnicy, do której także może istnieć dostęp z zewnątrz. Poczem z rewolwerami w ręku, przyparci do przeciwnego muru, oczekują szturmu.

Słyszą szybkie kroki na schodach i prawie jednocześnie kule zaczynają trzaskać i walić w obie bramy. Instynktownie Villelume staje naprzeciw jednego wejścia, Ronin zaś naprzeciw drugiego.

Prawie natychmiast jedne drzwi ustępują, uderzając z hukiem o mur. Po chwili wahania jeden oficer z kilku żołnierzami wpada do piwnicy. Krótki huk. Oficer pada trafiony w samo serce kulą z rewolweru Villelume'a. W okamgnieniu piwnica pustoszeje. Artylerzyści ogarnięci strachem uciekli, zostawiwszy ciało swego dowódcy. Nacierający na drugie drzwi zbiegli również na odgłos strzałów.

Do roboty. Trzeba wyzyskać tę chwilę przerwy, aby zamknąć drzwi i podstemplować je na nowo. Po skutecznieniu tego nasi oficerowie stają na posterunku z bronią gotową do strzału. Niedługo będą czekali.

Prawie natychmiast rozpoczyna się ponowne natarcie. Tym razem prowadzi je jakiś feldfebel. Zbiega po schodach jak huragan i na czele swoich ludzi rzuca się ku drzwiom. Ronin strzela i kładzie go na miejscu. Rewolwer Villelume'a dołącza się do strzałów kolegi. Dwóch artylerzystów pada na ciało podoficera, reszta cofa się, przestając na ostrzeliwaniu drzwi z odległości. Obaj oficerowie, przyklepieni do muru, ze stoicyzmem oczekują końca swej męki.

Tymczasem strzelanina milknie. Mijają minuty nieskończenie długie, rozpaczą nabrzmiałe, w czasie których straceńcy ładują swe rewolwery.

Wtem dolatują do nich krzyki, skargi i błagania o litość. Głos kobiety zawodzi po francusku:

— Na pomoc... Puśćcie mnie... Zmiłujcie się!

Co to ma oznaczać. Ach! Barbarzyńcy! Pochwyciwszy właścicieli piwnicy, kopaniem zmuszają ich do zejścia przed sobą, aby służyli im za tarcze.

Biedacy tworzą żalospną gromadkę, złożoną z jednej młodej kobiety, jednego kuternogi i dwóch starców. Jeden z nich odzywa się drżącym głosem:

— Panowie, życie nasze jest w waszych rękach. Dowódca niemiecki kazał mi zapowiedzieć panom, że jeśli nie poddacie się natychmiast, wszyscy czworo zostaniemy rozstrzelani.

Dreszcz grozy i oburzenia wstrząsa sercami oficerów. Czyż to jest możliwe, aby żołnierze postępowali tak nikczemnie? Z pewnością jest to jedynie chęć nastraszenia. Nie śmieliby wykonać swej groźby. Villelume więc odpowiada:

— Przykro mi, lecz postanowiliśmy bronić się do upadłego. Strzelamy, jeżeli Niemcy zaczną się zbliżać.

Gromadka cywilnych cofa się wśród jęków. Minuty płyną. Obaj oficerowie przejęci są smutkiem i wstrętem. Jakże straszny będzie ich koniec, jeśli ma nastąpić w tym grobie po przelaniu krwi niewinnych rodaków. Znowu słyszą kroki. To podchodzą właściciele piwnicy, lecz tym razem we troje. Starzec, który przemawiał poprzednim razem, zniknął. Pozostali zbliżają się wśród objawów największej rozpacz:

— Na litość boską — krzyczy kobieta — poddajcie się. Toż oni przywiązali ojca naszego do drzewa i rozstrzelają go, jeżeli nie poddacie się bez zwłoki. Nadto przysięgli nam, że wymordują nas kolejno, jeżeli nie zaprzestaniecie oporu.

Łzy tej kobiety zmieniają postanowienie oficerów. Ponieważ tak czy inaczej trzeba umrzeć, mogą równie dobrze zginąć pod jasnym niebem, tam na górze, oszczędzając życie tych biedaków. Chowają zatem rewolwery do pokrowców, otwierają drzwi i powolnymi krokami wychodzą po schodach. Idą z pewnością w duszy, że z chwilą ukazania się na drodze padną pod strzałami tych brutalnych. Mniejsza o to. Spełnili swój obowiązek do ostatecznych granic możliwości.

Stają na progu. Przed nimi ze stu artylerzystów, ustawionych w dwa rzędy, bierze ich na cel. Lecz rozkaz do salwy nie pada.

Villelume i Ronin zatrzymują się z głowami dumnie wzniesionymi. Wynędniali, obdarci, czarni od kurzu i potu, prostują się i z pogardą patrzą na lufy karabinów. Na co oni czekają, aby położyć kropkę końcową nad wspianym czynem kawalerskim 5 dywizji.

Jakiś oficer niemiecki zbliża się z wymierzonym rewolwerem.

— Gdzie wasi ludzie?... Każcie im wyjść!

— Jesteśmy sami — odpowiada z uśmiechem Villelume.

Niemiec spogląda nań nieufnie. Nie może uwierzyć, aby dwóch oficerów, samotnych i przekonanych, że prędzej czy później muszą ulec, miało odwagę stawić czoło całemu oddziałowi niemieckiemu. Na jego rozkaz jedna drużyna wchodzi do piwnicy w celu przeko-

niania się o prawdzie tego oświadczenia. Gdy już nie może dłużej powątpiewać, podchodzi do swych jeńców i ryczy w nagłym napa-
dzie wściekłości.

— Zostaniecie rozstrzelani za podstępny napad na oddział nie-
miecki podczas wypoczynku.

Villelume i Ronin wzruszają ramionami. Zostają rozbrojeni i pod
silną eskortą odstawieni do Saint-Étienne. Zagroda, należąca do
nieszczęśnych właścicieli piwnicy, stoi w płomieniach. Podpalili ją
Niemcy dla przykładu.

Lecz generał, dowodzący kolumną artylerji, nie odważył się na za-
mordowanie dwóch oficerów z 16 pułku dragonów. Nazajutrz, jako
jeńcy wojenni, zostali wysłani do Niemiec.

PIĘĆ DNI PATROLOWANIA NA TYŁACH WOJSK NIEMIECKICH

13 wrzesień 1914 r.... sala szkolna w Ambleny, miejscowości, leżącej na południe od rzeki Aisne, w odległości 12 km od Soissons... Niebo koloru sady... Deszcz drobny, jednostajny, siąpi z cichym szmerem... Dalej, bardziej ku północy, w stronie Autrèches i Saint-Cristophe, przygłuszony huk baterij 7 korpusu.

Sześciu ludzi znajduje się w tej sali, sześciu ludzi, o twarzach przeoranych niezmiernymi trudami, znoszonemi przeszło od miesiąca, za ostrzonych ponadto wyrazem nerwowego napięcia, które objawia się wobec bliskości ważnych rozstrzygnięć. To pięciu oficerów kawalerji otacza szefa sztabu 7 korpusu, a mianowicie: porucznik Richard z 8 pułku huzarów, de Blois z trzeciego, Manceron i Fourrier z 4 pułku kirasjerów i podporucznik du Vigier z 9 pułku kirasjerów. Szef sztabu objaśnia im w lakonicznych zdaniach, czego wymaga od nich położenie.

Po zwycięstwie nad rzeką Ourcq armja generała Maunoury ściga cofające się oddziały niemieckie. Dotąd napotykała tylko słaby opór, od wczoraj jednak posuwa się z mniejszą łatwością. Zdołała wprawdzie w kilku miejscach przekroczyć rzekę Aisne, lecz oddziały z wielkim trudem utrzymały pozycje na płaskowzgórzu, leżącym na jej prawym brzegu. Wszędzie natykają się na piechotę, która się uporczywie trzyma skrajów lasów lub stawia opór za umocnieniami polowemi, nie tworzącemi jeszcze ściśle określonej linii, lecz ciągnącemi się mniej więcej od północnego zachodu ku południowemu wschodowi, między Noyon, a wzgórzami na północ od Fonteney nad rzeką Aisne. Artylerja niemiecka również, jakby się ustaliła za tą linią. Tymczasem rozkazy armji każą wszędzie nacierać i za wszelką cenę posuwać się w kierunku rzeki Oise.

Bądź co bądź dowództwo niepokoi się tem nieprzewidzianem długiem zatrzymaniem. Czy nieprzyjaciół zamierza stawić na tym froncie stanowczy opór, czy też stara się jedynie o zyskanie czasu na ewakuację swych magazynów, zapasów żywności i amunicji a nadto w celu rozbudowy i zorganizowania swej linii oporu? Oto co chce przede wszystkim wiedzieć generał Maunoury i dlatego zażądał pięciu patroli oficerskich od trzeciej dywizji kawalerji. Ich zadaniem będzie zdobycie potrzebnych wiadomości. Pięciu oficerów, pochyłonych nad wielką mapą, rozpostatą na stole, patrzy z uwagą na linje, kreślone zamasyżcie czerwonym ołówkiem przez szefa sztabu, które, rozchodząc się niby pięć ramion wachlarza, oznaczają marszrutę pięciu patroli. — Pierwszemu przypada kierunek na Trosly-Loire, Chauny, na lewym brzegu Oise i dalej — na Vendeuil; drugiemu — na Blérancourt, Ugnyle-Gay i Flavy-le-Martel; trzeciemu — na Nampcel, Noyon, Guiscard i Beaulieu. Te trzy patrole mają za zadanie: „odnalezienie oddziałów, jakie nieprzyjaciół mógł zostawić na południe od rzeki Oise, określić siły nieprzyjacielskie na północ od tej rzeki i stwierdzić kierunek ich odwrotu“.

Czwarty i piąty patrol mają się prześlizgnąć między lasami Laigue a Ourscamp, przejść na zachodni brzeg Oise, jeden w kierunku na Lassigny, drugi zaś na Ressons. Oddziały niemieckie są bowiem sygnalizowane na północ od Compiègne, ważną więc jest rzeczą znać ich siły, zamiary oraz kierunek marszu.

Szef sztabu wyprostował się:

— „Panowie! — z takimi słowami zwraca się do kawalerzystów — nie chcę tać przed wami, że zadania wasze są trudne i niebezpieczne. Idzie nie tylko o nawiązanie styczności. Trzeba będzie się przedostać do wnętrza pozycji nieprzyjacielskich, dotrzeć do okolic, leżących za nimi i zobaczyć na własne oczy, co wróg tam robi, a zarazem dowiedzieć się, co robić zamierza. Generał dowodzący armją darzy panów pełnem zaufaniem w przekonaniu, że gdy zwraca się do kawalerzystów, otrzyma od nich wszystko, co tylko leży w granicach ludzkiej możliwości“.

Pięciu oficerów pręży się w postawie „na baczność“.

— Jeśli panowie nie mają nic przeciw temu — proponuje szef sztabu — będziemy losowali patrole. Wydaje mi się rzeczą słuszną, żeby przypadek rozdzielił między was niebezpieczeństwa i zaszczyt ich pokonania.

Szybko kreśli pięć liczb na pięciu skrawkach papieru i, złożywszy je we czworo, wrzuca do wnętrza swej czapki. Oficerowie kolejno

wyjmują i ze spokojem rozkładają te małe białe kwadraciki, które, być może, wysła ich na śmierć. Patrol Nr. 1 przypada w udziale podporucznikowi du Vigier. Oś jego marszu idzie na Trosly-Loire, Chauny, Vendeuil.

Jemu właśnie będziemy towarzyszyli krok za krokiem.

Achl jakże piękna jest jego historja!... Powinna być stawiana za przykład wszystkim dzieciom Francji, aby poznały i pokochały najwyższe cnoty naszej rasy: odwagę, samozaparcie się, miłość ojczyzny, chęć służenia do śmierci. Zaiste prawdziwa to pieśń bohaterska, przez którą się przewijają wszystkie nędzy i wszystkie blaski; wspaniałe cięcia szabli, męki głodu i pragnienia, noce bezsenne, rozpacz tropionego zwierzęcia i niezlomna wola postawienia na swoim. Wszystko to przeżył jeden nasz młody oficer i siedmiu żołnierzy. Nazwiska ich zasługują, żeby przetrwały na kartach historii, tak jak żyją w kronikach ich sławnego pułku, 9 pułku kirasjerów: Są to:

podporucznik Touzet du Vigier,

plutonowy Lebas,

kapral Couturier,

kirasjerzy Desprez, Disseaux, Dumaine, Deschamps i Charlet.

Postaramy się opisać ich cudowną Odyseję.

Natychmiast po ukończeniu odprawy podporucznik du Vigier podąży do młyna, gdzie spędzili noc jego ludzie i konie. W drodze rozmyśla nad najlepszym sposobem wywiązania się z powierzonego mu trudnego zadania. Nie można się łudzić, że uda mu się przedostać za pozycje niemieckie jeszcze dzisiaj. Jest już g. 3 min. 30, noc zaś zapada chyżo, zwłaszcza w pogodę tak pochmurną. Najrozumniej będzie jak najbardziej się przybliżyć do czat, znaleźć miejsce, nadające się na wygodny nocleg, a nazajutrz o przedświcie pchać się na przód z ludźmi, a nadewszystko z końmi dobrze wypoczętymi. A potem... potem dziej się wola Boska!

Podczas gdy mały oddziałek siodła konie, oficer zaznajamia się z mapą, którą go obdarzono. Dochodzi do wniosku, że najkorzystniej dlań będzie po przekroczeniu rzeki Aisne dotrzeć do Morsain, t. j. do ostatniej wsi zajętej, według wiadomości sztabu, przez wojska francuskie w kierunku Trosly-Loire, które jest pierwszym skokiem jego patrolu. W Morsain więc lub w jego okolicy postanawia przenocować i stamtąd nazajutrz rankiem prześlizgnąć się między niemieckimi strażami tylnymi. Wie, że, na nieszczęście, nie będzie mógł przejść przez mostek, przerzucony przez rzekę w miejscowości Le Port. Przejście to jest zapchane przez oddziały 7 korpusu. Sam

szeft sztabu doradzał mu użycie mostu pod Vic. Będzie więc zmuszony znacznie nadłożyć drogi, lecz przynajmniej niewątpliwie zdoła przejść przez rzekę bez trudności. Trzeba będzie odwalić do nocy trzydzieści kilometrów. Mniejsza z tem... naprzód!

I oto naszych ośmiu kirasjerów kłusuje rażno gościńcem ku Compiègne. Podczas gdy dowódca, przejęty ważnością swego zadania, a także w przewidywaniu czekających go trudności, nie może się obrobić przed uczuciem pewnego niepokoju, jego ludzie nie posiadają się z radości. Boć przecie nie jest powodem do zmartwienia możliwość narażenia całości skóry. W przeciągu miesiąca zdążyli już przyzwyczaić się do tej możliwości; jest ona jedną z drobnych niedogodności zawodowych, podobnie jak moknięcie na deszczu, spanie pod gołym niebem, głód i pragnienie. Przykrostki bez znaczenia. Zasadniczą sprawą jest obowiązek trzymania się dzielnie za szanowanym i powszechnie kochanym dowódcą. Wszystko więc jest w porządku.

Tymczasem jednak nie ulega wątpliwości, że oddziały 7 korpusu nie posuwają się naprzód. Baterje ich grzmiać wprawdzie hucznie i groźnie na północnym brzegu rzeki, ale stoją, zdaje się, na stanowiskach wczorajszych. Można iść o zakład, że zatrzymanie się oddziałów niemieckich nie jest tylko chwilowym manewrem. Tem gorzej. Bo łatwiej byłoby prześlizgnąć się między pojedynczymi oddziałami straży tylnych w odwrocie, niż przedostać się przez ustaloną linię oporu. Taka myśl przychodzi do głowy porucznikowi Vigier, dzieli się z nią przeto ze swym kolegą Richard, który, prowadząc inny patrol, jedzie obok niego strzemię w strzemię. Po dojeździe do dworca kolejowego w miejscowości Vic obaj towarzysze rozstają się. Huzar i kirasjer wymieniają mocny uścisk dłoni. Któż może zgadnąć, jak skończy się taka podróż? Żołnierze żegnają się skinieniem głowy i żartami. W obu oddziałach panuje nastrój doskonały.

Oto i most na rzece Aisne. Jest prawie nietknięty, lecz kilka trupów, leżących posępnie na skraju drogi, świadczy, że o przejście przezeń walczone. Porucznik saperów, zajęty budową kładki, mającej częściowo odciążyć most, opowiada porucznikowi Vigier, w jaki sposób most został zabezpieczony przed zupełnym zniszczeniem.

— Mój kochany, w celu wysadzenia mostu Niemcy zostawili tam oddział pionierów. Dowodzący nim podoficer zdążył już podpalić jedno przesło i byłby zrobił to samo z czterema pozostałymi, gdyby go nie zestrzelił jeden z moich żołnierzy. Bez tego zucha nie mógłbyś teraz przejść tędy.

Po przekroczeniu rzeki Aisne i przejściu przez miejscowość Vic oddział wpadł w sam wir walki. Droga do Saint-Christophe jest zapchana taborami, gońcami, drobnymi oddziałami, idącymi niewiadomo skąd i dokąd. Trzeba przeciskać się krok za krokiem, przeslizgiwać pomiędzy zabłoconymi i przemęczonymi końmi, między piechurami zbiedzonymi i obrośniętymi długo niegoloną szczecina. A nad tem wszystkim góruje huk dział wprost opętańczy i coraz bliższy. Do diabła! Jeśli Morsain zajęte jest przez nasze oddziały, jak niedawno twierdzono w sztabie 7 korpusu, trudno zrozumieć, dlaczego nasze baterje strzelają ze stanowisk odległych od tej miejscowości o pięć kilometrów, położonych na wzgórzach na zachód od Autrèches.

Od skrzyżowania dróg w Saint-Christophe szosa jest coraz mniej zatłoczona. Dwa trupy zbite krwią, rozciągnięte obok świeżego leja świadczą, że artylerja niemiecka ostrzeliwała przejścia. Jej szrapnele rozkwitają w tej chwili białawymi pióropuszcami nad wzgórzem pod Massenancourt. Wszystko to razem nie jest zbyt pocieszające i możnaby iść o zakład, że patrol nie będzie mógł posunąć się tego wieczora tak daleko, jakby sobie życzył jego dowódca.

Bezpieczniej będzie, zdaniem podporucznika, rzucić się naprzelaj przez pola, przygotowuje się zatem do przebycia klusem zagłębienia, utworzonego przez połączenie dolin Autrèches i Morsain. Pierwszą z nich posuwa się bataljon piechoty w luźnych szykach. Piechurzy, mimo zmęczenia, śpieszą, aby jak najprędzej przebyć to odkryte skrzyżowanie i dojść do pola martwego na przeciwnym zboczu.

Spostrzegłszy w pośrodku doliny grupkę oficerów piechoty, ukrytych za stertą zboża, postanawia zasięgnąć u nich języka. Rozmieszczając tedy swych kirasjerów za zasłoną drzew, poleca plutonowemu Lebas, aby oczekiwał jego powrotu i, spiąwszy konia ostrogami, galopem rusza ku stercie. Znajduje się tam cały sztab dowództwa pułku piechoty.

Pułkownik, zasapany wskutek forsownego biegu, osusza z potu łysinę, przysiadłszy na snopie. Dokoła niego jego oficerowie, oparci o stertę zboża, słabą zaiste osłonę przed możliwem uderzeniem pocisku 77 mm. Dokoła grzmia armaty i łomoce palba karabinowa. Hałas jest ogłuszający... a do Morsain pozostała jeszcze dobra mila drogi. Du Vigier salutuje pułkownika, zaznajamia go ze swem zadaniem i prosi posłusznie o wyjaśnienie mu tego, co się dzieje przed nimi. Pułkownik jest niedwuznacznie zdziwiony.

— Morsain?... Ależ, mój przyjacielu, Morsain jest zapchane oddziałami niemieckimi. Nasze patrole nie zdołały nawet zbliżyć się do tej miejscowości... Od rana usiłujemy bez powodzenia wydostać się na te wzgórza... Oddziałom naszej dywizji udało się jednak usadowić na płaskowzgórzu Nouvron, w okolicy koty 150... Idziemy je wesprzeć.

Du Vigier spoziera na mapę. Nouvron?... kota 150?... Niewątpliwie położenie jest znacznie gorsze, niż mu opowiadano. Tymczasem pułkownik mówi w dalszym ciągu:

— Czego, do licha, szukasz pan tutaj?... Spodziewać się pan może jedynie guza. Najlepiejbyś pan zrobił, zawracając i spędzając noc gdzieś bardziej wtyle. Do jutra może rzeczy się wyjaśnią.

Po krótkiej zaś przerwie dodaje:

— A ponadto, uważasz mój drogi panie, wolelibyśmy, żebyś tutaj nie sterczał na swym wielkim koniu, ustrojony w dodatku w lśniący pancerz. Tego zwierciadła lepiej nie pokazywać artyleryjskim kufekom.

Vigier z uprzejmą skwapliwością przychyła się do tego, bądź co bądź, słusznego żądania. Dziękuje, kłania się i galopem wraca do swoich ludzi.

Co począć? Noc nadchodzi, on zaś ma zaledwie kilka bardzo ogólnikowych wskazówek o położeniu. Czas jest poprostu psi, nie chce więc rozkładać swej cennej mapy na deszczu. Pierwszą tedy z kolei czynnością musi być znalezienie schronienia, gdzieby mógł spokojnie ją przestudjować i zorientować się. Następnie dopiero poweźmie decyzję, dobrą czy złą, ale tej już będzie się trzymał.

Właśnie tam, w kierunku Hautebraye, leży duży folwark w dolinie strumyka Hozien. Byłby on wymarzonem schronieniem do zastanowienia się nad całością tak zagmatwanych okoliczności. Wprawdzie płaskowzgórze stoi pod ogniem jednej niemieckiej baterji, ale przy odrobinie zręczności można się przez nie przemknąć bez wielkich szkód. Udało się... Teraz zsiąść z koni... i mały odpoczynek.

Lecz — o niespodzianko! — zabudowania, które zdaleka robiły wrażenie pustych, zapełnione są ludźmi i końmi. Na dziedzińcu stoi pluton strzelców konnych; konie oficerskie czekają, trzymane w rękę; cykliści drzemią przy swych rowerach. To sztab dywizji generała Villaret z siódmego korpusu. Jakie szczęście! Może teraz będzie można otrzymać brakujące wiadomości... a gdzież ich szukać, jeśli nie tu? Porucznik śmiało dociera do generała, przedstawia się, zdaje

sprawę ze swego zadania i melduje o niepewności, w jakiej się znajduje.

Generał przyjmuje go nad wyraz uprzejmie. Oczywiście, może mu określić pozycję nieprzyjacielską, gdyż od rana oddziały korpusu daremnie usiłują ją przełamać. Bosze wszędzie stawiają czoło. Trzymają Nouvron, Morsain, Audignicourt i Nampcel. Jest to bitwa, w całym tego słowa znaczeniu, wydana przez ludzi, którzy mają wyraźny zamiar nie cofać się ani na cal.

— Patrz pan — mówi generał, wodząc paznokciem po mapie, tutaj wykopali rowy, skąd ogniem nie pozwalają na posunięcie się ku wzgórzom na północ od Massenancourt. Miejscowości, przez nich obsadzone, są silnie umocnione i widać, że to nie przypadek wskazał cofającym się oddziałom miejsca, gdzie mają się zatrzymać i bronić.

Od łomotu dział zadźwięczały szyby niskiej izby, w której się odbywała ta smutna narada. Zapada noc. Generał de Villaret podnosi się ze stołka.

— Albo się bardzo mylę — mówi, ściskając dłoń młodego oficera, — albo niemieckie Naczelne Dowództwo postanowiło nie cofać się więcej. Czy jesteśmy zdolni odwrót ten wymusić? To jest tajemnicą jutra. Dobranoc i życzę powodzenia.

Wychodzi ze swym sztabem, siada na koń i oddala się z wolna w kierunku Vic, gdzie ma zamiar przenocować.

Osamotniony na dziedzińcu, ze swymi ósmiu ludźmi i ósmiu końmi, podporucznik du Vigier czuje się bezradny. Po raz pierwszy od zwycięstwa nad Marną głos, w całym tego słowa poważny, wyrażił wobec niego przekonanie, że odwrót niemiecki już się skończył, a wypadki zdają się potwierdzać to zdanie. Lecz natychmiast odpycha od siebie tę myśl. Nie może poddać się tak klęskowemu przypuszczeniu. Przeciwnie, jemu właśnie przypadnie w udziale szczytne zadanie przedostania się do samego jądra pozycji nieprzyjacielskich w celu naocznego stwierdzenia i zaraportowania, że odwrót Boszów trwa w dalszym ciągu. Jutro zabierze się do spełnienia tego obowiązku. Tymczasem jednak trzeba znaleźć jakieś schronienie do spędzenia nocy. Tutaj, czy też bardziej wtyle?

Tupot końskich kopyt wyrывa go z zamyślenia i pociąga jego wzrok ku bramie wjazdowej. Kirasjerzy! Idzie na ich spotkanie: to patrol porucznika Manceron z 4 pułku, patrol Nr. 2, który miał iść na Blérancourt. On również został skierowany na Morsain i, podobnie jak jego kolega, wszędzie natknął się na bezwzględna niemożliwość przejścia.



— Do cholery z takim zadaniem! Nie możemy przecież na czele siedmiu jeźdźców przebić frontu tam, gdzie spotkały się z niepowodzeniem korpusy armji generała Maunoury.

— Mojem zdaniem, najlepiej wrócić na nocleg do Vic. Tam będziemy mieli pod ręką ostatnie nowiny, na których podstawie ułożymy plan działania na jutro.

Stępem, w posępnem milczeniu, oba oddziały opuszczają folwark. Noc już zapadła całkowicie, noc mglista i wilgotna, rosząca kroplami deszczu. Niemcy według zwyczaju żegnają dzień zdwojonym ogniem działowym.

Wściekłość ich ciska się naoslep, syjąc pociskami na chybił trafił w nadziei zabijania. Na licznych odcinkach frontu grzmi zjadła strzelanina. Gdzie niegdzie terkotanie karabinów maszynowych zagłusza wszystko. Dokoła panuje ogłuszający hałas, sprawiający wrażenie piekła. Dla pełni złudzenia, a zarazem jakby w celu zaznaczenia linii bojowej, płoną wioski i folwarki nakształt olbrzymich pochodni, rozpalonych na wszystkich wzniesieniach.

Przy łunie tych pożarów obaj oficerowie w milczeniu kierują się na drogę, spadającą ku rzece Aisne. Z jakąż rozpaczą w sercach! Radość ze zwycięstwa ustępuje miejsca tępemu smutkowi. Żadne pocieszające argumenty nie mogą ich przekonać. Coś się zmieniło. Bosze przestali się cofać.

Oto wreszcie Vic, odrażający przykład małej miejsciny, zapchanej taborami, kolumnami amunicyjnymi, oddziałami sanitarnymi, wszystkimi niezliczonymi służbami, idącymi śladem walczących oddziałów. W ciemności w błocie setki ludzi szukają się wzajemnie, zwołują i kłócą. Nadciągają spóźnione wozy. Inne ruszają wśród przekleństw i trzasków bicia. Samochody ryczą bez przerwy i oślepiającym światłem reflektorów oświetlają ten beznadziejny widok. Nasze dwa patrole z trudem przeciskają się przez ten chaos.

Po daremnym stukaniu do licznych drzwi znajdują wreszcie przytułek w dość dużym budynku, którego właścicielka, stara sekutnica, przystaje po długich targach na umieszczenie koni w pustej stajni. Po południu zawitały do niej bez ostrzeżenia dwa „kuferki“, przy czem jeden upadł w sam środek śmietnika, drugi zaś trafił w oborę z krowami. Od tej chwili stara wszędzie dopatruje się wroga i wierzy święcie, że, goszcząc żołnierzy, ściągnie na siebie ogień wszystkich baterij niemieckich. Częścią z dobrej woli, częścią pod przymusem nasi kirasjerzy rozmieszczają jako tako swe konie, wycierają je, dają im siano i sypią owies, nie bez trudności zdobyty.

Poczem żołnierze zabierają się do gotowania strawy, oficerowie zaś idą na poszukiwanie sztabu dywizji generała de Villaret, w nadziei otrzymania tam wiadomości. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu znajdują tam porucznika Richard z 8 pułku huzarów, dowodzącego patroliem Nr. 4. On także się natknął wszędzie na silnie bronione pozycje, przed którymi się zatrzymały nasze dywizje. Zniechęcony powrócił na tyły, odkładając na jutro dalszą decyzję.

W sztabie nasi oficerowie upewniają się jedynie, że prawdą jest to, co widzieli na własne oczy. Ruch naprzód został wszędzie zahamowany. Oddziały własne poniosły ciężkie straty, nie uzyskując nigdzie poważniejszego powodzenia. Istnieje zamiar uczynienia większego nacisku nazajutrz po otrzymaniu w ciągu nocy posiłków. Jakie wyniki są spodziewane? Na to pytanie nikt nie umie dać odpowiedzi, gdyż zdania co do zamiarów niemieckich są podzielone.

Zdobywszy te szczupłe i niezbyt pocieszające nowiny, trzech oficerów powracają do stajni, gdzie stoją konie dwóch pierwszych patroli. Jest godzina 11 wieczorem. Przy świetle łojówki, zatkniętej w szyjkę butelki, na snopach słomy zasiadają do narady. Muszą się pogodzić z faktem, że widoki przejścia są niezmiernie małe i że właściwie grożą jedynie wytraceniem ludzi.

Zwłaszcza Richard, którego konie są zupełnie zmordowane, wątpi o powodzeniu. Będzie jeszcze próbował jutro rano przebić się w nakazanym kierunku, ale w razie niepowodzenia wyrzeknie się dalszych prób i zamelduje o tem, komu należy. Siły zwierząt są ograniczone, jego zaś własne całkowicie wyczerpane. Życzy tedy powodzenia obu kolegom i wraca do stodoły, w której umieścił swoje konie.

Manceron i du Vigier długo w noc rozważają możliwości powodzenia. Wkońcu, po dokładnem zbadaniu mapy, układają wspólny plan działania. Nieznacznie na wschód od Vic wpada do rzeki Aisne mały dopływ, prawie strumyk, płynący dokładnie z północy na południe dość głębokim parowem, którym biegnie również jakaś polna drożyna, przechodząca przez wioski — Bitry, Saint-Pierre i Moulins-sous-Trouvent. Idąc nią do końca, można będzie się posuwać w ukryciu przed ogniem artylerji niemieckiej i przedostać aż na zachód od miejscowości Nampcel, do okolicy zalesionej, łatwiejszej więc do przebycia. Niewątpliwie droga ta sprowadza oba patrole z wyznaczonej im linii marszu, lecz czyż zasadniczem zadaniem nie jest przedostać się na tyły niemieckie? W gruncie rzeczy nikt nie wie, gdzie się znajduje prawe skrzydło nieprzyjacielskie. Może w tamtej okolicy kręca się tylko pojedyncze oddziały, przed którymi

łatwo będzie umknąć. A potem nic już nie będzie przeszkadzało zawrócić na tyły armji nieprzyjacielskiej. Wówczas wezmą się do zadań, które im powierzono.

Po przyjęciu tego rozwiązania, trzeba jeszcze określić godzinę odmarszu. Na tym punkcie dwaj oficerowie nie mogą dojść do porozumienia. Manceron woli wyruszyć już w biały dzień, aby móc skorzystać z wiadomości, nadpływających w nocy do dywizji generała du Villart. Du Vigier natomiast uważa, że korzystniej będzie wymaszerować przed świtem. Ma nadzieję wykorzystać przytępienie, opanowujące oddziały po przebudzeniu, i nieporządek, wynikający z wykonywania rozkazów, które nadeszły w ciągu nocy. Doświadczenie nauczyło go, że przy szczęściu i odwadze jest to najlepsza pora do zmylenia czujności wroga. Ponieważ każdy ob staje przy swoim, postanawiają działać na własną rękę. Przyszłość okaże, kto miał słuszość.

Zaczem wdrapują się na poddasze, zavalone słojami konfitur, jajami, wszelkiego rodzaju środkami spożywczemi, nie wyłączając owsa, to jest rzeczy, których, według skarg starej wiedźmy, nie było na folwarku ani na lekarstwo. Mniejsza z tem! Idzie tylko o to, aby się przespać godzinkę lub dwie. Późem trzeba będzie nurknąć w dziką awanturę...

— Panie poruczniku... panie poruczniku, jest już g. 3 min. 45! — To Lebas, wierny plutonowy, ze świecą w ręce budzi oficera, pogrążonego w głębokim śnie. Vigier co żywo odziewa się, zapina pancerz, ściska rękę koledze, mamroczącemu coś z pod przykrycia, i pomacku udaje się do stajni. Następuje skromny posiłek dla ludzi i koni — potem na koń! Bez żalu patrol opuszcza swe jednonocne mieszkanie.

Pogoda jest, prawdę powiedziawszy, paskudna. Pada zimny i drobny deszczyk, ściekając po szyi, zalewając ręce i uda. Gdzieś niegdzie tylko widnieją na niebie smugi szarego światła. Na szczęście z progu karczmy, przed którą ciżbi się tłum żołnierzy, jakiś tubylec pokazuje oficerowi gdzie szukać drogi, biegnącej wzdłuż strumienia. Oto ona. Jest wściekle zimno, lecz mimo to du Vigier wzbrania się ruszyć klusem. Trzeba oszczędzać konie, aby móc później w razie potrzeby wydobyć z nich konieczny wysiłek. Z biedą można na lewo dojrzeć biwak piechoty, w którym zaczyna się ruch, na prawo zaś pułk spahisów. Jego ludzie, przykucnięci u skraju drogi, drżący z zimna pod burnusami, z nogami zanurzonemi w błocie, przedstawiają żałosny widok.



Mijają wieś Bitry, przepelnioną kolumnami taborowemi, ruszającymi właśnie w drogę, potem Saint-Pierre-de-Bitry, w takim samym pogrążone nieporządku, tak samo przepelnione. Patrol, przedostający się mozolnie między drzemiącymi i oglupiałymi woźnicami, dąży swoją drogą. Jest godzina szósta. Wstaje dzień wilgotny i mroczny. Nagle przejmujący widok przedstawia się oczom kirasjerów. Na prawo od drogi zbiera się pułk piechoty. To ma być pułk?... Tak, skoro jest i pułkownik, i postrzępiony sztandar, i trzy bataljony. Ale jakie bataljony? Każdy z nich z biedą posiada stan liczebny kompanji. Żołnierze wynędzniali, odziani w łachmany, utyłani w błocie, wyglądają jak upiory. Prawie zupełnie nie widać oficerów. Jest to jeden z tych dzielnych pułków, które bez wytchnienia walczą od 6 września. Prawdopodobnie idzie zpowrotem do boju. Du Vigier odruchowo obnaża pałasz i wraz ze swoimi ludźmi oddaje cześć okrytemu chwałą sztandarowi. Między jego ludźmi niema ani jednego, któryby nie rozumiał głębi symbolicznego znaczenia tego ruchu. Jakżeż po tem wahać się, jak cofać? Niech wypadnie się zetknąć z największymi niebezpieczeństwami, na najgorsze puszczać się ryzyka, a każdy zgodzi się na nie z lekkim sercem.

Kanonada, która drzemała przez noc, zaczyna ryczeć z nową wściekłością. Pod Moulin-sous-Touvent wpadają w nastrój bojowy. Widać sztab brygady, kompanje stoją z bronią u nogi — tuż, tuż grzmi strzelanina. W ciemnej izbie, gdzie się z trudem mieści sztab, du Vigier przedstawia się generałowi.

Ledwo zdążył mu wyjaśnić swe zadanie, gdy jakaś dłoń kładzie się na jego ramieniu i głos, jakby znajomy, woła go po imieniu. Odwraca się i staje twarzą w twarz z kapitanem Gamonet, który przed kilku miesiącami był jego instruktorem na kursie karabinów maszynowych w Saumur. Kapitan Gamonet należy do sztabu brygady.

Co za szczęście! Będzie można pogadać otwarcie. Kapitan przedstawia mu swój pogląd na położenie, zającując jaja sadzone, upitraszone przez jakiegoś parzygnata. To śniadanie usposabia go najwiśdocznie różowo, gdyż opinja jego jest nader optymistyczna.

— Mój drogi, brygada trzyma silnie folwark Touvent u zachodniego wyjścia ze wsi oraz folwark Puiseux, o 1500 metrów na północ. Wszystkie nasze usiłowania, aby posunąć się naprzód, spełzły na niczem. To prawda. Strzelanina trwała przez całą noc bez przerwy, i można iść o każdy zakład, że Bosze nie skorzystały z ciemności nocnych, jak to jest ich zwyczajem, aby zrobić skok wtył... Wysła-

liśmy patrole w celu sprawdzenia, czy pozycje ich są silnie obsadzone... Nie mamy jeszcze meldunków, lecz na pewno pójdziemy naprzód. O to możesz być spokojny. Celem naszym jest Noyon, a generał chce go osiągnąć jak najprędzej...

Niezbyt się zgadza to z wczorajszym zdaniem generała de Villaret. Gdzie jest prawda? Tem gorzej!... Naprzód!

Du Vigier dosiada konia. Teraz nie pozostało mu już nic innego, jak walić wprost przed siebie i wierzyć tylko temu, co zobaczy własnymi oczyma. Roztropność, uwaga, a nadewszystko szybkość decyzji, to są jedynie jego szanse powodzenia. Są to przecież właśnie zalety kawalerzysty. Użyj ich jak najlepiej.

Na nieszczęście marsz był powolny, sporo bowiem czasu trzeba było stracić na obchodzenia, przystanki i gadaninę. Jest godzina siódma i z upłynięciem każdej minuty korzyści, na które liczył nasz oficer, znacznie się zmniejszają. Nie przestając się posuwać drogą, coraz węższą i coraz bardziej błotnistą, zaznajamia plutonowego Lebas ze swym zadaniem. Po łbie łatwo można oberwać, co przecież nie może zatrzymać patrolu.

Artylerja grzmi teraz ze wszystkich stron. Nie można już mieć żadnych złudzeń. Wczorajsza bitwa rozgorzała na nowo z równą zaciętością.

Droga przechodzi w ścieżkę. Patrol mija kompanję piechoty, posuwającą się w kolumnie dwójkowej, następnie, nieco dalej, drużynę, poprzedzaną przez szperaczy... Mimo wszystko każdy odczuwa lekkie drżenie serca. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że znajdują się w groźnym pasie, nie należącym do nikogo, w pasie zasypywanym pociskami obu przeciwników. Posuwanie naprzód odbywa się tu w niepewności i całkowitej nieświadomości tego, na co się można natknąć, jakby to była ciemna noc. Nieliczne zaś, wpadające w oczy szczegóły niezbyt dodają otuchy; świeżo wyrwane granatami leje, tu i owdzie poszarpane trupy, jeszcze ciepłe, oto oblicze terenu, przez który trzeba przechodzić. Pełna wyrazu cisza panuje w szeregach małego oddziału.

Parów staje się coraz to płytszy, wkrótce trzeba będzie wychynąć na płaskowzgórze i przeciąć drogę z Tracyle-Mont do Nampcel. Od tego miejsca zaczyna się kraj nieznany. Już są na drodze. Na szczęście kępa drzew zasłania kirasjerów. Korzysta z niej du Vigier, aby zebrać ich dokoła siebie i wytłumaczyć, czego od nich będzie wymagał. Trzeba będzie galopem przebyć rozległą, odkrytą przestrzeń. Muszą się rozsypać szeroko celem uniknięcia pocisków, nie spuszczając

przytem oka z niego, jako z dowódcy; nie będzie już czasu na wydawanie rozkazów; muszą odgadywać jego myśli i za wszelką cenę gnać za nim w każdym kierunku. Zrozumiano!

Ośmiu kawalerzystów obnaża szable i zbiera krócej wodze. Wszyscy są gotowi. Kirasjerzy, rozsypani za swym oficerem, suną kłusem na wzniesienie, którego szczytem biegnie droga do Nampcel. W chwili wyjścia na nią oficer ruchem ręki zatrzymuje swych ludzi. Będzie miał możność osobiście zbadać widnokrąg, gdyż z miejsca, gdzie się znajduje, rozlega się szeroki widok na płaskowzgórze. Szybki rzut oka. Na lewo w odległości około 400 metrów pluton kawalerji niemieckiej maszeruje po drodze właśnie w ich kierunku. Nawprost, w odległości jakiego kilometra widać duży folwark Loges. Niewątpliwie Niemcy zrobili z niego punkt oporu. Trzeba go wyminać za wszelką cenę. Na prawo, na skrzyżowaniu gościńca z Noyon z drogą do Nampcel, stoi kilku cyklistów z rowerami, opartemi o przydrożne drzewa. Słowem, względny spokój, niewiele wojska na widoku, pola dogodnie do szybkiego marszu harcownikami. Wszystko wygląda jak najlepiej, przynajmniej na oko. Należy wykorzystać sposobność. W imię Boże!

Za swym oficerem, w odstępach dwudziestometrowych, nasi kawalerzyści wyskakują na równinę. W celu oszczędzenia sił końskich, nie obawiając się żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa, du Vigier posuwa się ciągle kłusem na północ-wschód, tuż między folwarkiem Loges a grupą cyklistów. Niezwykła ta przejażdżka środkiem nieprzyjacielskich pozycyj odbywa się w milczeniu, zaiste przejmującym. Zaskoczenie dla Niemców było widocznie całkowite, skoro nie reagują zupełnie. Korzysta z tego du Vigier, choć ma żywe wrażenie, że setki oczu są w niego wlepione i że ten spokój nie potrwa długo.

Nie pomylił się! Ba!... Na lewo rozlega się strzał karabinowy i kule ze świstem przelatują nad kaskami. A natychmiast z prawej strony cykliści otwierają gęsty ogień. Vigier, rzuciwszy okiem za siebie, widzi, że pluton niemiecki zdecydował się ścigać go i rusza galopem. Przechodzi więc ze swoimi ludźmi również w galop. Teraz strzały zaczynają padać także z folwarku; mkną tedy jeźdźcy nasi cwałem po rozmiękłych polach wśród niemiłego koncertu gwizdów i świstów. Chwila jest dramatyczna. Czyżby tu, na samym wstępie, miał się we krwi skończyć patrol nr. 1?

Hop! Przeskoczyli oba rowy gościńca do Noyon. Teraz została już tylko jedna możliwość ratunku: dopaść niewielkiego lasu na północ

od Croisette, którego skraj leży o 1200 metrów stąd. Za swemi plecami du Vigier słyszy krzyki dragonów niemieckich, już zgóry pewnych schwytania jeńców. Z ostrogami wbitemi w boki swej ścigłej klaczy „Fastidieuse“ przyśpiesza chód, upewniając się wzrokiem, czy jego ludzie podążają za nim. Towarzyszy mu strzelanina, na szczęście niezbyt celna.

Las rośnie w oczach, rysuje się coraz wyraźniej. Aż tu nagle strzela mu do głowy myśl i, w miarę zbliżania się lasu, ustala się z coraz większą pewnością: oby tylko las nie był zajęty!... Już tylko 200 metrów... Nic, ani jednego strzału. Nadzieja... Rzut oka za siebie: pluton niemiecki się zbliża. Skraj lasu tuż... tuż.. niema nikogo... chwała Bogu!

I w tej samej chwili spostrzega rzecz tragiczną: las jest ogrodzony drutem kolczastym; Tem gorzej! Hop! Hop! klacz wspina się, skacze, ląduje... A reszta? Du Vigier słyszy tysiąc odgłosów, zlewających się w nieokreślony hałas; trzask łamanych gałęzi, dźwięk drutów, uderzenia kopyt w grząski grunt. Przebiega galopem jeszcze kilka susów, smagany po twarzy gałęziami, i zatrzymuje się na środku małej polanki... ogląda się... o cudziel! Wszyscy przeszli. Z prawa i z lewa wylaniają się jego kirasjerzy. Zdrowi i cali zbierają się dookoła swego dowódcy. Wtem z piersi kaprała Couturier wyrywa się okrzyk rozpacz:

— Och! panie poruczniku, moja kobyla!...

Teraz dopiero spostrzegł, że klacz jego „Iris“ ma przestrzelony bok; ze straszhwej rany tryska krew. Biedne zwierzę galopowało dotąd, lecz obecnie siania się na nogach, wznosząc ku górze wzrok przerażony i już mgtny.

Chwila bolesna. Decyzja natychmiastowa konieczna. Las jest niewielki, a Niemcy na pewno nie wyrzekną się łupu.

Couturier, zeskoczywszy na ziemię, patrzy na oficera błagalnym wzrokiem. Czuje, że zostanie poświęcony, co rzeczywiście stać się musi dla ocalenia i powodzenia patrolu. Oficerowi ściska się serce, lecz, słuchając głosu obowiązku, rozkazuje:

— Couturier, mój przyjacielu, chwytaj swą broń, wszystką żywność, jaką masz przy sobie, i schowaj się w największą gęstwinę... Nocą, jeżeli nasi dojdą do tego lasu, postaraj się przedostać do naszych pozycji. Odwagi, Couturier, i do rychłego zobaczenia!

Jeszcze serdeczny uścisk ręki na pożegnanie i oficer oddala się kłusem wraz z pozostałymi kirasjerami. Z żalem muszą się rozstać z kolegą i zostawić go niepewnemu losowi. Na samym początku swego

zadania patrol traci jednego towarzysza... Prędko jednak nasuwają się im inne troski. Wypadki toczą się z zawrotną szybkością.

W ciągu kilku minut oddział osiąga północny skraj lasu. Du Vigier zatrzymuje swych ludzi w ukryciu drzew, sam zaś ostrożnie posuwa się naprzód. Roztropna przezorność. Ledwo rzucił okiem przed siebie, już robi wtył zwrot i cofa się w gąszcz zagajnika. Spozstrzegł bataljon niemiecki, maszerujący w kolumnie szosą na Brunenhaut i oddalający się w kierunku północnym pod osłoną tylnej straży, złożonej z cyklistów. Oficer nadstawia ucha. W lesie cisza. Wygląda, jakby niemieccy kawalerzyści zaprzestali pościgu. Bądź co bądź jednak najpewniej będzie poczekać tymczasem w tem ukryciu, względnie bezpiecznem, na lepszą sposobność wymknięcia się.

Spieszywszy swych ludzi i schowawszy ich w największym gąszczu, Vigier rozkłada mapę, podczas gdy konie wypoczywają. Trzeba się zorientować i dobrze obliczyć możliwości. Na północno-zachodzie, w odległości mniej więcej 800 metrów, leżą lasy Montagne, długie na sześć kilometrów, szerokie na cztery. Jeśli uda mu się tam przedostać, będzie mógł w doskonałym ukryciu przejść bardziej na północ, dojść do okolicy mniej silnie zajętej i tam zasięgnąć ciekawych wiadomości.

Powziąwszy to postanowienie, natychmiast przystępuje do jego wykonania. Na koń! Już sześciu kirasjerów mknie za swoim oficerem ku północno-zachodniemu skrajowi lasu, położonemu najbliżej szosy do Brunehaut. Szosa ta stanowi słabą stronę przedsięwzięcia. Trzeba ją przebyć, aby dostać się do lasu Montagne. Otóż stanowi ona najkrótszą drogę z Nampcel na północ w kierunku rzeki Oise i mostu pod Brétigny. Jeżeli Niemcy się cofają w dalszym ciągu, o czemby mógł świadczyć kierunek marszu bataljonu, spotkanego przed chwilą, prawdopodobnie szosą tą będą ciągnęły oddziały. Lecz postanowienie zapadło i przedstawia względnie najmniej niebezpieczeństw.

Oto skraj lasu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności leśna drożyna ciągnie się wzdłuż niego z jednego końca na drugi. Du Vigier rozstawi na niej swych kirasjerów w odstępach kilkometrowych, aby wyjść z lasu w jak najdogodniejszych warunkach, poczem nakazuje plutonowemu Lebas dojechać do wzniesienia, odległego o jakieś 150 metrów i zasłaniającego szosę do Brunehaut. Ma posuwać się ostrożnie i rozpoznać, gdzie jest bataljon, widziany przed chwilą. Jeżeli osądzi, że przejście jest możliwe bez nadmiernego ryzyka, niech da znać zapomocą podniesienia ręki, a reszta doskoczy do niego harcownikami.

Lebas oddała się drobnym klusem, wspina na wzgórze... Nagle zawraca konia wtył, przybiega galopem i melduje:

— Panie poruczniku, nie mogłem zająć się oddziałem, o którym pan mówił... Zetknąłem się nos w nos z tyraljerą... idą prosto na nas...

Nie zdążył skończyć swego meldunku, gdy na wzniesieniu ukazała się tyraljera. Strzelcy idą spokojnym krokiem z karabinami w ręku. Przed nimi kroczy oficer z rewolwerem w dłoni. Nie zauważyli nic, bo maszerują tak beztroskliwie i spokojnie jak na manewrach. Co począć? Cofnąć się głębiej w las?... Na to, aby spostrzegli, ostrzelali i odrzucili w stronę oddziałów zaalarmowanych przed chwilą. Najrozsądniej trwać w ukryciu dopóki się da, a potem rzucić się na złamanie karku ku północy. Każdy z kirasjerów stoi bez ruchu, ukryty za wybranym drzewem czy krzakiem. Strzelcy zbliżają się ciągle. Już tylko sześćdziesiąt kroków dzieli ich od skraju lasu, już można rozróżnić rysy ich twarzy. Oficer długi, chudy dryblas, o wygolonej twarzy stąpa szerokimi spokojnymi krokami. Nagle przystaje, podnosi głowę... Du Vigier ma wrażenie, że musiał coś zauważyć... błysk pancerza?... czerwień rajtuzów?... Nadeszła właściwa chwila. Ryczy więc:

— Marsz!... Marsz!...

I sam rzuca się pełnym cwałem na linję niemiecką. Za nim jego zu chy. I znowu wypadki toczą się z szybkością kinematograficzną.

Najpierw spotkanie z linją tyraljerów. Ci, zaskoczeni, nie zdążyli nawet podnieść karabinów do oka; oficer nie zdołał wykrzyknąć słowa komendy. Du Vigier mija ich, nie spojrzawszy nawet, gdyż jedną tylko myśl ma w głowie: utrzymać kierunek i gnać, co pary w koniu. Lecz bez odwracania się widzi ukradkiem, że jego kirasjerzy dają uścisk swym nerwom, rąbiąc długimi pałaszami po śpiczastych kaszkach. Galopem pędzi na wzniesienie. Jedno spojrzenie przekonywa go, że piechury zrobili wtył zwrot i zaczynają strzelać. Zarazem widzi na lewo w tyle pluton kawalerji, ścigający go galopem.

Dopada szosy, wiodącej do Brunehaut. Z łomotem gromu, w dwóch susach przeskakuje ją, chociaż nadciągający kolarze nie omieszkają, oczywiście, dołączyć ognia swych karabinów do palby tyraljery. Jeszcze tylko 400 metrów do skraju lasu!...

Nuże dalej! dalej nasze dzielne rumaki! Jeśli zbawienie jest możliwe, czeka nas ono tam!... Ach! cóż to znowu?... Po jego lewej stronie jeden kirasjer zrulował z koniem... Jeden więcej!... zatrzymać się nie można. Trzeba ratować innych. Naprzód! Naprzód! Naprzód! Wtem jęklivy głos odzywa się tuż koło niego:

— Panie poruczniku, jestem ranny!

Skarga ta wydobywa się z ust plutonowego Lebas, który galopuje ciągle obok swego oficera.

— Odwagi, Lebas! Trzymaj się aż do lasu... tam zobaczymy!

A jeżeli i ten las jest obsadzony?... Nie, ani jednego strzału. Gromadka jeźdźców wpada w gęstwinę wyciągniętym galopem wśród gradu kul, łamiących gałęzie i trzaskających o pnie. Teraz groźny jest tylko pościg plutonu kawalerji. Bez słowa, z zaciśniętymi zębami, z niezłomną wolą wymknienia się du Vigier galopuje nieprzerwanie ścieżką, na którą trafił, rzuca się w pierwszą napotkaną drożynę w lewo, skręca na prawo i jeszcze raz w lewo, celem zmylenia śladów. Wkońcu zatrzymuje się w zbitym gąszczu, zeskakuje z konia. Ludzie jego, zziązani, naśladują go.

Lebas wzdycha:

— Panie poruczniku, jestem skończony, mam strzaskane udo.

Biedny chłopak jest zupełnie wyczerpany. Jego klacz, trafiona kilku pociskami, położyła się na ziemi w kałuży krwi, nawpół martwa. Na polu zaś został Desprez, najlepszy jeździec w plutonie. Położenie jest tragiczne, prawie rozpaczliwe.

Du Vigier dobrem słowem stara się pocieszyć swego plutonowego. Każe mu odpiąć pancerz, pomaga wyciągnąć się na kocu, później bada jego ranę. Kość jest niewątpliwie nienaruszona, lecz mięśnie są poszarpane i udo przestrzelone nawylot. Trzeba się wyrzec nadziei zabrania z sobą nieszczęśliwca, który poza tem strasznie cierpi. Jak najdelikatniej du Vigier bandażuje mu okropną ranę swoim własnym opatrunkiem, potem wstaje. Co za los! Być zmuszonym do opuszczenia ранnego podoficera, w dodatku tej wartości! W ciągu niespełna pół godziny stracić dwóch podoficerów i najlepszego żołnierza... Być zmuszonym walczyć dalej, wymykać się pościgom, starać się zdobyć żądane wiadomości, a wszystko to na czele czterech jeźdźców. Czyż to nie znaczy porywać się z motyką na słońce?

Przez okamgnienie poddaje się zniechęceniu. Poco upierać się przy zadaniu właściwie niewykonalnem? Poco narażać istnienia ludzkie napróżno? Czyż już niedość zdziałał, aby móc z podniesionem czołem powrócić do swoich? Bezwzględnie jednak pokonywa własną słabość. Nie, nie może zezwolić, żeby pierwsze ofiary były daremne. W górę serca!

Jeden po drugim, oficer i czterej pozostali kirasjerzy ściskają dłoń Lebas'a, przyjmującego ten uścisk ze łzami w oczach, lecz bez słowa sprzeciwu. Zrozumiał, że wyższy nakaz kierował postępowaniem ofi-

cera. Godzi się ze swym losem, jak przystało żołnierzowi. Cóż znaczy jedno życie ludzkie w tej morderczej walce? Jego rola jest skończona. Innym dłoniom trzeba powierzyć pochodnię.

Z ostatniem słowem pożegnania oddala się ze smutkiem du Vigier, a za nim Disseaux, Dumaine, Charlet i Deschamps. Lecz w głębi duszy oficer nie może się pogodzić z myślą pozostawienia dzielnego plutonowego jego losowi. Krążąc po lesie, dostrzegł poprzez drzewa jakieś zabudowania nieopodal skraju. Obszuka je. Jeżeli nie są zajęte przez Niemców, postara się znaleźć w nich schronienie dla swego podoficera.

Już je widać. To folwark Belle-Fontaine, do połowy otoczony drzewami, leżący w pewnej odległości od drogi z Blérancourdelles do Caisnes. Przed zbliżeniem się do niego, bada go uważnie przez lornetkę. Nic. Spokój zupełny.

Ostrożnie, krok za krokiem, rozglądając się dokoła, pięciu jeźdźców zbliża się do rozległego czworoboku. Du Vigier odważa się zajrzeć przez bramę. Dziedziniec jest pusty. Wchodzi więc do wnętrza wraz ze swoimi ludźmi. Na progu domu mieszkalnego dzielna właścicielka folwarku ze zdumieniem patrzy na wkraczających na dziedziniec pięciu francuskich kirasjerów, strudzonych, pokrytych błotem. Oczom swym nie chce wierzyć, tym oczom, które od dni dziesięciu oglądają tylko niemieckie pikelhauby. Widzi, jak jeźdźcy schodzą z koni, jak rozkiełznują swe wierzchowce, poją je w sadzawce; widzi, jak zbliża się do niej młody oficer; słyszy, jak opowiada jej, w jaki sposób i dlaczego się tu znajduje, dlaczego i wśród jakich okoliczności zmuszony był zostawić w lesie rannego towarzysza broni. Dzielna Francuzka słucha i, wzruszona myślą o rodaku, broczącym krwią blisko niej, przyrzeka natychmiast pośpieszyć mu z pomocą w towarzystwie jednego młodzieńca z sąsiedztwa. We dwoje sprowadzą rannego do folwarku, gdzie go będzie pielęgnowała, jak własnego syna.

Co za ulga. Nie trzeba będzie dźwigać na sercu tego ciężaru wśród przerażających trudności, wymagających każdej chwili swobody myśli. Oto i teraz nie można się poddać serdecznemu nastrojowi, który może sprawić, że człek zapomni i o czyhającym niebezpieczeństwie i o celu całego przedsięwzięcia. Dalej! Do koni!

Podziękowawszy gorąco gospodyni, du Vigier ze swymi czterema towarzyszami śpiesznie wraca do lasu i ścieżką, wiodącą wzdłuż jego skraju, kieruje się ku północy. Od czasu do czasu, między pniami dwóch drzew widać skrawek krajobrazu, pola, domy, sady. Posuwa-

jąc się stępem, oficer pilnie bada okolicę. Nagle zatrzymuje się prze-
rażony.

Niedaleko, w odległości zaledwie kilkuset metrów, na drodze, pro-
wadzącej ku południowi od Caisnes, spostrzega grupę ułanów nie-
mieckich z lancami na udach. Poleca swoim ludziom ukryć się jak
najstaranniej, sam zaś z lornetką przy oczach obserwuje bacznie. Za
jeźdźcami straży przedniej ukazują się dalsi w długiej zwartej kolum-
nie, w doskonałym szyku. Przeciąga cały pułk, po nim konne baterje,
potem znowu szwadrony, na końcu cykliści. Wszystko to przesuwa
się szybko, planowo, karnie i w przykładnem milczeniu. Słowem bry-
gada jazdy w szyku marszowym. Byle tylko żadnemu z dowódców
nie przyszło do głowy wysłać jakiś patrol na bok ku lasowi, który
się ciągnie wpobliżu, równoległe do ich osi marszu. Oby który z koni
patrolu nie zaczął rzeć. Przez cały czas przemarszu nasi kirasjerzy drżą
na myśl, że zostaną odkryci i ścigani, tym razem już bez nadziei ocale-
nia. Lecz nie. Niemcy oddalają się w zupełnym spokoju. Jakżeż bo-
wiem mogli się spodziewać obecności kawalerji francuskiej na 10 ki-
lometrów w głębi własnych tyłów.

Po zniknięciu ostatniego szwadronu Vigier oddycha z ulgą, a zara-
zem zapisuje starannie g. 11 min. 30 i miejsce, skąd obserwował marsz.
Jakżeż przypuszczać, widząc całą brygadę kawalerji, maszerującą ku
linij bojowej, że Niemcy cofają się na północ? Oto cenna wskazówka,
osłabiająca przypuszczenie, wynikłe ze spotkania bataljonu, maszeru-
jącego na północ do Brétigny.

Znowu pochód skrajem lasu.

Nie może to trwać zbyt długo. Niebawem zostaje osiągnięty pół-
nocno-wschodni skraj lasu i nasi kawalerzyści natykają się na dużą
wieś Caisnes, zamykającą im przejście. Miejscowość wygląda na nie-
zajętą.

Na drodze, jak okiem sięgnąć, nie widać żadnych oddziałów. Du
Vigier pozwala koniom odsapnąć, sam zaś korzysta z czasu, aby zo-
rjentować się na mapie. Nie ma najmniejszej wątpliwości co do decy-
zji. Gdyby wieś była zajęta, byłaby obstawiona posterunkami. Trzeba
tedy odważyć się na przebycie jej w ostrem tempie, a później starać
się osiągnąć las Carlepont, gdzie będzie można znaleźć pewne bezpie-
czeństwo i skąd po odpoczynku będzie można ruszyć ku innym ce-
lom. Jedyne ryzyko: możliwość zetknięcia się w Caisnes z oddziałem
niemieckim, maszerującym w przeciwnym kierunku, co jeśli nastąpi,
trzeba będzie ratować się ucieczką w prawo lub w lewo. Wykonać!

Oddziałek kłusem wylania się z lasu i wchodzi do wsi. Na jego widok osłupiali wieśniacy stają z otwartymi gębami. Nasi chłopcy pękają ze śmiechu na widok ich przerażonych min i rypią przed siebie bez słowa. Niemców ani śladu, żadnej przeszkody na drodze. Wszystko idzie jak po maśle.

Chodzi o to, aby po przejściu przez wieś dopaść lasu Carlepont, odległego mniej więcej o 800 metrów. A w tym celu trzeba przeskoczyć drogę z Carlepont do Cuts, drogę równą i prostą jak rzymska jedyńka. W chwili gdy się nasz oddział zbliża do tej drogi na jakieś 200 metrów, ukazuje się na niej plutonik kawalerji niemieckiej, podążający kłusem. Du Vigier ledwo miał czas ukryć swych jeźdźców w najbliższym wądole. Niemcy mijają ich beztrząsco.

Dwie minuty przeczekania, a potem... galopem! Pięciu kirasjerów wali przez drogę za plecami dwóch cyklistów, a tuż przed samochodem sanitarnym. Zanim Niemcy zdążyli zeskoczyć z rowerów, zdjąć karabiny, naładować je, mały oddziałek dopada lasu wraz z poświętem pierwszych pocisków. Uf! Po raz pierwszy od przedostania się za pozycje niemieckie du Vigier ma wrażenie zupełnego spokoju i bezpieczeństwa. Żywo! Trzeba skorzystać ze schroniska, dać podjeść ludziom i koniom, a nadewszystko dać wypoczynek tym ostatnim. Są zupełnie wypompowane.

Las na szczęście jest gęsty i głęboki. W oddaleniu od dróg można bezpiecznie rozkiełznać konie, podać karmia i otworzyć puszkę z konserwami. Co za rozkosz w tym uczuciu spokoju! Powrócił na tychmiast dobry humor. Podczas gdy ludzie zajadają, aż im się uszy trzęsą, du Vigier naradza się sam z sobą.

Liczne poranne przygody odciągnęły go od przepisanej osi marszu tak daleko, że nie może nawet marzyć o powrocie na nią. Czegóż właściwie żądają od niego? Poznania ostatecznych zamiarów niemieckiego Naczelnego Dowództwa. Ruch oddziałów, który dotąd mógł zaobserwować, świadczy, że odwrót, jeżeli wogóle ma nastąpić, będzie się odbywał powoli, z chęcią utrzymania przez pewien czas każdej kolejnej pozycji. Idzie więc nietyle o stwierdzenie zachowania się oddziałów, będących w styczności, ile o zbadanie, jak zachowują się oddziały drugiej linii i odwody. W tym celu trzeba dostać się bardziej na północ.

Du Vigier postanawia dotrzeć do ważnego rozstaju dróg pod Ternier, rezygnując z posuwania się wzdłuż biegu Oise. Przejdzie na prawy brzeg rzeki, gdzie prawdopodobnie niema tyle wojska, i w ten sposób oszczędzi sobie bardzo niebezpiecznej przeprawy przez kanał

między rzekami Oise a Aisne, nadto będzie mógł dojść do Tergnier przez okolicę dobrze znaną, którą przemierzył na koniu we wszystkich kierunkach jeszcze przed wojną podczas pobytu w garnizonie Noyon. Wie, że zalesione wzgórza, ciągnące się nad Oise od północy, dostarczą mu doskonałych punktów obserwacyjnych na dolinę. Przejdzie więc tamtędy, jeżeli los będzie mu sprzyjał.

Jest pierwsza po południu. Po okiełznaniu koni i zapięciu juczaków nasi jeźdźcy są gotowi, dosiadają tedy wierzchowców i w drogę!

W godzinę później docierają do wschodniego skraju lasu, w odległości około 800 metrów od wioski Pontoise. Tuż obok sterczy samotny młyn. Może tam uda się zasięgnąć nieco wiadomości. W istocie du Vigier znajduje w nim młodego człowieka, który właśnie wczoraj był w Noyon. Ochotnie opowiada wszystko, co wie. Noyon jest zajęte przez słabe oddziały, ale poważne siły przeszły przez miasto, udając się na linię bojową. O przejściu rzeki śnić nawet nie można. Wszystkie mosty są albo zniszczone, albo pilnie strzeżone.

— Najlepiejby było dojść do Brétigny. Tamtędy most został zniszczony, lecz niezupełnie, jak mi mówiono, i nie jest strzeżony. Może tamtędy nocą uda się wam przejść...

Trzeba więc będzie próbować szczęścia w tamtym kierunku. W tym celu wypadnie przekroczyć szosę z Noyon do Cuts. Du Vigier przybliża się do niej ostrożnie, lecz musi prawie zaraz zatrzymać się, ciągnie nią bowiem długi sznur taborów w kierunku południowo-wschodnim. Nasi jeźdźcy galopem powracają do leśnej kryjówki. Zostali jednak niewątpliwie zauważeni, gdyż opodał rozlegają się strzały i kule łamią gałęzie dokoła nich.

Najroztropniej będzie wykorzystać przykrycie lasu aż do miejsca, gdzie się ono najbardziej zbliża do tej przeklętej drogi. Istotnie nieco na południe, ledwo o dwieście metrów od szosy, leży wielki folwark Mériquin, przylegający do małego lasku, który stanowi jakby wysuniętą placówkę lasu Carlepont. Du Vigier dochodzi doń, ukrywając się jak można najskrzętniej, przesuwając się wzdłuż folwarku i ostrożnie go bada. Inna kolumna wozów posuwa się drogą w tym samym, co pierwsza, kierunku. Potwierdza to zupełnie ostatnie spostrzeżenie. Wojsko, które ściąga do siebie takie ilości żywności i materiałów, nie myśli o cofaniu się.

Wobec tak dokładnych obserwacji du Viger zapytuje sam siebie, czyby nie należało spróbować przesłać meldunku do dowództwa francuskiego. Lecz jakim cudem jego goniec przedostanie się przez pozycje? Wśród tylu niebezpieczeństw, bez mapy, pomagającej w orjenta-

cji, biedny chłopak wpadnie niezawodnie do niewoli lub nie zdoła wypełnić swego zadania. Najlepiej więc utrzymać razem garstkę ludzi, jaką pozostała, dotrzeć jak najrychlej do Tergnier i postarać się jak najprędzej osobiście dostarczyć zebrane wiadomości. Lecz nie tylko spieszyć się trzeba; należy także baczyć, aby się nie dostać do niewoli. Otóż oddziały i kolumny taborowe ciągną naprzemian i prawie bez przerwy tą drogą, którą trzeba koniecznie przekroczyć, dla dostania się do Brétigny. Oficer postanawia poczekać do zmroku, aby spróbować przeskoczyć przez drogę. Jest g. 5 min. 30. Tymczasem więc ludzie i konie mogą skorzystać z dobrze zasłużonego wypoczynku, pokrzepić się i odzyskać siły, potrzebne do nocnych trudów.

Prowadzi zatem swych ludzi zpowrotem do lasu pod młyn, sam zaś piechotą udaje się do młynarza z prośbą o żywność dla ludzi i koni. Zaczyn człowiek nie daje się prosić.

— Dla kirasjerów 9 pułku... jakżeż... przecie to pułk z Noyon!

Ofiarowuje wszystko, co ma: chleb, jaja, owies.

— A dla dodania otuchy swym zuchom proszę im zanieść butelkę jabłecznika; zaręczam, że jest wyśmienity.

W gąszczu leśnego podszycia, służącego im za schronisko, nasi kirasjerzy urządzają sobie małą, a niespodziewaną ucztę. Powoli zapada noc. Zakładają więc zpowrotem wędzidła, dosiadają koni i ruszają w ciemnościach niemal zupełnych. Przejmująca cisza otacza oddziały. Gdyby tabory szły jeszcze drogą, byłoby słyszeć ich znamieny turkot. Chwila jest odpowiednia.

Kłusem przebywają małą polanę, a potem jeden za drugim, na miedlę indyjską, ciągną leśną ścieżyną. Nagle przystanek. Koń oficera potknął się o druty. Kopnięciami butów wywracają słupy i przeprowadzają konie w rękę. Potem znowu na siodła i kłusem przez polną ścieżynę do drogi. Oto i ona. Znowu krótki przystanek w celu upewnienia się, czy jest wolna. Żadnego światła, żadnego hałasu. Długa szara wstęga wije się wśród czarnej nocy. Naprzód!

Właśnie w chwili, gdy pięciu jeźdźców wychodzi na szosę, cień jakiś zbliża się ze znaczną szybkością i wali się pod same kopyta kłacz porucznika. To cyklista niemiecki. Otoczony natychmiast przez kirasjerów, kładzie się przerażony na ziemi z jękiem:

— English!... Kamerad! Kamerad!... Dwaj kirasjerzy podnoszą go duchem, du Vigier zaś pistoletem, przyłożonym do czoła, zmusza do milczenia. Biedaczysko pewny jest swej zguby i szlocha gwałtownie. Przez łzy błaga, aby go nie zabijać... Jest żonaty i ma dzieci, którym należy zachować ojca. Nasi zabierają mu broń i moc naboju, potem od-

ciągają go na pewną odległość od szosy. Tu oficer, zbierając całą swą znajomość niemieczyny, przystępuje do badania go.

Nieszczęśnik nie daje się prosić i opowiada wszystko, co tylko wie. Należy do kolumny pontonowej i jest przydzielony do posterunku przy moście pod Pontoise. Wysłano go na poszukiwanie oddziału kawalerji, który na noc miał wzmocnić wartę przy tym moście, lecz do-
tąd jeszcze nie nadciągnął... W Noyon są tylko oddziały sanitarne, kompanje saperów kolejowych i kolumny pontonowe... Wczoraj dużo wojska przeszło przez most, zbudowany przez jego oddział pod Pontoise. ...Wszyscy szli na południe... Dotychczas należał do armji generała von Klucka, lecz powiedziano mu dziś po południu, że jego oddział został przydzielony do innej armji. ...Nie wie, kto nią dowodzi... Co się tyczy mostów na rzece Oise, to wszystkie zniszczyli Anglicy podczas odwrotu... Odbudowano tylko trzy... w Pontoise, pod Quierzy i pod Chauny... Nic mu niewiadomo o moście pod Brétigny.

Po zniszczeniu roweru i rzuceniu broni wraz z amunicją w największy gąszcz, du Vigier postanawia zabrać chłopą ze sobą. Może się przydać w razie nie milego spotkania jakiegoś patrolu lub barykady. Nie ulega wątpliwości, że nie z bohaterem mają przyjemność. Każe mu się odpowiadać na wezwania i podawać hasło. W ten sposób można będzie zyskać kilka sekund, potrzebnych do ucieczki.

Zaopatrzony w takiego zakładnika, du Vigier nie waha się pod osłoną nocy ruszyć szosą. Poza tem jeniec zapewnił, że żadne patrole nie krążą w nocy po drogach, strzeżone są tylko wsie. W ten sposób zyskają na czasie i oszczędzą koni.

W istocie docierają do Pontoise, nie spotkawszy żywego ducha, i podchodzą do rzeki tak blisko, że widzą światło pochodni, płonącej u wejścia na most. Bez przeszkód również docierają do Varesnes. Stukaniem w okno budzą mieszkańców pierwszego z brzegu domu. Ci, wypytywani, potwierdzają skwapliwie informacje jeńca. Następnie patrol rusza do Brétigny, dokąd dociera około godziny 10-tej.

Gra zaczyna być poważna, należy więc przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Wieś robi wrażenie wymarłej. Znowu du Vigier puka w okno. Obudzony wieśniak wychodzi w koszuli przed dom pełen osłupienia na widok oficera 9 pułku kirasjerów. Z całą gotowością obiecuje wskazać mieszkanie wójty, który, jego zdaniem, będzie uszczęśliwiony, mogąc służyć wszelką potrzebną pomocą.

Słowa zostają bezzwłocznie wprowadzone w czyn. Wójt, obudzony w taki sam sposób, odziewa się prędko i z radością oddaje się na usługi swych rodaków. Najpierw trzeba przekonać się, w jakim stanie

jest most, aczkolwiek wójt nie przypuszcza, żeby patrol mógł po nim przejść. Prowadzeni przez dzielnego obywatela, nasi kawalerzyści dochodzą do rzeki. Niestety! Niema nadziei przejścia po moście. Jeśli, oparłszy drabinę o pale, możnaby jeszcze od biedy zaryzykować przejście pieszo, to niema co marzyć o przeprowadzeniu koni. Wójt jednak ma pomysł:

— Niech pan słucha, panie poruczniku, najpewniej będzie dla was dojść do brodu pod Pont-à-la-Fossé. Przejść go jeszcze można, gdyż jeden z tutejszych rolników dziś po południu przeprowadził się tamtędy na swoim wozie. Psia kość! Będziecie musieli nałożyć ze dwa dobre kilometry, lecz dam wam służącego, który doprowadzi was najkrótszą drogą.

Niemiała sprawa! Lecz czyż nadewszystko nie idzie o przeprowadzenie się przez rzekę? Wniosek wójta zostaje przyjęty. Podczas gdy parobek się ubiera, żołnierze wprowadzają konie na dziedziniec, brama zostaje zamknięta, a oficer i żołnierze kolejno rozgrzewają się świetną kawą, przygotowaną przez wójtową.

Wkrótce mały oddział pod przewodnictwem parobka zdąży naprzeciw przez pola do rzeki. Noc jest ciemna jak atrament. Wieje gwałtowny wicher. Ile straconego czasu! Ile trudu!... Lecz nadzieja podtrzymuje siły naszych zuchów. Łudzą się, że po przekroczeniu rzeki najgorsze trudności będą mieli poza sobą, a przed sobą wolną drogę.

— Oto bród — oznajmia przewodnik.

Istotnie, mimo ciemności, można sobie zdać sprawę, że łąka zmienia się w straszliwe bagno. Ostatnie deszcze podniosły stan wody, która częściowo zalała brzegi. Niemniej jednak, podziękowawszy przewodnikowi, oficer pcha konia do rzeki. Lecz po kilku krokach czuje, że klacz tak się zapada w błoto, jakby miała utonąć; inne konie zanurzyły się po kolana, szarpią się i odmawiają posłuszeństwa. Wkońcu trzeba uznać, że walka jest daremna. Żadną miarą biedne zwierzęta z ciężarem na grzbietach nie zdołają przejść tego trzęsawiska. Jeszcze jeden wysiłek daremny! Można oszaleć!

— Panie poruczniku, odzywa się w tej chwili parobek — może przecież znajdzie się sposób... Wróć do wsi i sprowadzę łódź. Posłuży ona do przewiezienia ludzi i ryszunka, konie zaś przeprowadzimy trzymając je za wodze.

Du Vigier zgadza się. Ileż jeszcze trzeba będzie zmarnować czasu! Ale przedostać się trzeba koniecznie przez rzekę, a przebyć ją można jedynie w tem miejscu, ponieważ trzy istniejące mosty są strzeżone.

Jakże mu się dłużyły te trzy kwadranse oczekiwania na mokrej trawie, wśród ponurych ciemności, chłostanych wichurą!

Nareszcie zjawia się człowiek z czółnem. Do roboty! Disseaux i Deschamps umieszczają w niej swój rynsztunek... Teraz trzeba zmusić konie do postępowania za łodzią. Nieszczęsne stworzenia, zmordowane i wystraszone, wzbraniają się początkowo wejść do obrzydliwej kałuży, a później, kiedy zdołano przełamać ich upór, nie chcą wejść do wody. Pomagając w tej uciążliwej pracy, jeniec dwoi się, troi, popycha konie, wchodzi do wody prawie po pas, aby je skłonić do marszu za łodzią. Nakoniec oddala się ona i niknie w mrokach nocy.

Ciężkie chwile przyszły teraz na oficera. Co się dzieje tam, po drugiej stronie? Czy nie natknęli się na brzeg bardziej jeszcze niedostępny? A jeśli po przeprawieniu się spotkają jakiś patrol niemiecki? Nie widzieć nic... nie słyszeć... nic nie wiedzieć... a tylko czekać biernie, drżąc na wietrze, z nogami grzęznącymi w mule, z połową tylko swych ludzi, z końmi rozsiodłanymi i w towarzystwie jeńca, umierającego ze strachu i z zimna! Nie zapomni nigdy tej chwili.

Nakoniec łódź wynurza się z ciemności i przybija do brzegu. Zaczyna się ta sama historia z wierzchołką porucznika i z koniem kirasjera Charlet. Te same trudności, te same niepokoje. I znowu łódź się oddala. Oficer zostaje na brzegu ze swym luzakiem Dumaine, jego klaczą i z jeńcem. Mija znowu kwadrans i łódź powraca.

Jeszcze ostatni wysiłek. Idzie już tylko o przewiezienie reszty rynsztunku i ostatniego konia. Z całą siłą popychają klacz ku rzece. Zaraz praca będzie ukończona i połączeni razem towarzysze rażno ruszą w dalszą drogę. Niestety, zjawia się nieoczekiwana trudność. Drepzcząc w błocie, konie sprawiły, że stało się ono jeszcze trudniejsze do przebycia. Uranja (tak się zwie kobyła luzaka Dumaine) zapada się po brzuch, ludzie zaś po kolana. Przerażone zwierzę usiłuje walczyć z grożącym mu utonięciem, lecz nieskładne jego ruchy, zamiast mu pomóc, jeszcze głębiej pogrążają je w bagnie.

Chwila jest beznadziejna. Coś przecie trzeba zaradzić. Jakoś trzeba temu nieszczęściu przeciwdziałać. Dumaine rozwija swoją linkę, przeprowadza ją z trudem pod brzuchem klaczy i we czterech (du Vigier i Dumaine z jednej strony, parobek zaś z jeńcem — z drugiej) ciągną ze wszystkich sił. Zgarbieni w błocie, z krzyżem rozbitym, z ciałem w gorączce, z trudem niesłychanym wydobywają klacz z ruchomego grobu. Lecz klacz jest u kresu sił. Żadną miarą nie można jej zmusić do wstania, nie reaguje zupełnie na prośby, ani na krzyki. Z łbem,

opartym o pień, z ciałem zwiotczalem a sztywnymi nogami biernie oczekuje śmierci.

A dochodzi już godzina pierwsza rano!...

Po raz trzeci w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin du Vigier czuje się zmuszonym do bolesnej konieczności porzucenia jednego ze swoich. W dodatku tym razem dotyczy to jego wiernego ordynansa, który go obsługuje od roku, a od początku wojny jest towarzyszem pełnym poświęcenia, sprawiającym swą zapobiegliwość, troskliwością i samozaparciem, że oficer nie potrzebuje myśleć o sobie, a może się całkowicie poświęcić swym ludziom, koniom oraz spadającym na jego barki zadaniom. Trzeba będzie zostawić tego człowieka samego w kraju, rojącym się od nieprzyjaciół, z bardzo wątpliwą nadzieją uniknięcia niewoli. Straci w ten sposób przeszło połowę tych junaków, którzy towarzyszyli mu przy wymarszu.

Lecz Dumaine zrozumiał swój obowiązek.

— Niech się pan mną nie kłopotce, panie poruczniku. Dam sobie jakoś radę. Pójdę do Brétigny i poproszę wójta, żeby mi pożyczył cywilnego ubrania. Żaden djabeł nie przeszkodzi mi potem przedostać się poprzez pozycje niemieckie do mego pułku.

Pozostaje jeniec. Wlec go ze sobą dalej niesposób, gdyż i tak stracono zbyt wiele czasu. Trzeba więc będzie przyspieszyć chodu. Otóż ten gagatek po odzyskaniu wolności pośpieszy niewątpliwie uprzedzić swych przełożonych o tem, co zaszło, oni zaś zaalarmują wszystkie posterunki i zorganizują pościg. Mimo tego du Vigier nie może się zdecydować na zgładzenie niewygodnego świadka. Każe więc ordynansowi i parobkowi odprowadzić go do wójta z poleceniem niewypuszczenia go przed świtem. Do tego czasu patrol będzie już w bezpiecznej odległości.

Po ostatnim uścisku dłoni du Vigier wskakuje do łodzi i po kilku minutach dobija do drugiego brzegu. Konie już są osiodłane, gotowe do drogi. Po raz ostatni łódź znika w ciemnościach. Patrol rusza przed siebie, zmniejszony do czterech uczestników.

Nadobitek położenie jego nie jest świetne. Aby się dostać na zalesione wzgórze, skąd można obserwować dolinę, trzeba przebyć trzy poważne przeszkody: kanał boczny rzeki Oise, tor kolejowy i szosę z Noyon do Chauny. Trzeba je koniecznie przebyć przed świtem. Czy będzie to wykonalne i czy mosty na kanale nie są również strzeżone? Oficer postanawia dostać się na most pod Appilly, odległy, według mapy, o dwa kilometry.

Mały oddziałek posuwa się naprzelaj przez nadrzeczne łąki.

W ciemnościach nocy nie widać ani śladu drogi, nie można dostrzec żadnego punktu orjentacyjnego. Ma się wrażenie posuwania się po omacku w pustce. Wreszcie wydostają się na drogę, ogrodzoną płotami. Du Vigier wchodzi na nią ostrożnie w nadziei, że doprowadzi go do mostu. Nagle zatrzymuje się gwałtownie. Na kilka metrów przed nim zamyka drogę barykada.

Szybko wraz ze swymi ludźmi, schyliwszy głowę, przyczają się pod płotem, w oczekiwaniu strzałów, lub co najmniej nieuniknionego „wer da?” Lecz sekundy mijają w bezwzględnej ciszy. Niespodziewane szczęście! Wartownik pewno zasnął. Trzeba go zaskoczyć i zmusić do milczenia, zanim zdąży dać sygnał alarmowy. Potem przelecą galopem.

Oficer zsiada z konia i pieszo w towarzystwie Disseux wilczym krokiem skrada się do barykady rowem, ciągnącym się wzdłuż płotu. Jeszcze tylko kilka kroków. Nic i nic. Są już na barykadzie. Niema nikogo. Barykada jest opuszczona.

Starając się robić jak najmniej hałasu, we dwóch usuwają jeden wóz w celu zrobienia przejścia dla koni, poczem wysuwają się naprzód, aby rozpoznać most. Lecz nagle zatrzymują się jak wryci. Czarna przepaść zieleje u ich nóg, a dnem jej z cichym szmerem płynie rzeka. Przekleństwo! W ciemnościach posunęli się zanadto na lewo i teraz znajdują się u mostu pod Brétigny, który przed trzema godzinami oglądali z tamtego brzegu!... Barykadę ustawiono jedynie poto, aby chroniła przechodniów przed wypadnięciem w próżnię!

A tu nawet zapalki zapalić nie można, aby spojrzeć na mapę. Na szczęście wystarczy iść tą samą drogą w odwrotnym kierunku. Musi ona prowadzić do mostu na kanale. Obaj spieszeni jeźdźcy szybko dosiadają koni i patrol zawraca, posuwają się rowem. Jakżeż te chwile dłużą się wszystkim, a zwłaszcza oficerowi! Nie ma pojęcia, czy most na kanale jest pilnowany, czy nie. Każdy krok zwiększa jego lęk i udrękę. Oto czarne zarysy drzew, ciągnących się wzdłuż ścieżki holaowniczej, oto most! Hura!... Przejście wolne... Lecz czy posterunek nieprzyjacielski nie stoi na przejściu przez tor kolejowy, o sto metrów dalej? Nie i tu niema nikogo. Patrol rusza kłusem. Chwała Bogu!

Wchodzą do Appilly. Oby tylko tupot kopyt na bruku nie zbudził kogoś niepożądanego. Najlepiej będzie przejść stępem, aby robić wrażenie przechodzącego spokojnie niemieckiego patrolu. Czy wieś ta nigdy się nie skończy? Ciągnie się i ciągnie, jakby wszystkie domy

ustawiono w dwa szeregi, aby w ich wrogich murach zamknąć nie-
szczęśliwców, szukających wyjścia i ucieczki.

Nakoniec ostatnie domy. W chwili, gdy je patrol mija, wschodzi
księżyc, oświetlając bladym światłem dolinę Oise. Tam gościniec do
Noyon lśni jak srebrny wąż. Schodząc z drogi, gdzieby łatwo mógł
być dostrzeżony, du Vigier jedzie poprzez pola. Dla bezpieczeństwa
spuszcza się do rowu, ocienionego płotem, a biegnącego ku szosie.
Dobrze zrobił, bo w chwili, gdy dzieli go od szosy zaledwie kilka
kroków, nadjeżdża pełnym gazem samochód z zapalonymi reflektora-
mi. Znika, nic nie spostrzegłszy. Jeszcze kilka sekund zwłoki, aby
nadciągająca chmura zakryła księżyc... i naprzód! Zmęczone konie
z trudem przeskakują przez oba rowy. Ale droga przekroczona. Prę-
dko teraz, bo księżyc niedługo znowu zaświeci.

Nasi czterej jeźdźcy ruszają klusem naprzelaż. Nagle klacz porucz-
nika wspina się i przeskakuje rów o płaskich brzegach, którego jeź-
dziec nie dojrzał w ciemności. Lecz kobyła kirasjera Charlet nie ma
już sił do takiego skoku i, nie dosięgnąwszy drugiego brzegu, wpada
do rowu, niezbyt szerokiego wprawdzie, lecz dość głębokiego. Prze-
rażona sapie, wzdycha, lecz leży bez ruchu w błocie. Czyż znowu
trzeba będzie porzucić jednego z towarzyszków?

Nuże! Wydobyć kobyłę! Oficer rozkazuje dwóm ludziom zejść
z koni i przeprowadzić je w rękę przez rów. Następnie, uwiązawszy
konie u pobliskich krzewów, we czterech wspólnymi siłami próbują
klacz podnieść. Daremnie. Biedactwo, ledwo żywe, pochrapuje smę-
nie, lecz nic nie robi, aby dopomóc swym wybawcom. Nie pomagają
popychania, ciągnięcie, kłątwy i wymyślania. Wszystkie próby są da-
remne.

W chwili, gdy wszyscy razem zdobywają się na ostateczny wysi-
łek, reflektory samochodu zbliżają się, zamiatając szosę swymi olśnie-
wającymi miotłami.

— Padnij! —

Przylgnąwszy do ziemi, czterej kirasjerzy trwają bez ruchu. Hałas
silnika zbliża się, zbliża... i wóz przelatuje jak huragan tuż koło nich.

Niebezpieczeństwo jest niewątpliwie zbyt wielkie. Porucznik pod-
daje się; rzuca jałową pracę. Zresztą i ludzie, i konie są u kresu sił.
Postanawia udać się do leżącej w pobliżu małej wioski Mondescourt,
umieścić tam w jakimś odosobnionym domu żołnierzy i konie, a za-
razem znaleźć ludzi dobrej woli, którzyby zapomocą lin wydobyli
klacz z rowu. Charlet chowa swój rynsztunek w stogu siana i tylko
z bronią idzie pieszo za resztą patrolu. Dochodzą do wioski, pogrą-

zonej w zupełnej ciszy. Du Vigier puka do okna jednego z domów, budząc jego właściciela. Dzielny człowiek natychmiast z całym zapalem zabiera się do pracy, aby pomóc zmęczonym jeźdźcom.

Przedewszystkiem prowadzi ich do odosobnionej zagrody, której właściciele, zbudzeni przezeń, zajmują się gorliwie niespodziewanymi gośćmi. Konie, umieszczone w wygodnej stajni, dostają owies i siano. Kirasjerzy łykają kilka kęsów pożywienia, lecz mają jedno tylko pragnienie — wyciągnąć się... spać.

Doskonale. Gospodarze przygotowują im świeżą słomę w stajni obok koni. Niech się nie troszcą o klacz, zostawioną w rowie. Została wydobyta i przyprowadzona przed świtem. Niech się nie niepokoją Niemcami. Niema ich we wsi i jest małe prawdopodobieństwo, aby się pojawili. Zresztą będą czuwali i na pierwszy alarm zbudzą śpiących.

Deschamps, Charlet i Disseux już leżą na słomie, już chrapią. Oficer kładzie się obok nich. Przez chwilę przebiega myślą ze smutkiem dotychczasową drogę. Stracić w jednym dniu czterech towarzyszków na siedmiu, mieć do wykonania zadania konie nawpół zdychające, niezdolne do większego wysiłku. Co za nędza... Lecz wszystkie te rozpaczliwe myśli mącą się i zacierają nader szybko. Błogosławione zmęczenie wypędza je z mózgu i du Vigier z kolei także zasypia.

Jest godzina czwarta rano.

Wystarczy odtworzyć sobie w myśli ich ubiegły dzień, aby zrozumieć, jaki był ten sen. Tyle wzruszeń, tyle niebezpieczeństw, tyle niepowodzeń moralnych i materialnych mogło złamać najsilniejsze ciała i najhartowniejsze dusze. Spali z rozkoszą. Zaledwie dotarł do ich świadomości akt przyprowadzenia przez wieśniaków wydobytego z rowu konia, którego wytarli i nakarmili, rzecz można, z zamkniętymi oczami. Potem znowu padli na swe posłanie ze słomy w stanie, podobnym do letargu.

Słońce budzi ich nieco przed g. 8 rano. Pogoda jest piękna, w połączeniu więc z trzygodzinnym wypoczynkiem przywraca im początkowy zapal. Obfite śniadanie, zastawione przez gospodarzy, przysparza rycerskiej gromadce dobrego humoru. Zapinają pancerze; ci, którzy są jeszcze w posiadaniu kasków, wkładają je na głowę. Disseux zgubił swój w gąszczu lasu Croisette, wdziewa więc furazerkę; kask Deschamps'a kula niemiecka pozbawiła grzywy końskiej pod lasem Montagne. Serdecznie podziękowawszy zacnym gospodarzom, rusza nasz oddział w drogę.

Przed odjazdem du Vigier zebrał dokładne wiadomości o położeniu. Wiadomo mu z rozmaitych źródeł, że okolica jest prawie wolna od Niemców i że poza szosą do Chauny, po której bez przerwy przejeżdżają samochody, można bez wielkiej obawy używać innych dróg. Jest to dla niego sprawa pierwszorzędnej wagi, gdyż posuwanie się drogami jest jednoznaczne z oszczędzaniem sił konskich, a stan ich jest ciemną stroną położenia. Serce się ściska na ich widok. Z nastroszoną sierścią, z zapadniętymi bokami, z łbem spuszczoneym, wszystkie, a zwłaszcza klacz Charleta, zdają się być u kresu sił. A cóż się stanie bez nich? Aby się więc przedostać na północ od Chauny, du Vigier postanawia iść drogą, ciągnącą się dołem nad brzegiem Oise.

Początkowo wszystko idzie świetnie. Przez Crépigny przechodzą wśród wzruszającego zdumienia mieszkańców. Lecz w chwili gdy patrol wychodzi z Caillonel, zatrzymują go wieśniacy:

— Niech pan nie idzie na Béthancourt, panie poruczniku, wracamy stamtąd; roi się tam od Niemców, rekrutujących środki żywności.

Istotnie, przez lornetkę oficer widzi dokładnie postawione u wejścia do wsi posterunki. Niema co mówić; drogi nie są tak pewne, jak opowiadano. Najlepiej zatem będzie powrócić do pierwszego projektu i posuwać się zalesionymi wzgórzami. Przed sobą mają właśnie ścieżynę, wiodącą wprost na wzgórze. Patrol kieruje się na nią i po kwadransie zatrzymuje się na skraju lasu, skąd ma rozległy widok na dolinę Oise.

Ukrywszy starannie konie, aby dać im nieco wypocząć, du Vigier wraca na punkt obserwacyjny i bada okolicę przez lornetkę. Wtem okrzyk zdziwienia wyrывa mu się z piersi. Co to znaczy? Patrol francuskich kirasjerów!... Niema najmniejszej wątpliwości. Posuwa się kłusem w kierunku Chauny. Co za lekkomyślność! To może być jedynie patrol porucznika Manceron. Chyba... chyba, że Francuzi posunęli się w kierunku Noyon i że patrol ten został wysłany przez korpus kawalerji...

Podczas gdy te przypuszczenia cisną mu się do głowy, du Vigier ze wzruszeniem śledzi marsz nieznanego kolegi. Co się stanie? Ach! Stać tu bezsilnie, o cztery kilometry od swych towarzyszy broni i nie móc pośpieszyć im z pomocą!... Tymczasem wypadki szybko się rozwijają. Kirasjerzy, spostrzegłszy samochód, uskoczyli w pole i galopują w kierunku Mondescourt.

Jednocześnie prawie zatrzymuje się samochód i natychmiast słychać suche odgłosy strzałów... Ach! Na Boga! Jeden z koni został trafiony; posuwa się z trudnością, srodze utykając... Reszta jeźdźców

dopadła zasłony drzew i odpowiada strzałami z karabinków. Brawo! Ranny koń dołączył się do innych i dowlókł do ukrycia... strzały milkną.

Du Vigier przez chwilę zastanawia się, czy nie spróbować połączyć się ze swym kolegą i nie przyjść mu z pomocą. Prędko jednak wyrzeka się tej myśli. Byłoby to bowiem jednoznaczne z żądaniem nowego wysiłku od koni, bez pewności, że uda się odnaleźć patrol. Znaczyłoby to również leżeć wilkowi w paszczę, nie wiedząc, czy się robi rzecz użyteczną. Najlepiej jest trzymać się swego zadania.

Oddział rusza w dalszą drogę, postanowiwszy skorzystać z nauki i posuwać się jedynie z jak największą ostrożnością. Przy każdej drodze, przecinającej zalesiony grzbiet, zatrzymuje się w krzakach i nie wysuwa się bez sprawdzenia, czy może przejść niepostrzeżenie. W ten sposób dochodzi do zalesionego wzgórza pod Caumont. Stamtąd mają wspaniały widok na całą dolinę i na szosę z Béthune do Chauny. Du Vigier bacznie się rozgląda dokoła. Nie widać żadnych oddziałów. Na drogach tylko pojedyncze samochody. To wszystko. A cel już niedaleki!

W istocie widzi według mapy, że w odległości niespełna 8 km, na południe od lasu Frières, znajduje się wzgórze 104, skąd powinien być rozległy widok na Tergnier i okolicę. To będzie ostatni punkt, do którego trzeba dojść. Jest godzina 11, czasu więc mają poddostatkim, aby go osiągnąć i po dokonaniu obserwacji zabrać się do drogi powrotnej przed zapadnięciem nocy.

Ruszają. Teren jest teraz zupełnie otwarty między lasem Caumont a szosą do Béthune, którą trzeba przekroczyć. Na szczęście jednak jest bardzo ciekawie pofałdowany, przedstawiając cały szereg dogodnych ukryć. Du Vigier korzysta z nich zręcznie. W ten sposób udaje mu się przeskoczyć przez drogę z Ugný do Caumont i po przeczekaniu w małej kotlinie na przejście samochodu niemieckiego, dotrzeć bez wypadku do lasu, położonego wpobliżu cmentarza Villequier-Aumont i drogi do Béthune.

Droga jest wolna. Czterej jeźdźcy mijają ją, zaczynając ostatni swój etap. Du Vigier jest jednak zaniepokojony zmęczeniem koni. Już, aby przejść drogę, musiał się wyrzec przeskoczenia rowu, otaczającego las, i nadłożyć około 300 metrów. A teraz klacz Charlet'a zdradza całkowite wyczerpanie. Za każdym krokiem oficer oczekuje, że się zwierzę zwali na ziemię bez nadziei powstania. Co zrobić? Godzina nie wystarczy do przywrócenia zwierzęciu sił i nie może iść dalej. Czyż oficer

ponownie będzie zmuszony do porzucenia jednego ze swych towarzyszków?

Nie. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, wykorzystanemu z niezwykłą śmiałością, udaje mu się uniknąć tej okrutnej konieczności. Podczas gdy z trudem wspina się na szczyt, górujący nad wsią Viry, zatrzymuje się nagle, dając znak swym ludziom, aby milczeli i ukryli się starannie w zagłębieniu terenu. Na górze, w odległości zaledwie kilkuset metrów, wartownik niemiecki przechadza się niedbale z karabinem na ramieniu, obserwując przeciwną stronę doliny.

Co on tam u diabła robi? Bezwątpienia został wydzielony z posterunku, niewidocznego z miejsca, gdzie się kryją nasi kirasjerzy. Bądź jak bądź, żołnierz ten jest kawalerzystą, ponieważ widać jego konia, który był widocznie przywiązany do jabłoni, teraz zaś rozwiązał linkę i pasie się spokojnie między drzewami. Nawet zaczął schodzić ku ukrytym kirasjerom. Czy spostrzegł konie patrolu? Czy je poczuł? Wyciąga szyję i powoli, zatrzymując się co dwa lub trzy kroki, przybliża się do nich, jakby pociągany a niespokojny zarazem... Jaka piękna sposobność do ofiarowania świeżego konia Charletowi!

Du Vigier postanawia zaryzykować. Kryje swych ludzi za stertą, a sam stępem podjeżdża do konia. Nie spuszczaając z oka wartownika, przemawia cicho do jego rumaka w tym języku odrębnym, zrozumiałym dla wszystkich koni na świecie. Koń przystaje, strzyże uszami, węsząc kobyłę intruza. Nieznacznie jednak przybliża się i wkrótce oba wierzchowce, dotykając się nozdrzami, zapoznają się ze sobą. Oficer pochyla się, chwyta za wodze... Och! Co za błogosławiona zdobycz!

Teraz po połączeniu się z towarzyszami odala się klusem. Trzeba wiać, zanim wartownik się spostrzeże, i ukryć się w lesie na południowachód od koty 104, która jest celem tyłu wysiłków.

Gdy dochodzą do lasu, jakaś wieśniaczka przyzywa ich gwałtownymi znakami, a po ich zbliżeniu się ostrzega:

— Mieście się na baczności, moi przyjaciele, Niemcy z lotniska, położonego z drugiej strony lasu, często tam polują. Uważajcie więc!

Du Vigier dziękuje jej i po dokładnem zbadaniu skraju lasu zagłębia się w nim wraz ze swymi ludźmi. Tam się odbyła pamiętna uroczystość: wcielenie do kawalerji francuskiej schwytanego wierzchowca nieprzyjacielskiego. Obrzęd był prosty i szybki. Po przeszukaniu rynsztunku niemieckiego wyrzuca się go w krzaki, a na grzbiecie nożowozaciecznego umieszcza rynsztunek Charlet'a. To wszystko. Po porzuceniu się ostatnią pieśczętą z biedną kłaczą oddział rusza w drogę.

Kobyła usiłuje podążać za końmi, lecz przy pierwszym wzniesieniu, na które trzeba się wdrapać, poddaje się zrezygnowana i zrozpaczonemi oczami spogląda na oddalających się swych stajennych towarzyszy. Przykry to widok, zwłaszcza dla Charlet'a... Lecz nie należy patrzeć za siebie...

Po kwadransie drogi przez wspaniały las czterej jeźdźcy docierają do jego skraju. Stój! Zostawiwszy tam swą klacz, oficer ostrożnie posuwa się aż na szczyt, dochodzi do okazałej jabłoni i, przyłgnąwszy do niej ciałem, podnosi do oczu lornetkę.

Lecz w chwili, kiedy zaczyna obserwację, wzdyga się na odgłos kroków. Na szczęście są to dwaj cywile... młodzieńcy w wieku piętnastu, szesnastu lat. Zajęci byli właśnie zakładaniem siodeł w lesie, kiedy spostrzegli ich kirasjerzy i skierowali do swego dowódcy.

Doskonała myśl! Cóż oni wiedzą? Młode chwaty nie każą się prosić. Synowie kłusownika, który ustawicznie krąży po okolicy, wiedzą o wszystkim, co się dzieje. Opowiadają oficerowi, że Niemcy nie odbudowali mostu w miejscu, gdzie tor kolejowy z Saint-Quentin do Tergnier przechodzi przez kanał Crozat i że cały ruch taborów odbywa się drogą na Chauny. W okolicy znajduje się stosunkowo niewiele oddziałów walczących, lecz przeważnie same tylko służby; przybyło natomiast dużo rannych. Tuż pod Tergnier, na północ od wsi Vouel, urządzony jest wielki park lotniczy, lecz zbliżyć się do niego nie można, gdyż jest bardzo pilnie strzeżony. Dodają, że jest tam specjalne działo do ostrzeliwania samolotów francuskich, przelatujących nad okolicą.

Du Vigier zapisuje te szczegóły. Naogół zgadzają się one ze wszystkimi wiadomościami, które zdołał zebrać i z jego własnymi spostrzeżeniami. Okolica, stwierdza to osobiście przez lornetkę, jest całkowicie spokojna. Nie można mieć najmniejszej wątpliwości, że Niemcy porzucili myśl o dalszym odwrocie. O tem miał się upewnić. Zadanie jego jest skończone. Pozostało mu jeszcze złożyć o niem meldunek.

Po krótkiej rozmowie z młodymi ludźmi du Vigier wraca do koni. Teraz idzie o to, aby się jak najprędzej dostać do własnych pozycji. Najbezpieczniej będzie ruszyć w odwrotnym kierunku drogą, którą przybyli tutaj i jeszcze tego samego dnia dotrzeć do Noyon. Można przysiąc, że spotkana onegdaj brygada piechoty jest już w mieście. Zamiast przeprawać się przez Oise tym przeklętym brodem pod Pont-à-la-Fosse, patrol przejdzie po moście pod Noyon nazajutrz.

o świcie i jeszcze tego samego dnia będzie w sztabie armji generała Maunoury.

Po ustaleniu marszruty trzeba koniecznie, zanim rozpocznie się marsz, podkarmić i napoić szkapy. Nasi jeźdźcy ponownie przechodzą przez las bez przeszkód. Natykają się jedynie na rozdzierający serce widok biednej klaczy Charlet'a, leżącej w tem samem miejscu, gdzie ją zostawili. Ujrzawszy ich, podnosi z wysiłkiem głowę i rzyzcicha. Mijają ją ze ściśniętym sercem, nie wątpiąc, że niedługo jej trup będzie wskazywał miejsce najgłębszego zasięgu ich marszu na tyły nieprzyjacielskie.

Doszedłszy do skraju lasu, du Vigier zatrzymuje się. Nie ulega wątpliwości, że wartownik, któremu zabrano konia, narobił alarmu. Należy posuwać się z przezornością. Jak na zawołanie, szereg zagród włościańskich ciągnie się wzdłuż drogi, a tuż przy skraju lasu bawią się dzieci. Nie wychodząc z ukrycia, du Vigier przywołuje jedno z nich:

— Pst!... Malcze, czy są tam u was Niemcy?

— Och! Nie, proszę pana, niema ani jednego, może pan być pewny.

— Ślicznie! Skocz więc do karczmy, stojącej tam na skrzyżowaniu dróg, i przyprowadź jakąś dorosłą osobę, u którejbym mógł zasięgnąć potrzebnych mi wiadomości. A śpiesz się!

— Dobrze, proszę pana, przyprowadzę mamę.

I dumny z zaufania chłopak oddala się biegiem, a po pięciu minutach wraca z niewiastą, serdecznie wzruszoną niespodzianym widokiem. Czy zechcą ugościć kirasjerów z 9 pułku?... Czy dadzą im jeść i pić? Jakżeby mogło być inaczej! Są szczęśliwi, że mogą być użyteczni Francuzom po piętnastu dniach życia wśród żołdaków kajzera.

— Proszę uważać, panie oficerze; widzi pan ten dom ze stodołą, położony o 50 metrów stąd, oddalony nieco od drogi. Tam mieszkają moi przyjaciele. Proszę poczekać tutaj. Pobiegnę ich uprzedzić. Jeżeli pan zobaczy wrota od stodoły otwarte narozcież, proszę szybko wchodzić do środka, zamkniemy za wami bramę i będziecie całkiem bezpieczni. Ręczę za to.

Wspaniały ten program zostaje dosłownie wykonany. Co za przyjęcie! Wody i owsa dla koni w bród, ludzie raczą się dosyta jajami, chlebem, serem i gruszkami tak, że nabierają odwagi do dalszej drogi. Du Vigier już chce kielznać konie, bo zależy mu na tem, aby przed zapadnięciem nocy przebyć jak największy szmat drogi, kiedy nadchodzi gospodarz, sprowadzony przez dzieciaki, i koniecznie chce wypić z kirasjerami kieliszek wina. Trzeba wyciągnąć z piwniczki bu-

telkę, napełnić szklanki i wypić za zdrowie żołnierzy francuskich. Ale na tem jeszcze nie koniec.

Pocziwina, dowiedziawszy się o zmęczeniu koni, wykrzykuje:

— Niech pan zaczeka, panie poruczniku. Mam na pastwisku pół tuzina dobrych koni, nad którymi pieczę polecił mi jeden z mieszkańców Chauny. Czy chce pan, abym przyprowadził jednego lub dwa?

Du Vigier zgadza się, aby przyprowadził najlepszego dla Deschamps, którego koń jest bardziej od innych wyczerpany.

Trzeba czekać jeszcze pół godziny. Po upływie tego czasu gospodarz wraca z pustymi rękami. Nie mógł sam złapać żadnego z tych osławionych koni, uciekających przed nim galopem. Nalega, żeby kirasjerzy przyszli mu z pomocą. Ale oficer się nie zgadza. Dochodzi już trzecia po południu, a powrotna droga ledwo zaczęta, Dalej... do widzenia i na koń!

Przemykając się między sadami, patrol oddala się tą samą drogą, którą przybył. Okolica dookoła jest niezwykle spokojna. Widać za ledwie jedną kolumnę amunicyjną, dochodzącą do Viry drogą od Tergnier.

Oto znowu miejsce trudne do przebycia: droga do Bèthune. Po przekonaniu się, że jest wolna, du Vigier opuszcza zagłębienie, gdzie ukrył się ze swoimi zuchami, i klusem rusza przez pole, dzielące go od szosy. Przekleństwo! W połowie drogi dolatuje ich odgłos zbliżającego się samochodu. Za późno już, żeby zawracać. A zatem... galopem! Niech się dzieje, co chce! Przelatują przez drogę piekielnym biegiem w chwili, kiedy samochód wypada z zakrętu odległego o 100 metrów. Marsz, marsz! Rozlegają się strzały; pociski biją w ziemię pod kopytami koni... marsz, marsz!... Jeszcze 50 metrów, a będą uratowani... Cholera! Rów!... Hop! Cudem wszystkie konie przeskoczyły! I oddziałek wpada do lasu. Niemcy zaprzestają strzelaniny. Wszyscy są cali, ale przeprawa była gorąca!

800 metrów cwału wyczerpało konie doszczętnie. Należy im się choćby krótki odpoczynek. Jeszcze kwadrans stracony!

Wreszcie nasi jeźdźcy dosiadają znowu koni i stępem drogą, którą przebyli rano, zmierzają prosto do lasu Caumont w miłym przekonaniu, że nie mają się już czego obawiać, bo po okolicy, pozbawionej większych linii komunikacyjnych, prawdopodobnie nie krążą samochody nieprzyjacielskie. Można maszerować wprost na las.

Lecz w chwili gdy du Vigier dochodzi na wysokość drogi, prowadzącej z Ugny do LaRue-de-Caumont, ledwo ma czas skoczyć w krzaki, wzdłuż których się na szczęście posuwał. Na drodze, u sa-

meego skraju lasu, stoi samochód, obok niego zaś wartownik niemiecki z karabinem na ramieniu.

Gmatwa to bardzo położenie. Można być skłonny do przypuszczenia, że pierwsze przejście patrolu zostało zauważone i że idzie o zamknięcie mu drogi powrotnej. Cóż bowiem może robić samochód, stojący w szczerem polu w miejscu, na które dziś rano nasi kawalerzyści wyszli z lasu?

Może się uda przejść przez tę gęstwinę i obejść wartownika. Trzeba spróbować. Na nieszczęście jest taki gąszcz, gałęzie i korzenie drzew są tak poplątane, że po nadludzkich wysiłkach trzeba zaprzestać daremnych prób. Konie nie chcą iść dalej i napróżno jeźdźcy, zsiadłszy z nich, starają się utorować sobie drogę. Pół godziny zmarnowano na daremne wysiłki. Tem gorzej! Trzeba będzie raz jeszcze spróbować szczęścia i galopem sforsować drogę.

Trzeba jeszcze zmarnować dziesięć długich minut na wydobywanie się z gąszczy, w który zabrnęli. Wreszcie docierają do skraju lasu. Na koń! Czterej jeźdźcy, z ostrogami przy bokach swych rumaków, puszczają się ścieżką, którą przechodzili dziś rano. Droga przybliżyła się szybko i, co za niespodziewane szczęście, wartownik patrzy w stronę przeciwną. Uwagę jego budzi dopiero tętent galopady. Chwyta za broń, strzela, nie mierząc, i chybia. Po przebyciu drogi nasi galopem wpadają do lasu, ścigani kilku pociskami, gubiącymi się w listowiu. Uf! Jeszcze jedno wzruszenie za nimi.

Możeby było rozsądniej zmienić marszrutę? Du Vigier myśli naturalnie i o tem. Lecz jaką drogę wybrać? Żadna nie może być lepiej ukryta od wiodącej przez zalesione wzgórza nad brzegiem Oise, która dochodzi aż do Noyon. Zdaje się, że jedynym trudnym do przejścia punktem będzie droga z Ugny do Commenchon. Zje diabła, kto potrafi im przeszkodzić! wziąć i tę przeszkodę. Ach! Gdyby tylko konie były mniej zmęczone, o ileż wszystko byłoby łatwiejsze...

Tymczasem ledwo nasze chłopaki dały kilka kroków poza obręb lasu, spotyka ich gęsty ogień z odległości 800 do 900 metrów. Zawrócić i skoczyć zpowrotem w las, to dla kirasjerów jedna sekunda. Wyszli cało z pod gradu kul, przeżyli jeszcze jedną chwilę, pozbawioną uroku. Gdyby piechurzy niemieccy, doskonale ukryci, mieli dostatecznie dużo zimnej krwi, żeby dopuścić ich bliżej, z wszelkiem prawdopodobieństwem patrol skończyłby się w tem miejscu.

Droga powrotna jest odcięta, a obecność oddziału powszechnie wiadoma, co czynić?

O przebicciu się siłą marzyć nawet nie można. Trzeba więc obejść przeszkodę, choćby wypadło się pchać, do wszystkich djabłów, na północ. Na szczęście gąszcz tutaj nie jest tak nieprzebyty. Przejść można bez trudności. Wkrótce nasi tułacze spostrzegają błękit nieba poprzez drzewa. Oto skraj lasu!... Doskonale! Nowa przeszkoda!... Natykają się na pastwisko, otoczone starannie ogrodzeniem z potrójnego drutu kolczastego. A nożyc specjalnych niema pod ręką. Czy Charlet, który jest podkuwaczem, zdoła przeciąć drut obcęgami! Spróbujmy! Charlet zabiera się do dzieła z zapalem. Trzask! Jeden drut ulega, lecz przy rozprężaniu się drga, wydając przeraźliwy dźwięk. Nasi żołnierze nadstawiają ucha z bijącym sercem. Cisza. Teraz kolej na drugi drut, na trzeci. Droga stoi otworem!...

Patrol wjeżdża na pastwisko, przyczem Charlet jedzie, nie wypuszczając z rąk obcęgów. Czyżby znowu natknęli się na posterunek niemiecki? Trudno stwierdzić, bo nie można zdać sobie sprawy, skąd padły strzały. Przestrzeń między obu ogrodzeniami pastwiska wydaje się strasznie długa. Nareszcie są u drugiego końca. Charlet woltyżem zeskakuje z konia i trzema cięciami obcęgów otwiera drogę. Nuże teraz! Galopem!... Samochód chrapie po prawej stronie drogi z Ugny. Prędszej!... Trzeba przeskoczyć drogę nim maszyna wypadnie ze wsi. Cztery konie gnają, ile tchu w piersiach. Ale co za hałas robią konie na kamienistym grunciel... Pac! Pac! To strzelają piechury z posterunku na lewo... źle na szczęściel... Nareszcie! To już las nad brzegiem Oise i względny spokój pod rozłożystymi gałęziami i w gąszczu głębokim.

Bądź co bądź, marudzić nie wolno. Nadciąga wieczór, a na dobitkę gromadzą się ciemne chmury i zapowiadają ulewę. Lepiej unikać nocy pod gołym niebem i na słocie. Otóż dróżka, wiodąca prawdopodobnie na północny skraj lasu. Nasi jeźdźcy puszcza ją się nią jeden za drugim z nadzieją w sercach, że nie spotkają już żadnej przeszkody i że wkrótce będą mogli nieco odpocząć.

Ciemności zaległy już prawie zupełnie, gdy dochodzą do skraju. Niemniej jednak rozróżniają sympatyczną grupę zabudowań, stanowiących zapewne osiedle Hézettes. Żadnego światła, żadnego odgłosu. Postanawiają zaczekać, aż ciemność stanie się zupełna i wtedy zapukają do pierwszych lepszych drzwi... Każą sobie przyrządzić smacznutki omlecek... Ludzie i konie wyciągną się z rozkoszą na miękkim posłaniu ze słomy... jaki piękny sen! Przeżywają go na jawie wszyscy, licząc długie minuty.

Noc już zapadła. Nasi jeźdźcy wychodzą z ukrycia i przez pola zbliżają się do domostw, których domyślają się w ciemności. Zbliżają się, upajając się zgóry czekającymi ich rozkoszami. Aż nagle rozlega się chrapliwy okrzyk:

— Wer da!

Odpowiadają zrozpaczonem „Deutschland“ i rozsypują się galopem pod gradem kul w instynktownej ucieczce ku północy. W ten sposób dopadają zalesionego pagórka, zwanego „Buttes des Minimes“ i tam zatrzymują się z wściekłością w duszach.

Niemcy nie przestają strzelać, mimo że patrol jest już ukryty przed kulami. Obecnie potężny reflektor samochodowy przeszukuje teren we wszystkich kierunkach, wypatrując uciekających. Du Vigier ma wrażenie, że jest tropioną zwierzyną. Oto jest samotny w szczerem polu, w okolicy nieznanej, wśród nieprzebitych ciemności; jego nieprzyjaciele mają się na baczności; szukają go reflektorem, czyhają nań wszędzie na jego drodze, on zaś, odrzucony z osi swego marszu, nie ma innego sposobu przeciwdziałania temu, jak tylko... czekać.

Czekać... Deszcz leje teraz jak z cebra. Drżąc z zimna, z pustym żołądkiem, przemoczony do ostatniej nitki, młody oficer przeżywa chwilę strasznego upadku ducha. Naco się zdały wszystkie trudy, wszystkie wysiłki, wszystkie przebyte niebezpieczeństwa. Przeznaczeniem jego i jego ludzi jest paść pod kulami, tutaj czy gdzie indziej, albo zdechnąć z głodu i nędzy, ukrywając się dzień i noc przed nieustannym pościgiem. Warto było... istotnie...

Lecz raz jeszcze młodzieniec odpędza z pogardą te myśli przygnębiające. Jak śmie rozpaczać, kiedy nie słyszy słowa skargi, ani najmniejszego wyrzutu od tych trzech otaczających go zuchów, którzy są tak samo przemoczeni do szpiku kości, tak samo złamani zmęczeniem i tak samo gotowi na śmierć.

Nie, nie da za wygraną. Będzie się starał przed świtem dojść na przełaj do zalesionych wzgórz, które go doprowadzą do Noyon. Teraz to jest niemożliwe. Ciemna noc grozi powtórne natknięciem się na posterunek niemiecki lub pozabijaniem koni w jakimś rowie. Trzeba więc czekać, aż noc stanie się mniej czarna, aby wiedzieć, co się ma przed sobą i co pod nogami.

Czekać... czekać... i jeszcze czekać...

Deszcz pada bez przerwy.

Koło godziny pierwszej w nocy wreszcie przestaje. Błede światło księżycy spływa pomiędzy liśćmi. Nadeszła chwila odpowiednia do wyruszenia w drogę.

Du Vigier ma zamiar obejść osiedle Hézettes od wschodu, aby dobić do lasu, ciągnącego się na wzgórzach wzdłuż doliny rzeki Oise. Posuwa się tedy skrajem lasu Minimes w poszukiwaniu ścieżki, prowadzącej ku południowi. Przebywają tak kilkaset metrów nato, aby niespodzianie spotkać na drodze obrośnięty chaszczami głęboki rów. Daremnie krążą nad nim tam i sam w poszukiwaniu przejścia. Przeszkoda jest nie do przebycia i uparte dreptanie przed nią nie ma celu, zwłaszcza że w poszukiwaniach zbliżyli się do Hézettes, a pancerze — nieprzewidziane niebezpieczeństwo — błyszczą niepokojąco w świetle księżyca. Niech i tak będzie. Skoro przejście jest niemożliwe od wschodu, trzeba będzie spróbować od zachodu. Nasi czterej jeźdźcy ruszają w odwrotnym kierunku, przechodzą obok swej kryjówki i podążają skrajem lasu ku zachodowi. Brawo! Nareszcie są na właściwej drodze, bo kopyta końskie uderzają o twardy grunt, pocięty głębokimi koleinami; należy tylko trzymać się jej spokojnie... Gorzkie rozczarowanie! Droga kończy się nad dołami, gdzie mieszkańcy kopią piasek... Wtył zwrot!

Przed chwilą oficer spostrzegł po swej prawej ręce ścieżynkę, prowadzącą w głąb lasu. Trzeba ją wykorzystać; dokąś przecież musi prowadzić. Dochodzą do niej i du Vigier skręca na nią, a za nim jeden za drugim podążają jego ludzie. Lecz ścieżyna zwęża się coraz bardziej. Gałęzie i ciernie tną jeźdźców po twarzach i nagle kłacz porucznika odmawia dalszego posuwania się. Ścieżka gubi się w nieprzeniknionym gąszczu. Tego już nadto! Ludzie i konie padają ze zmęczenia. Za wszelką cenę trzeba zatrzymać się, gdziekolwiek, wyciągnąć, przespać... Wtył zwrot!... Jeszcze raz!

Wróciwszy do kopalni piasku, żołnierze przy świetle księżyca oglądają się za jakimś miejscem mniej więcej suchym, gdzieby można się położyć. Co za szczęście! Tuż pod bokiem stoi szopa, pokryta słomą, chroniącą od deszczu. Konie zostają przywiązane do pali, trzej żołnierze zaś kładą się, nie zdejmując nawet pancerzy. Zasypiają w okamgnieniu.

Porucznik przysiada obok nich. Usiłuje przez pewien czas zastanawiać się nad grozą swego położenia, układać nowe plany; lecz wkrótce zaczynają mu się myśli mącić i stopniowo zapada w nieświadomość, w spokój. Budzi go wesołe słońko. Jest godzina szósta. Potrząsa żywo swymi ludźmi. Spali tak przez trzy godziny, gdzie który padł... Nikt nie pomyślał, aby ich ścigać w tej szopie, leżącej na uboczu... Ach! Kochane słońko!... Całuje ich gorącymi już promieniami, suszy przemoczone bluzy i rajtuzy, pozwala krwi krążyć pod skórą, sztyw-

nym członkom przywraca gibkość. Spiochy wyciągają się, ze śmiechem patrzą na swe mundury zabłocone, na swe gęby poorane, brudne, porośłe szczecina. Do stu piorunów! Wygląd ich nie jest poważny, ani nie wzbudzają zaufania te zbójckie mordy!... Ale nie o to idzie, aby odgrywać rolę uwodzicieli. Trzeba umykać i to duchem.

Oficer podąża sam do najbliższego punktu obserwacyjnego i pilnie rozgląda się po okolicy. Na drogach ni śladu wojska. Gościńcem z Ugny do Guivry drepce sobie jakaś staruszcza, trzymając za rękę małą dziewczynkę. Trzeba zaryzykować. Na koń i w drogę.

Jakiś chłopiec kopie swój zagon. Zapytany, twierdzi, że w Guivry niema ani jednego Niemca i że patrol może iść bez obawy.

Byczo! Po przejściu przez Guivry będą już w lesie, a las to zbawienie. Patrol klusem wchodzi do wsi. Jej mieszkańcy, zaskoczeni, biorą go początkowo za oddział niemiecki. Wszystko ucieka; drzwi i okiennice zamykają się gwałtownie. Wkrótce jednak spostrzegają swój błąd. Rozlegają się okrzyki:

— Ależ to 9 pułk kirasjerów!

— Niech żyją kirasjerzy!

Tłum otacza jeźdźców, ludzie chcą ich zatrzymać, ugościć; starzy dopytują się o syna, który służy w 9 pułku. Nie można nadążyć z odpowiedziami na wszystkie pytania. Aczkolwiek wzruszony gorącym przyjęciem, du Vigier nie pozwala się zatrzymać. Trzeba przede wszystkim wymknąć się pościgowi i w tym celu dostać się do lasu.

Dzięki Bogu są już w lesie. Oś marszu odnaleziona i obecnie łatwo będzie utrzymać kierunek. Najbliższą trudnością do przewyciężenia będzie przeprawa przez Oisę. Wczoraj armaty grały mocno pod Noyon, lecz czy Francuzi zdobyli miasto? Mieszkańcy Guivry, wypytywani przed chwilą, zapewniali, że nie. Poco więc nadkładać daremnie tyle drogi, zamiast spróbować przedostać się brodem pod Pont-à-la-Fosse? Oficer postanawia zaryzykować to przejście i dojść do brodu, wykorzystując jak najdłużej przykrycie lasu.

Wychodzi zeń na północ od Mondescourt, blisko dużego folwarku Héronval. Szybki przegląd zabudowań i ich otoczenia daje wrażenie zupełnego spokoju. A przecież od trzeciej po południu dnia poprzedniego ani konie, ani ludzie nie widzieli strawy. Jest godzina ósma. Tłuc się dalej w tych warunkach byłoby szaleństwem. Może uda się zatrzymać tam na godzinę i pokrzepić siły.

Mieszkańcy folwarku podejmują kirasjerów w sposób wzruszający. Wszyscy krzątają się koło nich, każdy chce im pomóc, uprzemnić czas. Konie, wprowadzone do wspañalej stajni, zostają napo-

jone, opchane owsem, a podczas gdy jeden z wyrostków śpieszy do Mondescourt, do wieśniaka, u którego patrol spędził ostatnią noc, nowi gospodarze przyrządzają obfity posiłek.

Na wysokim kominku rozniecają wspaniały ogień. Po zdjęciu pancerzy, noszonych na grzbiecie przeszło od dwudziestu czterech godzin, czterej towarzysze zbliżają się do ogniska, przy którym ostаточно wysychają ich mundury. Ach! Jak dobrze! Jak słodko!

Zajadając w najlepsze, oficer wypytuje gospodarza. Jego odpowiedzi nie są, niestety, zbyt pocieszające:

— Noyon?... Oczywiście, jest ciągle w rękach niemieckich! Byłem tam wczoraj i wróciłem dopiero w nocy. W tym czasie most pod Varennes był jeszcze zajęty przez nich. Grają tam armaty, to prawda, lecz dalej, na południe i na zachód od Noyon.

Niewątpliwie pozostaje jedno tylko rozstrzygnięcie: przejście pod Pont-à-la-Fosse. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o stanie brodu od wójta z Mondescourt trzeba będzie starać się przejść tamtędy.

Zacne człeczysko nadchodzi właśnie, zadowolony, że swych przyjaciół kirasjerów spotyka całych i zdrowych. Lecz, usłyszawszy o projekcie oficera, protestuje energicznie:

— Broń was Boże od skierowania się w tamtą stronę. Przeszedł tamtędy po was drugi patrol kirasjerski i został spostrzeżony. Obecnie Niemcy postawili silny oddział piechoty na moście przez kanał. Przenigdy nie uda wam się przejść tą drogą...

Niema dwóch zdań, trudności rosną. Du Vigier zatroskany radzi się mapy. Utonąć tak blisko portu, byłoby rzeczą straszną. Ponieważ niemożliwe jest przebycie Oise pomiędzy Brétigny a Noyon, trzeba będzie obejść to miasto od północy i zachodu i szukać przejścia pod Pont-l'Évêque. Od rana huczą straszliwie armaty w tamtej stronie; może Francuzi zdobyli Noyon. W każdym razie jest to jedyna możliwość istniejąca, przyczem ocenić ją można tylko na miejscu. Trzeba ruszyć w drogę.

Ludzie i konie podjedli dosyta. Zabrano pełne owsiaki i każdy jeździec ładuje w juki bochen chleba, jako żelazną porcję. Na koń!

Po wyściskaniu wszystkich dłoni, po otrzymaniu zapewnienia, że po drogach, prócz tej, która biegnie doliną Oise, krążą jedynie drobne patrole konne i kolarskie, du Vigier rusza ze swymi ludźmi na Grandru. Przebywa je bez przeszkód i dochodzi do szczytu wzgórza pod Béhéricourt, skąd spostrzega, że toczy się wielka bitwa. Zewsząd

dochodzi huk armat, rozlega się strzelanina, gęste chmury dymu unoszą się woddali, w kierunku południowo-wschodnim.

Jakże straszna jest bitwa, której jest się świadkiem niewidocznym i biernym, patrzącym ze środka pozycij nieprzyjacielskich, bez możliwości zdania sobie sprawy z jej przebiegu, dobrego czy złego! Wiedziony niecierpliwością dowiedzenia się czegoś więcej, podporucznik postanawia dotrzeć do góry Siméon, wznoszącej się jak potężna strażnica na wschód od Noyon.

Dociera tam bez trudności, cudem prawie, gdyż znajduje się już w pasie walki. Tuż pod nogami widzi pionierów, manewrujących liną balonu obserwacyjnego, kołyszącego się nad jego głową. Widok ten wprawia go w zdumienie, gdyż spotyka go po raz pierwszy od czasu wybuchu wojny; uważa się za pierwszego Francuza, oglądającego ten nowy aparat obserwacyjny. W stronie lasu Carlepont bitwa szaleje. Niemożliwością jest śledzić jej przebieg, lecz jasne jest — że marzyć nie można o tem, by się tamtędy przedostać.

Na łąkach, leżących między Noyon a wzgórzem Renaud, stoją spieszone szwadrony. Droga z Chauny do Noyon nieprzerwaną procesją ciągną samochody. Pociąg amunicyjny posuwa się powoli torem kolejowym od Tergnier.

Ten widok nasuwa oficerowi pewną myśl. Dlaczego nie spróbować prześlizgnąć się aż do toru kolejowego i nie uszkodzić go zapo-
mocą posiadanych petard? Pokusa jest wielka. Niedaleko jest odpowiednie do tego miejsce: most kolejowy, przechodzący nad drogą z Salency do Morlincourt. Odrzuca jednak ten projekt. Powodzenie jego jest wątpliwe, a ryzyko zbyt wielkie. Otrzymane zadanie prze-
dewszystkiem.

Widok, roztaczający się przed jego oczyma, jest tak fantastyczny, że przykuwa wzrok du Vigier, który spostrzega z przerażeniem, iż jest już godzina trzecia po południu. Co postanowić, co robić? Przejście przez Pont-Évêque jest zamknięte, most zaś pod Varennes, nawet w razie pomyślnego dla nas przebiegu bitwy, na pewno dziś nie zostanie zdobyty. W tej niepewności postanawia udać się dla napojenia koni do samotnego folwarku, położonego opodal wsi. Tymczasem będzie miał czas się zastanowić i zasięgnąć wiadomości u mieszkańców.

W chwili gdy zamierza włożyć nogę w strzemię, spostrzega na dnie tymczasowego okopu wśród mnóstwa przedmiotów, pozostawio-
nych przez Anglików w czasie odwrotu, wspaniałą, zupełnie nowiu-

sienki płaszcz gumowy barwy khaki. Co za gratka. Przysłuży mu się wyśmienie, w razie gdyby deszcz uważał za swój obowiązek padać, a ponadto pozwoli ukryć te przekłète błyski pancerza, przyprowadzające go tylekrotnie o dreszcze. Zarazem przychodzi do głowy młodemu oficerowi pomysł, bez zwłoki wprowadzony w czyn. Worki, stanowiące część oporządzenia kirasjerów, mogą im oddać podobną usługę. Każe więc wydobyć je i jako tako wdziać na pancerze. Dziura na dnie na głowę, dziury z każdej strony na ramiona. Strój ten pozbawiony jest wytworności, nie pora jednak na grymasy, gdy gra idzie o całość skóry.

A teraz jazda do Grandru!

Ledwo mały oddział zdążył zrobić kilkaset metrów w tym kierunku, gdy oto widzi wieśniaka, biegnącego ku niemu z ostrzegawczymi znakami.

— Stójcie, stójcie! — krzyczy przytem.

Zbliżywszy się zaś do oficera, wyjaśnia, że w Grandru jest oddział, złożony z dziesięciu ułanów i licznych cyklistów: wysłani są w poscig za patrolem i starają się dowiedzieć, w jakim kierunku poszedł.

Du Vigier pojmuje, że byłoby rzeczą nierozsądną pozostawać w okolicy, gdzie obecność ich jest powszechnie wiadoma. Trzeba się zdecydować opuścić te strony. Niedawno na wzgórzu Bétéricourt powiedział mu jeden tubylec, że w stronie Lassigny-Thiescourt znajdują się już oddziały francuskie. Czyż nie najlepiej będzie przedostać się tam, obszedłszy Noyon od północy? Trzeba będzie wprowadzić nadrobić ze dwadzieścia kilometrów, lepszy jednak jest ten dodatkowy trud, niż dreptanie w miejscu w oczekiwaniu nadejścia zwycięskich oddziałów własnych z wielkiem prawdopodobieństwem, że się zostanie wziętym do niewoli lub zabitym.

Krętami drożynami góry Siméon oddala się od pola bitwy. Dzień ma się ku schyłkowi. Jest już prawie szósta wieczór, gdy czterej jeźdźcy dochodzą do lasu, obok drogi z Saint-Quentin do Noyon. Oficer posuwa się sam, aby rozpoznać drogę. Właśnie sunie w kierunku Noyon długa niemiecka kolumna taborowa. Aby przebyć szosę, trzeba doczekać się nocy, która zmniejszy ruch wozów. Z filozoficznym spokojem poddają się wszyscy tej konieczności i wykorzystują ją w celu nakarmienia siebie i podsypyania koniom połowy posiadanego owsa.

Zapadła już ciemna noc, turkot pojazdów nie ustaje. Co za zachwycający porządek! Niema żadnego krzyku, żadnego zamieszania, żad-

nego zatrzymania. Od czasu do czasu krótki rozkaz i to wszystko. Ciąg wozów przedłuża się w nieskończoność z doskonałą regularnością. Jasną rzeczą jest, że armja, ściągająca takie ilości środków zaopatrzenia, nie ma zamiaru cofać się. Jeszcze jeden dowód więcej na poparcie słuszności opinii du Vigier.

Aby dać swym ludziom chwilę snu, zarządza kolejkę wartowniczą. Każdy, nie wyłączając dowódcy, będzie czuwał na zmianę z obowiązkiem zbudzenia innych, skoro tylko ruch wozów ustanie.

O północy wozy jeszcze ciągle turkoczą. Nie warto ludzić się dłużej! Czekają ich jeszcze jedna noc pod gołym niebem. Zgoda i na to.

Deszcz nie pada... i naogół śpi się nienajgorzej w pancerzu, z grzbietem opartym o pień drzewa, pod niebem, rozjarzonym gwiazdami.

O świcie du Vigier budzi swój oddział. Dzień zapowiada się paskudnie, zerwał się bowiem wiatr i zaczyna mżyć zimny deszcz. Drobnostka! Trzeba się śpieszyć z przebyciem szosy, aby za wszelką cenę wydostać się z niebezpiecznego obszaru.

W tym celu du Vigier postanawia odnaleźć inne przejście w miejscu, gdzie las dochodzi prawie do samej szosy, w odległości czterech kilometrów bardziej na północ.

Poją tedy konie w kałuży, wysypują im resztę owsa, poczem zagłębiają się w las. Oryentować się w nim jest trudno, ponieważ mnóstwo ścieżek przecina się wzajemnie, jakby na złość, i oficer jest zmuszony posługiwać się busolą, aby móc poruszać się w tym labiryncie. Cudem trafia na właściwe miejsce. Poprzez jabłonie sadu, przylegającego do szosy, dostrzega jej białą wstęgę. Nikt nią nie maszeruje. Już nasi jeźdźcy ruszyli kłusem między dwoma szeregami jabłoni, aby do niej dojść, gdy dolatuje do ich uszu warkot płatowca, szubującego na nieznacnej wysokości. Ledwie zdążyli skoczyć z powrotem do lasu. Pilot przelatuje tuż nad wierzchołkami drzew, mija szosę i natychmiast gasi silnik. Musiał wylądować gdzieś niedaleko. Czyżby w pobliżu znajdowało się lotnisko?

Na wszelki wypadek oficer postanawia poczekać jakiś kwadrans w ukryciu. Nie słyhać żadnego podejrzanego odgłosu. A zatem — naprzód! Szosa zostaje przebyta kłusem, bez niemiłych spotkań, i patrol, dzięki kolejnym zasłonom z drzew, dochodzi skrycie do pierwszych domów wsi Crisolles.

Du Vigier zatrzymuje się niedaleko samotnego domostwa z postanowieniem zdobycia tam wiadomości i pożywienia, ale przedtem wysłał na prawo Charleta w celu obserwowania dużej fabryki, nie

wzbudzającej zbytńiego zaufania. Co zrobiwszy, puka do drzwi domu. Staje w nich kobieta, która na widok jeźdźców wpada w przerażenie:

— Na Boga! Co wy tu robicie, moi nieszczęśni przyjaciele? Wieś roi się od Niemców... Bierście, oto chleb, i uciekajcie co żywo, gdyż inaczej czeka was zguba!

W tej samej chwili nadjeżdża z pośpiechem Charlet:

— Panie poruczniku — krzyczy — cały tabor wozów stoi po drugiej stronie fabryki!

A podczas gdy oficer głowi się nad pytaniem, jak się wydostać z tej pułapki, spostrzega około trzydziestu jeźdźców niemieckich, wyjeżdżających z zabudowań fabrycznych. Zaledwie pięćset czy sześćset metrów dzieli oba oddziały. Du Vigier rzuca pośpiesznie trzymany w rękach chleb kirasjerowi Disseaux i rusza wyciągniętym kłusem drogą do osiedla Rimbercourt, ponieważ głęboki rów, na którego przeskoczenie byłoby szaleństwem się porywać, nie pozwala mu uciekać naprzelaj przez pola.

Lecz oddział nieprzyjacielski dostrzegł uciekających i puszcza się za nimi galopem. Konie naszych są tak zmęczone, że nie można marzyć, aby się udało ująć pościgowi.

Wszystko stracone. Pozostaje tylko mężnie zginąć.

Niel... Du Vigier odważa się na gruby kawał, który nawet w razie niepowodzenia nie pogorszy położenia. Droga przechodzi obok gęstego gajku, zasłaniającego uciekających przed ścigającymi. Doszedłszy do jej końca, oficer skręca w prawo, puszcza się galopem wzdłuż skraju i ponownym zwrotem w prawo wpada w gąszcz i tam się zatrzymuje. Lasek jest tak gęsty, że oficer nic nie widzi przed sobą, ale ze zrozumiałą ulgą słyszy ciężki galop Niemców, przebiegających wzdłuż gaju, chroniącego patrol, oraz oddalające się ich głosy. Są przekonani, iż ich łup uszedł w kierunku Guiscard. Głupota pewnych ludzi jest jednym z najważniejszych czynników powodzeń i klęsk wojennych. Lecz podczas gdy jeźdźcy nasi zaznali tylko dreszczu grozy i z pewnym trudem uspakajają rozedrgane serca, konie ich są wyczerpane śmiertelnie. Trzeba dać im kilka chwil wypoczynku, jeśli się chce, aby po tej galopadzie mogły jeszcze włóczyć nogami. Ponieważ ukrycie jest tak bezpieczne, dlaczego nie skorzystać z małego wypoczynku i nie przełknąć kawałka chleba? Bochenek, ofiarowany przez zającą niewiastę z Grisolles, stanowi cały ich zapas żywności. Disseaux, jak przystało prawemu wojakowi, nie uważał za stosowne rzucić

go w niebezpieczeństwie i wykonał cały galop z chlebem pod pachą. Po bratersku podzielony bochenek zostaje pożarty z apetytem, zwiększonym przez wzruszenie.

Nie można jednak siedzieć w tej kępie drzew w nieskończoność, lecz wprost przeciwnie, nawet trzeba wynosić się jak najprędzej z tej okolicy, niepokojonej przez oddziały niemieckie. Deszcz pada bez przerwy. Może psi czas ostudzi cokolwiek zapał i czujność nieprzyjaciela? Po kwadransie du Vigier daje znak do odmarszu i czterej kamraci, opuszczając swą kryjówkę, wolnym stępem wyjeżdżają na pełną drogę do Rimbercourt.

Pozorny spokój, otaczający ich chwilowo, trwał niezbyt długo. Po pięciominutowym zaledwie marszu w odległości 400 metrów na lewo, u stóp krzyża, górującego nad małą dolinką, którą się posuwają, spostrzegają dwóch jeźdźców niemieckich, trzymających konie w ręku. Jeden z nich, odziany w płaszcz koloru jasnoszarego, jest niewątpliwie oficerem lub podoficerem. Podniósłszy do oczu lornetkę, dokładnie, krok za krokiem, obserwuje posuwający się patrol. A żeby cię najjaśniejsza cholera! Co wyniknie w tego przeglądu. Zapewnie inni ułani schowani są za drzewami, otaczającymi krzyż; kto wie, czy nie jest to dowódca oddziału, któremu wymknęli się przed chwilą.

Wiedząc, że konie nie są już zdolne do żadnego wysiłku, du Vigier postanawia nadrabiać miną.

— Maszerować dalej zwykłym stępem — mówi do swych podkomendnych — z minami ludzi, będących u siebie... I niech się dzieje wola Boża!

Człowiek w szarym płaszczu nie spuszcza z oka garstki jeźdźców, przedstawiającej zaiste widok dość zagadkowy. Oficer w płaszczu barwy khaki, żołnierze w pancerzach, ukrytych pod workami, jedni w kaskach, drudzy w plugawych furażerkach, pokryci kurzem i błotem od stóp do głowy, to widok mogący zbić z pantalyku nawet zucha z twardą głową. Nasz obserwator wobec tych wątpliwości postanawia nie ruszać się z miejsca. Lecz łatwo odgadnąć, ile zdenerwowania, ile opanowanego wola wzruszenia kryło się pod beztroskłym wyglądem naszych czterech kirasjerów.

Dzięki swej postawie jednak zdołali wyjść cało z mnogich groźnych niebezpieczeństw. Tak więc drogą Noyon przelatuje samochód, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Potem pełny pluton kawalerji mija ich w odległości 500 metrów i najspokojniej wjeżdża na szosę. Nikt nie troszczy się o patrol, błakający się po bezdrożach.

Jeden po drugim znikają wszyscy ci niepożądani świadkowie. Du Vigier przechodzi przez Rimbercourt bez przygody. Obecnie wypada mu ruszyć w kierunku Lassigny.

Wszedł już do wsi Minancourt, gdy podchodzi doń jakiś wieśniak, wołając:

— Panie poruczniku, panie poruczniku!

— Okazuje się, że pod tem przebraniem kryje się podoficer 8 pułku huzarów. Wysłany na patrol poprzedniego dnia z dwoma ludźmi, stracił jednego z nich. Ponieważ zarówno jego koń, jak i wierzchowiec pozostałego przy życiu żołnierza zostały ciężko ranne w spotkaniu z patrolem niemieckim, schronili się obaj u jednego z mieszkańców wioski, ten zaś dostarczył im cywilnych ubrań. U niego też ukrywali się w oczekiwaniu sposobności połączenia się z pułkiem. Podoficer ten zwracał baczną uwagę na wszystko, co działo się dookoła i gorąco doradza oficerowi, aby unikał kierunku na Bussy i na Sermaize, gdzie krążą gęste patrole. Przypuszcza natomiast, iż bardziej na północ okolica jest mniej strzeżona.

Po otrzymaniu tak dokładnych wiadomości du Vigier postanawia zboczyć jeszcze bardziej, by przejść przez Fretoy i Beaulieu. Postanowienie było rozumne, gdyż aż do ostatniej wsi, do której dotarł o g. 2 min. 30, nie miał żadnego nie milego spotkania. Raz tylko dostrzegł zdaleka w kierunku południowym silny patrol, który jednak przeszedł bez zwrócenia na niego uwagi.

Deszcz leje i leje nieprzerwanie. Ani nieprzemakalny płaszcz, ani worki nie mogą przed nim osłonić ludzi, woda ścieka więc im niemiłosiennie po plecach i udach. Zachodzi znowu konieczność zatrzymania się choć na godzinę w jakimś schronieniu, aby nakarmić i napoić biedne szkapy, bo ledwie już powłóczą nogami, umierając ze znużenia.

Zapukawszy do drzwi pewnego domu w Ecuville, leżącego na ustroniu, znajduje nasz oficer najserdeczniejszą gościnę. Podczas gdy konie pozerają owies, a ludzie jego i on zjadają smacznie, ogrzewając się przy przytulnym kominku, gospodarz udziela im niezwykle ważnych wiadomości.

Poprzedniego dnia miał na kwaterze oficera niemieckiego, który nadęty pychą przez cały czas miażdżył swego gospodarza opowiadaniem o bohaterstwie wojska cesarskiego. Wyznał wprawdzie, że prawe skrzydło spotkało się z małym niepowodzeniem, ale to nie odgrywa żadnej roli. Jego dywizja pobiła Francuzów na głowę w okolicy Luneville, została jednak ściągnięta tutaj, nie ulega przeto wąt-

pliwości, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin Compiègne zostanie zaatakowane i zdobyte.

Du Vigier skrętnie zapisuje te cenne wywody, tem ważniejsze, że potwierdzone przez drugiego człowieka, mianowicie przez sekretarza gminy, który nadbiegł, dowiedziawszy się o obecności we wsi oficera francuskiego. Dzielny człowiek zapamiętał numery wszystkich oddziałów niemieckich, jakie przemaszerowały w stronę Noyon w ciągu dnia 15. Wręcza nawet podporucznikowi „soldbuch“, zgubiony przez jednego z żołnierzy z pułku ze składu dywizji kawalerji, stwierdzonej na froncie lotaryńskim. Wiadomości owe mają pierwszorzędną doniosłość i potwierdzają zdanie Vigier: Niemcy są zdecydowani nie cofać się już więcej. Trzeba się śpieszyć, aby podać całość zebranych szczegółów dowództwu francuskiemu.

W celu wybrania drogi rozpytuje obu włościan o okolicę między Écuvilly a Lassigny. Według ich zdania krążą po niej we wszystkich kierunkach patrole kawalerji i samochody wojskowe. Należy się mieć na baczności, zwłaszcza przy młynie, stojącym na skrzyżowaniu szosy z Roye z drogą, wiodącą z Écuvilly do Candor. Niemcy umieścili w nim skład amunicji, strzeżony przez posterunek piechoty. Wogóle gra staje się coraz trudniejsza, lecz du Vigier ma nadzieję wygrania jej, jeśli tylko szczęście będzie mu nadal tak sprzyjało, jak dzisiejszego ranka.

Wyrusza w drogę o g. 4 w ulewny deszcz i obchodzi Candor od zachodu. Lichemi drogami dociera w godzinę potem do osiedla Potière. Wygląda ono jak wymarłe, wszystkie okna i drzwi są pozamykane. Mniejsza o to! Lassigny jest odległe zaledwie o pięć kilometrów... może już bliski jest kres wędrówki? Oddziałek wkracza właśnie na drogę do Lassigny, gdy do uszu du Vigier dochodzi wołanie jakiegoś wieśniaka. Spostrzegłszy przez uchylone okiennice mundur francuski, biegnie za oficerem, aby go przestrzec przed tym kierunkiem. Jego zdaniem, Lassigny jest zajęte przez Niemców. Po przedniego dnia toczyła się tam bitwa, w której Francuzi zostali odparci. Nadto przed kwadransiem niespełna przeszedł przez Potière pluton ułanów, zdążający do tej właśnie miejscowości.

Teraz porucznik traci wszelkie złudzenia i rozumie, że musi szukać drogi bardziej na północ, aby obejść prawe skrzydło niemieckie. Nie upadając na duchu, postanawia uporać się z tem nowem przeciwnieństwem losu i z dobrą miną rusza ku północy w stronę Fresnières.

Doszedłszy do tej wsi, skręca na lewo i wybiera drogę do Cany-sur-Matz. Lecz i tutaj zatrzymuje go jakiś włościanin.

— Niech pan tam nie jedzie, panie poruczniku. Powracam z Canny, które jest zawałone artylerją niemiecką.

Jeszcze jedno przejście zamknęte! Pójdzie więc jeszcze bardziej na północ. Trzeba za wszelką cenę obejść prawe skrzydło niemieckiej armji, koło którego — czuje to wyraźnie — krąży dziś od samego rana.

Noc zapada gwałtownie. Deszcz leje jak z cebra.

W pół godziny potem dociera do wioski Crapeaumesnil. Tam konie, mimo najenergiczniejszego popędzania, odmawiają posłuszeństwa. Nie można zresztą nalegać zbytnio, trzeba bowiem dać biednym zwierzętom w nocy odpocząć, jeśli się chce, aby mogły maszerować jutro. Należy zatem zatrzymać się w Crapeaumesnil, a wyruszyć w dalszą drogę nazajutrz o świcie.

Wójt we własnej osobie podejmuje niezwykle serdecznie i otacza najtroskliwszą opieką naszych ludzi, uznojonych i przemoczonych do ostatniej nitki. Dzięki niemu konie znajdują książęce pomieszczenie. Pomaga nadto porucznikowi w zrobieniu ukrytego wyjścia, które w razie alarmu możnaby się niepostrzeżenie wymknąć, wkońcu każe przygotować wysmienity posiłek i ogrzać izbę przytulnym ogniem.

W rozmowie przy kominku du Vigier dowiaduje się ze zdumieniem, że jego pułk kirasjerów kwaterował w Crapeaumesnil przed trzema dniami. Co się z nim stało? Na to pytanie wójt nie umie odpowiedzieć, lecz może służyć dowodem, że pułk istotnie przechodził przez tę wieś. Zostawiono mianowicie u niego klacz, która, dostawszy kolek, nie była zdolna do dalszego marszu. Obecnie jest już całkiem zdrowa.

Czyż można wobec tego faktu nie wierzyć w opatrność boską? Du Vigier śpieszy natychmiast, aby zobaczyć kobyłkę, i stwierdza, iż jest w doskonałej kondycji. Zastąpi więc wierzchowca kirasjera Deschamps, wyczerpanego ostatecznie. Będą zatem mogli przebyć jutro poważny etap, albowiem wierzchówka porucznika, klacz pełnej krwi, ustanie chyba tylko poto, żeby umrzeć, kirasjer Disseaux zaś dosiada sześciolatniego normanda, nazywającego się „Jabin“, olbrzymie twardego jak żelazo, obdarzonego niewyczerpaną energją. Wytrzyma on i tę próbę.

Co do kirasjera Charlet, jest on zachwycony konikiem, zabranym wczoraj wartownikowi niemieckiemu. Kształtem i animuszem przy-

pomina pocziwe szkapki z okolic Corlay. Być może nawet, iż to pochodzenie tłumaczy jego łatwą dezercję.

Ogrzani i najedzeni nasi czterej jeźdźcy układają się z bronią pod ręką obok swych rumaków na miękkim pośłaniu ze słomy, aby na tychmiast zapaść w kamienny sen.

Zacny wójt osobiście budzi ich ze snu o godzinie piątej rano. Du Vigier i jego ludzie przespali jednym ciągiem sześć godzin. Konie zaś mają za sobą 9 godzin postoju w stajni. Ostatecznie oddziałek wygląda, jak wykąpany w źródle młodości. Gotów jest do poniesienia wszelkich trudów.

Na podstawie wiadomości, otrzymanych od wójta, postanawia wyjechać na szosę z Roye do Compiègne, jakoby najmniej niebezpieczną. Rażnym rankiem zuchowato kłusują nasze junaki i przez Beuvraignes docierają do szosy. Puszczają się nią bez zwłoki i bez przeszkód zmierzają ku Compiègne. Nikogo w Tilloloy. Nikogo w Conchy-les-Pots.

W tej ostatniej wiosce zatrzymuje ich wieśniak, którego syn służy w dziewiątym pułku kirasjerów. Mowy być nie może, aby oficer i żołnierze tego pułku przeszli obok jego domu bez zatrzymania się i wypicia szklanki gorącej kawy. Du Vigier nie ma serca, aby odmówić tej przyjemności. Zresztą okolica jest najzupełniej spokojna, a na wypicie szklanki kawy nie trzeba znowu tak wiele czasu. Gdy po przyjęciu zaproszenia, zabiera się do odjazdu, gospodarz chce jeszcze go przytrzymać.

— Panie poruczniku, nie odjedzie pan chyba, nie trąciwszy się ze mną kieliszkiem. Mam butelczynę starego konjaku, ukrytą w chróście. Zobaczysz pan, że warta grzechu...

— Nie, niemożliwe. Straciłem już za wiele czasu. Czyż pan chce, żeby nadszedł jakiś patrol niemiecki i wyrębał mi moje konie?

Ależ tu niema Niemców!... Najbliżsi są w Lassigny i w Ressons o dwadzieścia do piętnastu kilometrów stąd...

Lecz du Vigier nie chce o niczem słyszeć. Wydzierając się serdecznościom mieszkańców dosiada konia i odjeżdża.

Lecz w chwili, gdy wchodzi na brukowaną ulicę, prowadzącą do południowego wyjścia ze wsi, widzi nagle, jak mieszkańcy uciekają i chronią się do domów, zamykając drzwi i okiennicę. W mgnieniu oka ulica jest pusta. Prawie jednocześnie z poza pierwszego zakrętu drogi ukazują się dwaj jeźdźcy z lancami na udzie. Na głowie kołpaki, mundury „feldgrau“... niema wątpliwości: to huzarzy niemieccy.

W takich chwilach decyzja dowódcy musi być błyskawiczna. Du Vigier nie waha się ni sekundy. Wściekłość zalewa mu serce jak powódź. Jakto! Właśnie, gdy po przewycięzeniu tylu trudności dobiega prawie do portu, ośmielają się zamknąć mu drogę jemu, kirasjerowi francuskiemu, te przekłete karły huzarskie, których sława polega przeważnie na okrucieństwach i rabunku. Nie! Do kroćset! Nie!...

Szabla wyrwana z pochwy błysnęła w jego garści. Ożywieni prawdopodobnie podobnem uczuciem, jego ludzie jednocześnie z nim, obnażyli szable i samoczwart ruszają wyciągniętym klusem po bruku ulicy.

Huzarzy zawahali się przez chwilę na widok dziwacznych jeźdźców, lecz na błysk obnażonych szabel robią wtył zwrot i uykają co sił w koniach. Du Vigier galopem rzuca się za nimi w pościg. Dopadłszy do szczytu wzniesienia ulicy, dostrzega cały pluton, pojący konie w sadzawce. Ani przez chwilę kirasjerzy nie myślą o uniknięciu spotkania. Przeciwnie, przyspieszają bieg i potrząsając szabliskami, ryczą jak opętani.

Sto metrów zaledwie dzieli ich od plutonu. Widzą wyraźne wahanie w jego szeregach. Słyszą, jak oficer coś krzyczy, jak na chybił trafił strzela z rewolweru, przed siebie. Potem nagle całe towarzystwo pokazuje im końskie zady i oficer wraz z bandą huzarów bezładnie wieje z donośnym stukotem kopyt po bruku.

Homeryczny śmiech wstrząsa Francuzami. Ach! tchórze. Ponieważ dają drapaką, trzeba im podeptać po piętach i to mocno! Bodą więc ostrogami swe konie, które, jakby rozumiejąc o co chodzi, cwałują całą siłą. Bardzo szybko zbliżają się do uciekających. Już siedzą im na karkach. Du Vigier chwytą za rewolwer i wali w kupę. Jeden huzar pada na ziemię wraz z koniem. Teraz Francuzi i Niemcy, zmieszani w jedną gromadę, galopują drogą, co pary w koniach. Du Vigier gna, pędzony jednym pragnieniem: dopaść oficera niemieckiego, uykającego obecnie na czele. Razami pałasza toruje sobie drogę, podczas gdy jego ludzie sztychami rażą grzbiety, znajdujące się w odległości brzeszczota.

„Fastidieuse“ dokazuje cudów. Szlachetne zwierzę zapomniało o wszystkich trudach w ochocie zdobycia pierwszego miejsca. Du Vigier odmierza już przestrzeń, dzielącą go od porucznika, małego, mizernego, żółtego człowieka. Teraz jest we właściwej odległości do dobrego pchnięcia w krzyż. Nagle świat się zapada! Klacz potknęła się na wszystkie cztery nogi i padła na ziemię. Nad głową swą, osło-

nioną ramieniem, oficer widzi przelatującą chmurę podków i końskich brzuchów. Potem dźwiga się z trudem. Kolano ma boleśnie zranione.

Jeden tylko Deschamps spostrzegł upadek oficera. Chce śpieszyć mu z pomocą, nie może jednak zatrzymać swego nowego konia, który widocznie uważa za rzecz niegodną opuszczenie towarzyszków w takich warunkach. Wkońcu udaje się jeźdźcowi opanować rumaka, powraca więc galopem.

Charlet i Disseaux, wmieszani w pluton niemiecki, rąbią i kłują na prawo i na lewo. Dopadłszy do rozstaju drogi, część huzarów wtłacza się na drogę do Laberlière, część zaś wali w kierunku Biermont. Doskonale! Nasi rębacze rozdzielają się również. Charlet na swoją rękę. Disseaux na swoją obrabiają swe ofiary potężnymi razami szabel, aż zdziwieni osamotnieniem, nie widząc swego oficera, zatrzymują konie i wracają do Conchy-les-Pots.

Podczas tego du Vigier musiał stawić czoło innemu niebezpieczeństwu. Ledwo się podniósł, spostrzega, że jego klacz uczyniła to samo, lecz, nie czekając na pana, dzielne zwierzę uznało za swój obowiązek ruszyć do dalszego pościgu. Znajduje się tedy sam, z szablą w dłoni i z wystrzelanym rewolwerem, twarzą w twarz z huzarem, którego powalił z koniem. Niemiec zbliża się do niego groźny z karabinem w łapach.

Doszedłszy na odległość dziesięciu, kroków, skada się. Oficerowi nie pozostaje nic innego, jak rzucić się do rowu i szukać schronienia za pniem platana. Pada strzał. I kula trafia w pień. Podczas gdy Niemiec repetuje karabin, oficer skokiem chowa się za następnym drzewem w kierunku Conchy. Huzar już gotuje się do drugiego strzału, gdy słyszy za sobą tętent konia. Deschamps'a. Wyrzeka się natychmiast rozgrywki, skacze na pole i ucieka, ścigany przez kirasjera.

Ale mimo to du Vigier zdaje sobie sprawę, że położenie jego bynajmniej nie jest różowe. Nie można spodziewać się, żeby Niemcy, choćby byli największymi tchórzami, ulegli podobnej klęsce.

Oficer zwłaszcza nie będzie mógł z honorem stanąć przed swym dowódcą po takim popłochu. Należy się spodziewać ich powrotu w poszukiwaniu odwetu. Tymczasem jest bez konia i prawie bezbronny. Przedewszystkiem przeto należy dotrzeć do wsi i ukryć się. A potem... zobaczymy!

W drodze do Conchy dopędzają go Disseaux i Charlet.

— Uciekajcie — nie czekajcie na mnie... Schowajcie się we wsi, u mieszkańców... Czekajcie mych rozkazów!

Taki sam rozkaz daje kirasjerowi Deschamps, z chwilą gdy i ten zrównał się z nim. Wszyscy trzej znikają. Mimo rany w kolanie du Vigier pędzi co sił. Dobiegłszy do wioski, wpada w pierwsze otwarte drzwi i zamyka je za sobą.

Pocziwa wieśniaczka, która go przyjmuje, nie potrzebuje długich tłumaczeń, aby zrozumieć jego smutne położenie. Z pomocą syna prowadzi oficera do szopy, zawalonej zapasem chróstu, odrzuca kilka wiązek i oficer chowa się w kryjówce, w ten sposób zrobionej. Gospodarze przykrywają go zpowrotem i w ten dość niemiłym położeniu z niepokojem oczekuje dalszego losu.

Po kwadransie postanawia wyjść ze swego ukrycia. Nie może wysiedzieć dłużej zdala od swych ludzi, którzy ze swej strony muszą przeżywać podobną rozterkę. Niesposób jednak kręcić się w mundurze po wsi, gdzie lada chwila mogą zawitać wrogowie. Pożycza tedy odzież chłopską od syna gospodyni domu i przebierając się, rozmyśla co należy zrobić, aby się wydostać z pułapki.

Oczywiście, mógłby wziąć konia jednego ze swych żołnierzy. Nie może się zgodzić na porzucenie w tak tragicznych okolicznościach jednego z tych zuchów, co od pięciu dni dzieli wszystkie jego niebezpieczeństwa, wszystkie niedole.

Gdy wreszcie widzi siebie w przebraniu robotnika rolnego i czuje się znakomicie w szerokich spodniach i połatanej kamizeli, przychodzi mu do głowy świetna myśl. Czyż nie jest rzeczą zasadniczą przedostać się do Compiègne, zajętego, jak mu mówiono niedawno, ciągle jeszcze przez Francuzów. Wszystko jedno w jaki sposób. Piętnaście kilometrów pozostaje tylko do przebycia, a niema powodu, zabraniającego przejść je pieszo. Przeciwnie, nawet jest to sposób najbezpieczniejszy. Przebierze więc i swoich towarzyszków w cywilne ubrania i pójdą pieszo, podzieleni na dwie grupy po dwóch, w odstępach kwadransa.

Powziąwszy to postanowienie, du Vigier zwija części swego munduru i chowa je w głębi ogrodu, aby nie narażać na przykrości zacnej i gościnnej gospodyni, poczem udaje się na poszukiwanie swoich żołnierzy.

Z pomocą mieszkańców szybko odnalazł ich kryjówki. Wszystkim daje ten sam rozkaz. Przebrać się za wieśniaków, ukryć mundury, podjąć sobie dobrze i w południe odmarsz. Następnie, dla większego bezpieczeństwa, udaje się do kancelarii gminnej i sam podrabia wspa-
niałe paszporty, zdobiąc je licznymi pieczęciami. Spotkawszy przed gminą włościanina, udającego się na rowerze do Onvillers, poleca

mu, żeby wszystkie patrole francuskie, przypadkowo na drodze napotkane, zawiadomił o jego pobycie w Conchy. Nakoniec wraca do swej gospodyni, oczekującej ze smacznym obiadem.

Spożywszy go z apetytem, du Vigier popija najspokojniej gorącą kawę, aby nabrać sił do drogi, gdy wtem wielki zgłęb powstaje na ulicy, ludzie rozbiegają się pośpiesznie, słysząc tupot kopyt, aż wreszcie jakiś wyrostek przez otwarte raptownie drzwi krzyczy:

— Idą! Idą!...

Niewątpliwie nadciąga oczekiwany pluton niemiecki. Czy będą przeszukiwali domy. Na wszelki wypadek porucznik postanawia nie ruszać się z miejsca przy stole, starając się mieć minę niewinnego rolnika, kończącego swój posiłek, lecz przytem nie bez pewnego niepokoju śledzi ukradkiem, co się dzieje na ulicy.

Nagle przez szybę widzi przejeżdżającego kawalerzystę. Wiwat! Poznał czako i błękitną bluzę huzara francuskiego. Jednym susem wyskakuje na ulicę i wypytuje kaprała prowadzącego szpicę. Służy on w 8 pułku huzarów. Jego pluton, dowodzony przez porucznika de Reviers, wysłany został na patrol i znajduje się opodal. Chwała Bogu! Nareszcie! Zbawienie! Dać się poznać koledze huzarowi, powrócić duchem do chaty, aby się samemu przebrać w mundur i kazać przebrać się swym trzem wiernym towarzyszom, jest dziełem kwadransa. Aby nie spieszać żadnego ze swych ludzi, du Vigier pożycza rower i — z jakim zadowoleniem! — rusza drogą do Biermont.

W godzinę później, dosiadłszy dostarczonego mu, zdobycznego niemieckiego konia, podporucznik du Vigier mógł stawić się przed generałem de Lastours, dowódcą 3 dywizji kawalerji, który go obsypał gorącymi pochwałami. O godzinie trzeciej mknął w samochodzie VI armji do Croutoy, gdzie się znajdował posterunek dowództwa armji generała Maunoury.

Bezzwłocznie przyjęty przez szefa sztabu, zapoznał go ze wszystkimi swojemi spostrzeżeniami i podał do jego wiadomości wszystkie zauważone szczegóły. Tam również nie szczędzono mu komplementów. Szef sztabu prosił go nawet, aby natychmiast usiadł przy stole i napisał dokładny raport o wszystkim, co widział i słyszał.

Powierzone mu zadanie zostało wykonane w całości, wśród straszliwych trudności, a wiadomości, przezeń przyniesione, miały, zdaniem sztabu VI armji, znaczenie decydujące.

Przekonały one Naczelne Dowództwo, że:

po pierwsze — Niemcy przestali się cofać i przygotowują się do długiej obrony.

Po drugie — nowa armja została sformowana na północ od Oise.

Po trzecie — składają ją oddziały, przetransportowane ze wschodu.

Te pięć dni patrolowania na tyłach nieprzyjacielskich są nietylko tytułem do sławy dla oficera i jego druhów, lecz mogą służyć za wzór wszystkim, którzy w przyszłości mogą być powołani do wykonania podobnych zadań, oraz tym, którym wypadnie zadania te dawać. Pierwszym pokażą one, co mogą zdziałać wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw energja, wola, wiara w powodzenie i pogoda ducha dowódcy oddziału kawalerji. Dla drugich będą dowodem, że jedynie kawalerzyści mogą dokonać czynów tego rodzaju. Niech przejdą w myśli od pierwszego do ostatniego dnia wszystkie etapy patrolu podporucznika du Vigier; niech pomyślą o tysiącnych niebezpieczeństwach, które musiał przezwyciężyć, mimo niesprzyjającej pogody, mimo zasadzek nań czyhających, mimo olbrzymiej przeszkody, jaką była rzeka, wezbrana wskutek deszczów, o wszystkich mostach zerwanych lub pilnie strzeżonych. Zobaczą wówczas, że nic i nikt na świecie nie może zastąpić dobrych kawalerzystów, siedzących na dobrych koniach i dowodzonych przez dobrego oficera kawalerji.

Opowiadanie to nie byłoby zupełne i sprawiłoby zawód czytelnikom, gdybyśmy go nie uzupełnili choć kilku słowy o dalszych losach, tragicznie opuszczonych uczestników patrolu, a więc plutonowego Lebas, kaprała Couturier, a wkońcu kirasjerów Dumaine i Desprez.

Oto w porządku chronologicznym, w jakim byli zmuszeni do porzucenia patrolu, odyseja tych mężnych ludzi, którzy, jak się to okaże, wykazali ten sam hart duszy, tę samą energję, co ich koledzy, towarzysząc do końca swemu oficerowi.

Kapral Couturier, gdy jego klacz śmiertelnie ranna padła w małym lasku na płaskowzgórzu Nampcel, zdołał ukryć się w stosie suchych gałęzi. Wieczorem wyczołgał się ze swej kryjówki i przyczał w rowie przydrożnym, biegnącym wzdłuż lasu. Nadjeżdża cyklista niemiecki. Kapral powala go kolbą karabina, dosiada jego maszyny i, kierując się na odgłos strzałów, umyka, pedałując zawzięcie. Przebywa puste płaskowzgórze i z kolei wpada sam w zasadzkę, zastawioną na tej drodze przez piechurów francuskich.

Dawszy się poznać i opowiedziawszy swe przygody, kapral Couturier został skierowany do Ambleny, gdzie przez kilka dni czekał na powrót swych towarzyszków. Wkońcu przyłączył się do patrolu porucznika Fourrier z 4 pułku kirasjerów i z nim dotarł do swego pułku pod Arras 2 października 1914 r. W kilka dni później został mianowany plutonowym.

Kirasjer Desprez, jeden z najlepszych wywiadowców w plutonie, stał się również ofiarą upadku swego konia, zabitego pod lasem Montagne w chwili, kiedy patrol harcownikami przedzierał się przez linję niemieckiej tyraljery. Ogłuszony upadkiem, został wzięty do niewoli i przebył w obozie jeńców do 1918 roku.

Plutonowego Lebas, jak zapewne czytelnicy pamiętają, pozostawiono rannego w udo i polecono opiece właścicielki folwarku Belle Fontaine. W towarzystwie jednego chłopaka udała się ona istotnie do lasu z zamiarem odszukania nieszczęśliwca. W drodze jednak została przyaresztowana przez patrol niemiecki. Poinformowani przez nią Niemcy zabrali podoficera, który mimo swej strasznej rany zdołał się doczołgać do skraju lasu. Zanieśli go do Belle Fontaine, gdzie mu założyli tymczasowy opatrunek.

W połowie września Francuzi opanowali polanę, gdzie się znajdował folwark la Belle Fontaine i Lebas mógł zdać sprawę z tego, co widział, jednemu oficerowi. Potem umieszczono go w ambulansie, znajdującym się w sąsiedztwie Caisne, gdzie mu nogę usztywniono w odpowiednim aparacie. Przez dwa dni oczekiwał tam na odstawienie na tyły. To opóźnienie miało dlań fatalne następstwa. Przeciwwuderzenie niemieckie dotarło 18 września do Caisne. Unieruchomiony w łóżku, nie mógł marzyć nawet o wycofaniu się ze swoimi. Ze śmiercią w duszy został odesłany do Niemiec wraz z 200 innymi rannymi Francuzami. Dopiero w październiku 1918 r. doczekał się wolności przy wymianie jeńców.

Kirasjer Dumaine, pozostawiony u brodu pod Pont-à-la-Fosse, wraz ze swą kobyłą nawpół utopioną w błocie, w towarzystwie pontoniera niemieckiego, wziętego do niewoli, dał świetny przykład, czego może dokonać osamotniony żołnierz, zawzięty w pełnieniu swego obowiązku. Po daremnem oczekiwaniu nadejścia oddziałów francuskich, w przebraniu chłopskiem i przy pomocy wójta wsi Brétigny, dzielny chłopak postanowił wyruszyć na ich spotkanie. Puściwszy na wolność swego jeńca, powędrował ku południowi. Prędko spostrzegł, jakie czekają go trudności. Im bardziej bowiem zbliżał się do linji bojowej, tem więcej spotykał oddziałów niemieckich.

kich. Niemożliwością było prześlizgnąć się przez oczka sieci tak szczelnej. Aby uniknąć niewoli, trzymał się zdala od miejscowości zamieszkaných, kryjąc się po lasach i kamieniołomach. W czasie tej tułaczki spotkał kilku żołnierzy angielskich, krążących wytrwale na tyłach pozycji niemieckich od końca sierpnia. Przez pewien czas dzielił ich losy. Największa zgoda i jednomyślność panowały wśród tej garstki mężnych, godzących się raczej na wszystkie niebezpieczeństwa, niż na niewolę. Trudności w zaopatrywaniu się w pożywienie zmusiły ich do rozstania się.

Przez kilka tygodni pewna dzielna niewiasta z Saint-Aubin troszczyła się o wyżywienie Dumain'a. Co noc przynosiła mu ilość pożywienia, niezbędną do uniknięcia głodowej śmierci. Kirasjer, jak zwierzyzna tropiona przez myśliwego, ukrywał się w norach w okolicy Sélens. Każdej nocy po otrzymaniu swej skąpej racji uparcie szukał przejścia między posterunkami niemieckimi. Daremnie!

Aż wreszcie w ponurą jesienną noc zamiast zacnej wieśniaczki stał się na miejscu umówionem patrol niemiecki. Złapano go zanim spostrzegł, co się dzieje.

Co zaszło? Czy biedna kobieta ulękła się grózb niemieckich, czy została wydana przez jakiegoś rodaka bez skrupułów, który chciał się przypodobać wrogom? Któż odgadnie? Podziwiamy zatem jedynie siłę ducha tego normandzkiego zucha, co, nie chcąc się poddać, zgadzał się raczej na życie dzikiego zwierzęcia wraz ze wszystkimi trudami i niedostatkiem, niż na nędzę obozu koncentracyjnego. Nie było mu dane ujrzeć kraj rodzinny przed listopadem 1918 r. Dożył przynajmniej tej pociechy, że spełnił swój obowiązek do końca, aż do dnia zwycięstwa, o którym nigdy nie wątpił.

ROZPOZNANIE I SZARŻA PODPORUCZNIKA ROZOY POD CHERISY

(29 września 1914).

Z zapadnięciem nocy 28 września przednia straż 3 brygady dragonów, po odparciu kilku patroli ułańskich, dochodzi do Mercatel, małej wioski, leżącej o sześć kilometrów na południowo-wschód od Arras.

Brygada pod dowództwem pułkownika Robillot podąża tuż za nią. W ciągu trzech kwadransów kwatery zostają rozdzielone między poszczególne jednostki, placówki są rozstawione, wejście do wsi zabarykadowane i przygotowane do obrony, konie doprowadzone do porządku, napojone i uwiązane z karmiakami u pysków. Nad równiną zapanowała noc. Wszędzie cisza głęboka, przerywana od czasu do czasu gubiącym się wdali strzałem karabinowym i głuchym grzmo-tem armat, dolatującym od południa, od Bapaume, z odległości jakich dwudziestu kilometrów. Nareszcie będzie można położyć się i spać... spać... Oby tylko żaden alarm nie przerwał tych kilku godzin wypoczynku.

Nadzieja spokoju jest w tym wypadku dość zawodna. Niemcy zajmują Bapaume naprzeciw 11 korpusu i grupy dywizyj terytorjalnych. Można wyczuć, że przygotowują się do potężnego wysiłku bardziej na północ, celem obejścia lewego skrzydła francuskiego i odciągnięcia go od morza. Przed sobą mają jedynie słabą zaporę korpusu kawalerji Conneau, który cudami waleczności zdołał dotychczas powstrzymywać wysunięte oddziały nieprzyjaciela. Lecz co będzie jutro? Generał Conneau otrzymał rozkaz osłaniania swemi trzema dywizjami wyładowania nowego korpusu francuskiego. Bę-

dzie ono ukończone pojutrze w Arras. Czy podoła temu zadaniu szwadronami strudzonemi i zmniejszonemi do połowy?

Trzecią brygadę oczekuje tedy nocleg w okolicy, rojącej się od oddziałów nieprzyjacielskich, mimo że wraz z resztą korpusu wyparła z niej kilka bataljonów strzelców niemieckich. Widoki na odpoczynek są mizerne, a potrzeba jego wielka.

Ktoby zdołał poznać w trzystu bladych, zabłoconych obdartusach dwa świetne pułki dragonów z Reims, 15 i 22? Zwłaszcza 22, liczący zaledwie dwa szwadrony, każdy o pięćdziesięciu szablach. Dwa pozostałe, silnie wyszczerbione w lesie Villers-Cotterets, nie zdołały dołączyć do pułku. Obecne na miejscu trzymają się ostatecznym wysiłkiem. Czy oznacza to, że ich dowódcy nie mogą więcej na nie liczyć? Nie. Ludzie, znający naszych niezrównanych kawalerzystów z roku 1914, wzruszyliby ramionami na to pytanie. Dni i noce nieustannych marszów, skwarne sierpniowe słońce, ulewy jesienne, noce pod gołym niebem, nieustanne alarmy i walki wyrzeźbiły głębokie brzozy na ich policzkach, wysuszyły ciała na wióry, w łachmany zamieniły mundury, powyginały i skruszyły skórę ich rynsztunku, nadając szwadronom wygląd koczowniczej hordy, lecz nie zdołały zgasić ognia, płonącego w ich duszach od 2 sierpnia. W godzinie czynu stają ochotczo, pełni poświęcenia i zuchwałej odwagi, gotowi iść za swymi oficerami, choćby na śmierć.

Ale zwłaszcza wśród koni wojna zrobiła straszliwe spustoszenia. Ach! Jakże wiernymi były one dla nas towarzysza!... Podtrzymywane jakimś nieznanym instynktem, pracowały do ostatniego tchu. Ochwaczone, z grzbietami obtartymi do żywego mięsa, zdarły podkowy, a często i kopyta na drogach Belgii i Francji, cierpiąc głód a nadewszystko pragnienie, maszerując bez przerwy, maszerując ciągle pod okropnym ciężarem człowieka, broni i oporządzenia na pokaleczonym grzbiecie... Połowa z nich padła ze zmęczenia lub od kul. Łatano dziury w miarę możliwości, raczej źle niż dobrze, końmi zdobycznymi lub rekwirowanymi. Pozostałe, weterany, od pierwszej godziny wojny trzymają się ciągle. Przedziwnym cudem, jakgdyby natchnione wiarą i nadzieją swych jeźdźców, uparły się w chęci do trwania do końca albo do śmierci w nędzy — i w honorze.

Drugi szwadron 22 pułku dragonów, pod komendą kapitana Wallace, rozmieścił się jako tako w wyznaczonej mu części wioski. Ludzie, zmożeni trudami, pokładli się za zadami końskimi i chrapią z bronią pod ręką. Dwaj oficerowie znaleźli schronienie w małej izdebce. Prawdę mówiąc, tylko oni dwaj pozostali z liczby tych,

którzy znajdowali się w szwadronie w dniu wymarszu. Z trzech innych dwaj polegli: porucznik du Plessis de Grénédan, zabity pod folwarkiem Pavé 20 września przez oficera niemieckiego, udającego, że chce się poddać; porucznik Héron zabity 25 pod Cléry; trzeci, porucznik de Marin, objął dowództwo oddziału karabinów maszynowych brygady po poruczniku de Bellomaire, rannym 26 sierpnia. Pozostali w szwadronie 1 kapitan i 1 podporucznik Rozoy. Drugi podporucznik Geffrier przybył prosto z Saint-Cyr, jako uzupełnienie 18 września; położył się on do snu na słomie wśród swego plutonu.

Podporucznik Rozoy został przydzielony do pułku w chwili mobilizacji. Należał on do rocznika „Marji Ludwika” (1912 — 1913) i w chwili wybuchu wojny kończył roczny kurs doszkolenia w Saumur. Jest to wysoki chłopak, sympatyczny, barczysty, pełen zapału. Od pierwszych strzałów okazał się prawdziwym kawalerzystą, przedsięwzięczym, wesołym, gotowym zawsze do nadstawiania karku, za który jednak nieprzyjaciel drogo musiałby zapłacić.

Kapitan Wallace po bratersku dzieli z nim swe łóżko i oddaje materac młodemu oficerowi. W takich okolicznościach zakwita między przełożonymi a ich podkomendnymi, bez różnicy stopnia, serdeczna łączność serc i umysłów. Próba straszliwego kataklizmu, z przyniciętą ogromem nędzy i niebezpieczeństw, zniósła różnicę, stworzoną przez hierarchję, nie zmniejszając w niczem karność. Przeciwnie. W doli i niedoli własność jednego jest udziałem drugiego towarzysza, a czego brak jednemu, tego brak odczuwa drugi. Prawdziwe koleżeństwo istnieje tylko na wojnie.

W kuchni z ceglana podłoga, oddzielonej od izby wejściowym korytarzem, łącznicy od plutonów, podzieliwszy się również kilku snopami słomy, posnęli z miejsca. Każdy się śpieszy, aby wykorzystać ten niepewny spoczynek. Ledwo człowiek padł na swe legowisko, już ciężki sen zwiera mu powieki całkowitem, boskiem uniesławieniem.

Od czasu do czasu jednak ktoś puka do drzwi; cień jakiś, zbrojny w słabe światło, zjawia się w izbie. Obaj oficerowie podnoszą głowy i oślepieni pytają mruklawie:

— Co tam, do cholery?

To podoficer rontowy z raportem.

— Nic nowego, panie kapitanie, na placówkach wszystko spokojnie.

I obaj oficerowie pogrążają się ponownie w nirwanie snu ciężkiego i gorączkowego.

Nagły ruch w korytarzu obija się o ich uszy, jak dalszy ciąg męczących snów. Stukot butów, macanie i potykanie się... potem jakiś głos pyta:

— Czy tutaj jest wasz kapitan?

— Tak jest, panie pułkowniku.

Wreszcie otwierają się drzwi i wchodzi pułkownik de Saint-Just, otulony w płaszcz, rysując się czarnym cieniem na tle światła latarni, podniesionej ku górze ręką cyklisty.

— Dzień dobry Wallace...

Kapitan podnosi się ze swego posłania, podczas gdy podporucznik zrywa się na równe nogi, starając się zebrać rozpierzchłe myśli. Pułkownik mówi dalej:

— Wallace, potrzebuję oficera na rozpoznanie. Natychmiast!

— Obecny! — Odzywa się Rozoy.

Pułkownik spogląda nań z przyjaznym uśmiechem.

— Doskonale, mój chłopcze... Zatem rozpoznanie w kierunku Cambrai przez Chérisy, Hendecourt... Nie przypuszczam, żeby Niemcy doszli tak daleko na północ, a w każdym razie nie mają tam większych sił... Bądź jak bądź, musi pan być ostrożny: pchają się wszędzie z karabinami maszynowymi, o czym pan wie równie dobrze, jak ja... Po dojściu do Cagnicourt będzie pan stanowił posterunek ubezpieczający aż do nadciągnięcia pułku... Odmarsz o godzinie 5 rano.

Jest godzina 4 minut 30.

W chwili, gdy pułkownik odchodzi, podporucznik jest już w pełnym rynsztunku i przywołuje łącznika swego plutonu.

— Biegiem... Plutonowy Périgois zamelduje się u mnie natychmiast. Uprzedźcie mego luzaka Auberta, żeby piorunem osiodłał mego konia i sam przygotował się do odmarszu wraz ze mną... Zbiórka tutaj za kwadrans.

Nowy zgiełk w korytarzu, spowodowany śpiesznym przybyciem Périgois. Zawsze czujny, mimo zmęczenia zawsze gotów do prędkich decyzji, należy on do wyborowych podoficerów, tak licznych w naszych pułkach kawalerji przed wojną. Wlot pojmuje, o co chodzi. Kogo wyznaczyć na rozpoznanie?

Wybór trudny, bo za bogaty. W celu uniknięcia straty czasu Rozoy podzielił swój pluton na trzy patrole, obowiążane do stałej gotowości do pracy. Patrol Nr. 1 składa się z samych asów, jak Lévêque,

Mongolds i t. d., dosiadających najlepszych sześciolatków w plucie. Patrol Nr. 2 równie dobry. Ale oba pracowały wczoraj, trzeba więc je oszczędzać przez wzgląd na konie. Pozostaje patrol trzeci. Osłabiony wprawdzie przez utratę jednego doskonałego kawalerzysty służby czynnej i przez przybycie dwóch rekwirowanych koni, lecz czyż pułkownik nie oświadczył, że patrol nie napotka poważnych sił?...

— Périgois, proszę mi przygotować patrol Nr. 3... Żywo! Odjeżdżamy za dwadzieścia minut.

Périgois oddała się biegiem. Dla większej swobody ruchów — człowiek nigdy nie może wiedzieć, co mu się przydarzy — podporucznik każe luzakowi zwinąć swój płaszcz i przytroczyć go do siodła. Wystarczy mu tymczasem krótkie skórzane palto, znalezione w taborze niemieckim, zdobytym przed ośmiu dniami pod Pavé. Kapitan żegna go serdecznym uściskiem dłoni.

— Powodzenia Rozoy... A miej się na baczności! Pamiętaj, że mam już tylko dwóch oficerów.

Podporucznik wychodzi z domostwa i oto znajduje się we wsi, zagrożonej w ciemnościach nocy i w odrętwieniu. Zaledwie kilka cieni porusza się w ciemnościach przy pracy jakiejś dziwacznej, niezrozumiałej, lecz koniecznej. Ale na placu patrol stoi już gotowy do wymarszu. Périgois z latarnią w ręku troskliwym okiem ogląda rzemienie rynsztunku i ładunki.

— Wszystko gotowe, melduję posłusznie, panie poruczniku.

W towarzystwie kaprała Castel, należącego do patrolu, oficer przechodzi powoli przed frontem małego oddziału. Latarnia, którą trzyma podoficer, oblewa bladym światłem twarze wymizerowane, porośnięte szpeciną, lecz ożywione ognistymi spojrzeniami. Oto Warroteaux i luzak Aubert, którzy z kapralem Castel tworzą trójkę zuchów, pewnych w każdej potrzebie. Oto Bourgeois, świetny kawalerzysta, dosiadający, niestety, po utracie swego wierzchowca olbrzymiego konia do wożenia piwa, o nieoczekiwanej nazwie „Gamin“. Niema najmniejszej nadziei, aby kiedykolwiek mógł się zdobyć na galop. Dopełnia liczby członków patrolu przybyły onegdaj rezerwista, nazwiskiem Duriez, o postawie doskonałej, lecz żołnierz, co nie przeszedł jeszcze próby ognia, a więc nieznany.

— Na koń!

Poprzedzany przez kaprała Castel i jednego szperacza, patrol rusza i na wschodnim krańcu wsi wychodzi na drogę do Bapaume. Trzeba najpierw dojść do rzeczki Cojeul, płynącej o trzy kilometry na

południo-wschód od wsi Mercatel i obsadzonej jakoby czatami piechoty. Do niej można maszerować spokojnie. Marsz naszych dragonów będzie jednak wielce utrudniony z powodu braku mapy. Rozoy ma całej parady mapę turystyczną, znalezioną na poprzedniej kwaterze. Z tak skromnymi danymi nie może sobie pozwolić na zejście z dróg, dopóki trwa noc. Wyzначył kapralowi Castel następującą marszrutę: Ménin-sur-Cojeul, następnie wzdłuż rzeczki do Saint-Martin-sur-Cojeul i Héninel. Po przejściu tej wioski przekroczyć rzeczkę i walić prosto na Hendecourt-les-Cagnicourt. Do tego czasu zaświta dzień i pozwoli lepiej wykonać zadanie z minimum ryzyka.

Oto Ménin-sur-Cojeul, rzeczka, mostek, barykada, lecz ani śladu pilnującego jej piechura, ani śladu wysuniętych przed nią czujek. Mieszkańcy, stojąc w drzwiach swych domów, szepcą coś z zaniepokojeniami minami. Na zapytanie jakiś starzec wyjaśnia:

— Ci, co pilnowali mostu, odeszli jeszcze wczoraj. Cofnęli się na Arras.

— Do diabła! To niemiła niespodzianka! A nikt się nie zatroszczył, aby uprzedzić o tem kawalerję. Głupstwo, świt już niedaleki...

— A Niemcy?

— Nie widziano ich w tych stronach.

— Nie wiecie, czy są w Chérisy?

— Nie sądzimy. Wczoraj byli tam francuscy kawalerzyści.

Zaczyna świtać. Patrol posuwa się swoją drogą, mając po prawej stronie rzeczułkę z szeregiem nadbrzeżnych wierzb, spowitą w zasłony mgieł, po lewej zaś rżyska, na których miejscami szaro rysują się stogi, domy i niewielkie kępy drzew.

Gdy dotarto do Héninel, cienie — zda się — już odbiegły daleko. Widok rozciąga się na odległość strzału karabinowego, a na wschodzie niebo barwi się bladym złotem. Po przekroczeniu rzeki nasi dragoni znajdują się w samym środku strefy niepewnej, gdzie niebezpieczeństwo grozi na każdym kroku. Teren ten jest prawie płaski, wznoszący się nieznacznie kilku podłużnymi, ledwo zaznaczonymi, falami; dokoła żadnego zakrycia, żadnej zasłony, mogącej ukryć ruch naszych ludzi przed okiem nieprzyjaciela, jeśli jest gdzieś blisko, przyczajony na skraju pierwszej lepszej wioski. Rodzaj krajobrazu nie wzbudza najmniejszego zaufania; ani jednego rolnika w polu; opuszczone wozy, jak rozbite łodzie przywodzą na myśl prawdopodobieństwo szybkiej ucieczki. Pachnie to bardzo zasadzką.

Rozoy przeto postanawia posuwać się w sposób, dający największą rękojmnię bezpieczeństwa. Posuwa się szybkimi skokami, kłusem

zblizając się do punktów, dających najlepszą obserwację, a po osiągnięciu ich rozprasza swój oddział, aby żadne zagłębienie terenu, żaden rów, żadna chałupa nie zostały niezbadane. Czekając zaś na ponowne zebranie się swoich ludzi, przez lornetkę bada szczegóły okolicy. Jak daleko sięga jego wzrok, kraj jest opustoszały, jakby wymarły.

Pustka ta, która niepokoi dowódcę, wywiera na jego podkomendnych wpływ wprost odwrotny. Pewni siebie aż do przesady, spełniają swą funkcję szperaczy zupełnie jak na manewrach, kiedy nie zagraża im nic poza hukiem niewinnych ślepaków. Nie robią żadnych starań, aby się ukrywać, posuwają się nadmiernie długimi skokami, a niektórzy z nich, zmożeni trudami, wyraźnie drzemią na siodłach. Zapominają, że mają do czynienia z mistrzami w sztuce podstępów, zdolnymi do dopuszczenia ich pod same lufy karabinów maszynowych przed otwarciem ognia. Rozoy musi im wymyślać siarczyście, tłumaczyć popełniane błędy i zmuszać do otrząśnięcia się z odrętwienia, jeśli nie chcą paść głupio, bez pożytku dla pułku, który ufając im, posuwa się ich śladami.

Napomnienia jego mają natychmiastowy skutek. Znowu stają się kawalerzystami i wojownikami. Każdy przeciwstok, każdą najmniejszą stertę, wykorzystują ze zręcznością; na każdym wzniesieniu terenu zatrzymują się na chwilę przed dalszą drogą. Ich dowódca odzyskał zpowortem pewność, że ich trzyma w garści.

Zostawiwszy po lewej stronie kamieniołom, jak się okazało pusty, robi jeszcze dwa czy trzy skoki, nie natykając się na nic niepokojącego. Dwa stogi, stojące tuż obok siebie na niecznaczem wzniesieniu, stanowią doskonałe ukrycie dla dogodnej obserwacji. Przed nim leży pofalowana równina, ciągle milcząca, jakby przygnieciona ciężką atmosferą tajemnicy. Już zbiera wodze, aby przejść na leżące przed nim podłużne wzniesienie, gdy nagle spostrzega, że coś się rusza tuż za grzbietem tej właśnie wyniosłości. Bez słowa wszyscy przyłgnęli do sterty, za którą się zatrzymali. Ich spojrzenia kierują się ku punktowi, gdzie jakiś przedmiot zdaje się poruszać, zlewając się z szarą ziemią. Powoli unosi się tam sylwetka, pozwalająca się domyślać tułowia człowieka z głową w kasku o długim szpikulcu. Nieprzyjacieli!

Przeciwnik ze swej strony obserwuje ostrożnie, unosząc się ponad teren jedynie częścią tułowia do tej funkcji niezbędnej. Można domyślić się, że oczy ma szeroko otwarte, że obawia się przykrej niespodzianki, że posuwa się z roztropnością myśliwca, czyhającego na

zwierzynę. Jaka przestrzeń dzieli mały oddział od Niemca? Może 600 metrów.

Zniżając głos jakby w obawie, żeby nie być podsłuchanym przez intruza, Aubert szepce do ucha swemu oficerowi:

— Och! Panie poruczniku, co za świetny cel!... Proszę mi pozwolić posłać mu kulę!

— Oszalałeś!... Chybiłbyś na tę odległość. Lecz przygotuj się. Jeżeli się przybliży...

Aubert jest wybornym strzelcem, ponadto zaś świetnie przyuczył swą kobyłę, dzielne trzynastoletnie zwierzę, żeby nie drgnęło nawet po strzale. Mimo to jednak kuszenie się o cel tak mały i tak odległy byłoby jednoznaczne ze strzelaniem Panu Bogu w okna. Aubert, zbity z tropu, naładował swój karabin, poczem kładzie go na przednim łoku siodła, wpatrując się bystro w przeciwnika.

Ten zaś, widocznie uspokojony, wychyla się coraz bardziej. Widać już głowę jego konia, potem pochyloną lancę, później rząd koński, wreszcie całą postać jeźdźcy. Powoli wjeżdża na grzbiet i ostrożnie, z nosem wzniesionym do góry, jakby węsząc niebezpieczeństwo, opuszcza się po zboczu i wjeżdża na płaszczyznę, rozdzielającą oba wzniesienia. Już jest nie dalej, jak na 300 metrów. Teraz staje... powoli obraca głowę, jakgdyby w celu zbadania okolicy dokoła siebie. Czy dostrzeże ukrytych kawalerzystów? Rozoy pyta:

— Aubert, czy jesteś pewien, że nie spudłujesz?

— Tak, panie poruczniku.

— Zatem, lu!... Bierz na cel pierś konia.

Aubert przewiesza wodze przez lewe ramię, podnosi karabin i składa się starannie. Co za pech! Jeździec, dotąd nieruchomy, jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa, zaczyna się kręcić nieustannie, zwracając swego konia to na zachód, to znowu na północ. Jednocześnie z nim krąży powoli muszka dragona Aubert. Ba!... pada strzał. Pudło!... jeździec trzyma się w dalszym ciągu w siodle, z głową wtuloną w ramiona, rozglądając się z przerażeniem dokoła i szukając, skąd grozi mu niebezpieczeństwo.

W mgnieniu oka Aubert powtarza broń, podnosi karabin, celuje i strzela powtórnie. Wtedy Niemiec robi wtył zwrot, całą parą umyka ku zbawczej linii grzbietu i znika za nią.

— Psiakrew!... Partacka robot!... Daliśmy sygnał alarmowy. Cóż robić! Walimy naprzód. Nie przypuszczam, żeby się spostrzegł, skąd padły strzały.

Patrol oddala się w kierunku Hendecourt. Pojawienie się owego jeźdźca każe się spodziewać, że wieś jest obsadzona przez nieprzyjaciela. Ano zobaczymy!... Szybkiemi krokami bez przeszkody Rozoy zbliża się do celu. Dochodzi do szczytu wzgórza, górującego w odległości 500 metrów nad Hendecourt, gdzie dwa duże stogi chróstu stanowią pierwszorzędną zasłonę. Pięciu kawalerzystów ukrywa się za nią starannie, oficer zaś przez lornetkę bada dokładnie skraj wsi, ogrody i otaczające je płoty. Nie widać nic: ani konia, ani człowieka. Wieś sprawia wrażenie zupełnej pustki.

Wrażenie to wcale nie uspakaja oficera, nie dając mu pewnej odpowiedzi na pytanie, czy za parkanami i w rowach dookoła wsi są ukryte karabiny, czy też ich niema? Niezaprzeczenie najprostszą rzeczą jest pójść i przekonać się, zachowując, oczywiście, wszystkie regulaminowe ostrożności.

— Harcownikami... odstęp 10 kroków... kłusem marsz!

Szybko i sprawnie rozwijają się nasi dragoni na prawo i na lewo, niby wachlarz raptownie otwarty, poczem kłusem kierują się ku pierwszym domom wioski. Już zbliżyli się na trzysta, już są na dwieście metrów. Ciągłe to samo milczenie, ciągle ten podejrzany spokój. Można być zaprawionym już wojakiem i od początku wojny, w ciągu sześciu tygodni, każdego dnia słuchać posępnej muzyki kul i granatów, niemniej jednak podobne zbliżenie się z odkrytą piersią ku pewnej prawie linii wymierzonych karabinów ma w sobie coś patetycznego, coś bolesnego dla mózgu i dla nerwów.

Już tylko 150... Jeżeli Niemcy tam są, leżąc na brzuchach w trawie, to niewątpliwie mają rozkaz dopuszczenia ich pod same lufy. Ich dowódca chce mieć pełny efekt. Na szczęście młody oficer ma już doświadczenie starego zagończyka. Postanawia użyć podstępu, powszechnie znanego, lecz niezawodzącego nigdy. Nie widzi nic, to prawda, lecz postara zachować się tak, jakby coś zobaczył.

Zwracając nagle konia wtył, oddala się wyciągniętym cwałem z okrzykiem:

— Za mną!... Harcownikami!

Każdy z dragonów naśladuje swego dowódcę i patrol udaje gwałtowną ucieczkę. Brawo!... Sztuka się udała!... Prawie jednocześnie na skraju wsi wybucha strzelanina, kule gwizdzą, skomlą i świszczą między uszami kawalerzystów; niektóre, dobrze wymierzone, uderzają w ziemię między kopyta koni. Na szczęście nikt nie jest trafiony i wkrótce wzgórze staje opiekuńczo między patrolem a strzelcami. Teraz można się zatrzymać.

Trzydzieści sekund namysłu. Sądząc z natężenia ognia, strzelało około czterdziestu karabinów, to znaczy dwa plutony, jeżeli ma się do czynienia z kawalerją. Rzecz wymaga sprawdzenia. Rozoy postanawia obejść wieś od północy. W tej stronie w odległości 1500 metrów wznosi się pagórek z kępą drzew na szczycie. Stamtąd należy przedostać się do wsi i rozejrzeć się po całej okolicy. Jeżeli natknęli się na drobny oddział nieprzyjacielski, można będzie wypełnić swe zadanie, kierując się na Cagnicourt.

Lecz dwa miesiące wojny, mądre rady kapitana Wallace zrobiły młodego podporucznika przezornym, jak traper w dziewiczych lasach. Nie poleci ku tym drzewom jak dudek bez przekonania się przedtem, czy położenie nie uległo zmianie. Zostawiwszy swych ludzi za przeciwstokiem i z radości z powodu udanego podstępu wojennego dawszy czas koniom wyparskać się i odsapnąć, Rozoy powraca do swych stosów chróstu i ponownie z lornetką przy oczach dokładnie przegląda okolicę.

We wsi nie widać żadnych zmian. Niezaprzeczenie zarządzenia nieprzyjaciela zostały wydane z dużą zręcznością. Teraz kępa drzew. Ach!... jak słuszną była ostrożność. Tuż pod kępą krzewów Rozoy widzi dokładnie wóz, zaopatrzony w aparat, podobny do anteny, dokoła zaś jeźdźców, zsiadających z koni. To odkrycie zmienia zupełnie stan rzeczy. To już nie ze zwykłym patrolem sprawa, ale niewątpliwie oddziałem rozpoznawczym. Niepodobna jest przejść bezpośrednio na północ od wsi. Należy wyzyskać przestrzeń i minąć Hendecourt dalszem obejściem. Najpraktyczniej będzie wydostać się na drogę z Hendecourt do Chérisy, którą patrol przebył przed chwilą w kierunku z północy na południe i ruszyć nią w stronę odwrotną.

Drobnym klusem przez wzgląd na konie, które zdradzają już zmęczenie, patrol nasz maszeruje naprzelaj ku północo-zachodowi. Po znalezieniu się na twardszem terenie drogi, będzie można zwiększyć tempo.

Nagle za plecami oficera rozlega się okrzyk:

— Panie poruczniku, na lewo!... Chcą nam odciąć odwrót!

Istotnie, oddział dragonów niemieckich, niewiadomo skąd się tu znalazłszy, wyciągniętym klusem wpada na drogę, na którą chciał się przedostać Rozoy. 500 do 600 metrów ścierniska leży między nimi, a patrolem. Niemcy są podzieleni na dwie części; jedna, złożona z dziesiątka kawalerzystów, stanowi rodzaj straży przedniej, druga, w sile dwudziestu ludzi, posuwa się wślad za pierwszą w znacz-

nej odległości. Między obiema kłusuje czterech łączników. Straż przednia jest już na równej wysokości z patrolem i przegania go.

Rozoy ze spokojem przygląda się temu widowisku.

— Tylko się nie przejmować — mówi do swych ludzi. Jeżeli na nas napadną, zawsze będziemy mogli zwiać na północ.

Nie popędza koni. Ponieważ nieuniknienie lada chwila trzeba będzie wymagać od nich poważnego wysiłku, należy je oszczędzać do ostatniej chwili. Jedynie, zamiast zmierzać ku drodze, sunie równolegle do niej przez pola. Kłusując, ani na sekundę nie spuszcza z oczu nieprzyjaciela. Jego straż przednią wyraźnie ponosi temperament, przyspiesza bowiem tempo, przechodzi w galop i wyprzedza patrol. Łącznicy wyciągają się jej śladem i oni teraz znajdują się na wysokości patrolu. Natomiast większość oddziału po staremu posuwa się po drodze kłusem, zostając wtyle na jakieś 400 metrów.

Odległość ta szybko wzrasta. O co im się rozchodzi do pioruna! Jaki to fantastyczny manewr chcą wymyśleć? Pierwsza grupa już co najmniej o kilometr wyprzedziła drugą. I nagle, jak błyskawica, strzela podporucznikowi do głowy myśl: sposobność, ta wymarzona, ta daremnie od dwóch miesięcy poszukiwana, przychodzi nareszcie. Sam nieprzyjaciel ją ofiarowuje. Zaszarżuje pierwszą z dwóch grup. Licząc jednego Francuza na dwóch Niemców, siły są równe.

— Rozwinięty... maaarsz!

Dragoni zrozumieli wlot. Ani śladu wahania, ani śladu lęku. Strzemię w strzemię wyrównywają się za swym dowódcą. Rozoy posuwa się niezmiennie kłusem, lecz odwróciwszy się na siodle, daje ostatnie wskazówki swym dzielnym towarzyszom:

— Przejedziemy im po brzuchach... nie żałować mi ostróg... niech każdy upatrzy sobie swego Niemca, złoży się jak należy i nie chybia cięcia... tamci zwarjowali, oddalili się zaudto od swego oddziału!... Mamy dziesięć razy za dużo czasu, żeby ich rozpieprzyć, zanim reszta nadąży... jedziemy ciągle kłusem. Puścimy się galopem dopiero w ostatniej chwili, ale wtedy już na całego!... Zrozumiano?

— Tak jest, tak jest, panie poruczniku!

Byczol! Jakie morowe chłopaki!... W jednym skrzyżowaniu spojrzeń oficer wyczytał ich zgodę i oddanie mu się całkowite, bez myśli o sobie, w pewnego rodzaju upojeniu. Nigdy serdeczniejszy stosunek nie łączył dowódcy z podkomendnymi. Ach! jakże cudną rzeczą jest walka!

Mały oddziałek szybko zbliżył się do drogi i znajduje się w dziwnym położeniu: oto maszeruje prawie razem z łącznikami nie-



przyjacielskimi, wyprzedzającymi go zaledwie o dwieście metrów. Czyby nie wskoczyć już na szosę? Pokusa jest wielka, bo konie męczą się na zoranej ziemi. Ale przedtem trzeba się pozbyć czterech łączników, którzy na pewno pozwoliliby się wyminąć, aby potem wpaść mu na kark.

W godzinie walki jednak umysł i instynkt pracują błyskawicznie i z szybkością piorunu poddają wyobraźni najlepsze decyzje. Rozoy powiada sobie: „Mam nabity rewolwer w pochewce, wygarnę więc do nich, a idę o każdy zakład, że to wystarczy żeby zwiali”.

W tej chwili, gdy jego uwadze, zaostrożonej bliskością rozstrzygnięcia, nie uchodzi żaden szczegół działań, spostrzega, że straż przednia zatrzymuje się nagle i przygotowuje się do zsiadania z koni. Co zamierzają robić? Ach, tak!... Przypomina sobie. Znajduje się tam kamieniołom, obok którego przejeżdżał niedawno. Tam chcą się ukryć i strzelać do Francuzów jak do królików, podczas gdy pozostali, natarłszy na nich od tyłu, dorzną niedobitków. Świetny pomysł!... Ale trzeba go udaremnić.

Zaledwie trzydzieści metrów dzieli go od łączników. Przekładając szablę do lewicy, chwyta rewolwer i szybko, bez celowania oddaje trzy strzały w ich kierunku.

Skutek jest natychmiastowy: łącznicy w popłochu rzucają się na lewo w pole i cwałem gnają do swego oddziału, oddalonego przeszło o 1000 metrów.

— Galopem marsz! — rzuca komendę Rozoy.

Musi za wszelką cenę dopaść do straży przedniej, zanim ona zdąży się ukryć, a nawet o ile możliwości w czasie zamieszania, spowodowanego zsiadaniem z koni. Rozoy wyciąga galop. Doznaje żywej rozkoszy, czując, jak jego klacz „Litma” drży pod nim, niby napięta cięciwa; leży na wodzach należycie, oddycha spokojnie i równo; stać ją jeszcze na poważny wysiłek.

Tymczasem dowódca niemieckiej straży przedniej pojął niebezpieczeństwo zsiadania z koni pod groźbą spotkania wręcz. Wyrzeka się tedy tego zamiaru i formując swych dziesięciu żołnierzy w dwa szeregi, rusza kłusem do natarcia. Nadeszła nasza chwila!... Rozoy ryczy na całe gardło:

— Trzymać się za mną kupy, chłopcy... marsz, marsz!

— Hura! — ryczy za nim pięciu dragonów, co siły w płucach i szarża wali przed siebie, bębniąc dwunastoma parami kopyt o twarde podłoże drogi. Teraz chwila zderzenia... nie, nieprzyjaciel nie przyjmuje go, lecz, otwierając swoje szeregi, pozwala przelecieć huraga-

nowi. Może liczy na to, że Francuzi, zadowoleni ze znalezienia wolnej drogi, polecą dalej galopem. Nie znają podporucznika Rozoy.

On bowiem, nie straciwszy panowania nad swą klaczą, zdołał za-
trzymać ją po kilku susach, zawrócić i zaszarżować powtórnie. Ludzie
jego naśladują go wiernie. Niemcy ze swej strony usiłują stawić
czoło. Przeciwnicy rzucają się na siebie. Lecz dragoni 22 pułku zdają
sobie natychmiast sprawę ze swej przewagi nad wrogiem, przewagi
zrodzonej z zacieklej woli zwycięstwa. Od pierwszego zderzenia pada
pięciu dragonów niemieckich. Po stronie francuskiej tylko rezerwista
Duriez zostaje ranny wściekłem pchnięciem lancy w szyję. Sam Rozoy
ma do czynienia z dragonem, uzbrojonym w lancę, zresztą napół ży-
wym ze strachu, skrępowanym swą bronią i nie myślącym nawet
o parowaniu. Wystarczyło mu wyprężyć rękę, ciągle z rewolwerem
w garści, pociągnąć za języczek i Niemiec zwał się na ziemię.

Szybko rozgląda się dokoła. Widzi nieszczęsnego Duriez całego
we krwi, szamocącego się z wachmistrzem, który, złapawszy go za
kołnierz, chce go wziąć do niewoli. Bez straty czasu Rozoy skacze
mu na ratunek, co widząc, Niemiec puszcza rannego i zwraca się
przeciw nowemu napastnikowi. Lancę trzyma regulaminowo, z gro-
tem skierowanym na lewo wprzód.

Rozoy ma jeszcze dwa naboje w rewolwerze. Wiedząc jak trudno
jest zmienić paradę lancą w ostatniej chwili i czując, że panuje cał-
kowicie nad swą kobyłą, zwrotną jak na ujeżdżalni, rzuca ją gwał-
townie na prawą stronę podoficera. Ten jednak, szybki jak błyska-
wica, przerzuca grot lancy w nowym kierunku. Przez ułamek sekundy
przeciwnicy patrzą sobie w oczy. Oficer widzi przed sobą twarz wy-
chudzoną i groźną, parę oczu niebieskich pod zmarszczonymi brwiami
i krótkie rudawe wąsy, a jednocześnie kładzie się na szyi swej wier-
chówki, aby się przesmyknąć pod lancą. Za późno. Straszliwy cios
rani mu lewe ramię. Ale go nie zatrzymuje. Ręka jego, zbrojna
w rewolwer, natrafia na brzuch przeciwnika. Pada strzał. Wachmistrz
z przeciągłym jękiem wali się z konia.

Rozoy musi wypuścić rewolwer i schwycić wodze w prawą garść,
ponieważ lewe ramię zwisa mu bezwładnie wzdłuż tułowia, a ręka
cięży jak ołów. Jest bezbronny i niezdolny do walki — jednym rzu-
tem oka ogląda uczciwą robotę. Pięciu Niemców leży na ziemi. Obok
nich Duriez, który upadł w chwili, gdy puścił go jego ciemiężyciel.
Aubert schwytał konia kolegi i podprowadza mu go. Czterech pozo-
stałych Niemców cofa się i ucieka.

Większość ich jest jeszcze djabelnie daleko, bo cała rozprawa trwała kilka sekund. Można uporać się z niedobitkami. Rozoy krzyczy:

— Pościg!

Osobiście nie może uczestniczyć w utarczce, lecz jego dragoni zrozumieли go i puszczają się w trop za uciekającymi. Co prawda Bourgeois nie może nadażyć na swoim mastodencie. Lecz porucznik widzi, jak potężnymi pchnięciami lancy Castel powala dwóch nieprzyjaciół, a Warroteaux jednego, i przez chwilę wabi go chętką wziąć jeszcze udział w szarży i na zбитy łeb rzucić się na nadbiegających dwudziestu pięciu jeźdźców. Byłoby to zaiste niepotrzebnem szaleństwem. Wyrzeka się go zatem i trzema gwizdkami nakazuje zbiórkę. Jego dragoni powracają bezzwłocznie.

Podczas tego Aubert zsiadł z konia i czyni nadludzkie wysiłki, aby rannego towarzysza umieścić na siodle. Daremnie. Biedny chłopak, broczący ciągle krwią z otwartej rany, nie ma nawet siły, aby podnieść nogę do strzemienia.

A tu reszta oddziału nieprzyjacielskiego się przybliży. Nie można już zwlekać dłużej. Trzeba poświęcić Duriez dla ogólnego dobra.

— Możesz chodzić, Duriez?

— Mogę, panie poruczniku.

— Dobrze! Bierz więc karabin i idź do tego stogu. Spodziewam się, iż niedługo tam cię odnajdę. A jeśli by chcieli brać cię do niewoli, wal w nich jak w bęben. Widziałeś, że tacy znowu bardzo straszni nie są.

Dzielny chłopak odchodzi, kuśtykając, podczas gdy reszta patrolu oddala się kłusem po szosie. Zostawić swemu losowi towarzysza broni jest zawsze srogim bólem dla kawaleryjskiego serca, mimo to jednak wynik utarczki nie został zbytnio przeplacony. Ośmiu Niemców, na dziesięciu, leży na drodze lub obok niej, a prawdopodobnie podobny los spotkałby wszystkich, gdyby Bourgeois nie siedział na koniu do wożenia śmieci.

Nawiasem mówiąc, Bourgeois cudem wyszedł cało z pierwszego zderzenia, gdy jeden z Niemców pchnął go lancą w brzuch; na szczęście grot trafił w ładownicę i, przebiwszy dwa magazynki, zatrzymał się na pasie.

— Doskonale, Castel, brawo Warroteaux, pracowaliście obaj rzetelnie!... Lecz to jeszcze nie koniec.

W istocie pluton nieprzyjacielski zbliża się stale, a konie naszych dragonów są tak zgonione, że położenie staje się coraz groźniejsze.

Klucze podporucznika i jego luzaka trzymają się jeszcze dość dobrze, ale konie trzech pozostałych ledwo ciągną drobnego klusa, potykając się za każdym krokiem.

Zeby opóźnić natarcie nieprzyjaciela, Rozoy dzieli swój oddział na dwie części. Kapral Castel, Bourgeois i Warroteaux mają posuwać się tak szybko, jak tylko pozwolą siły ich koni, on zaś sam z luzakiem sformują małą tylną straż celem osłaniania ich odwrotu.

Podporucznik każe luzakowi naładować swój rewolwer, poczem wsadza go za pas; Aubert ze swej strony, z karabinkiem na udzie, jest gotów do strzału. Obaj zatrzymują się, aby towarzysze mogli się oddalić, potem ruszają za nimi klusem, aby się w następnym dogodnym punkcie zatrzymać znowu. Odwrót jednak odbywa się nader powoli, gdyż przemęczone konie pierwszej grupki maszerują częściej stępem niż klusem.

Na szczęście chwilą wytchnienia obdarowuje ich bohaterstwo dragona Duriez, który mimo swej rany otwiera ogień do pierwszych kawalerzystów niemieckich, skoro się tylko znaleźli w odległości stu metrów od niego. Sam jeden, osłabiony silnym krwotokiem, stawia czoło dwu tuzinom wrogów. Aby uniknąć jego kul, muszą się rozprościć i spieszyć jedną sekcję celem otoczenia rannego. Rozoy z rozdartem sercem przypatruje się zdaleka tej epicznej walce. Tyraljera nieprzyjacielska zbliża się zbieżnie do rycerskiego samotnika, strzelając w jego kierunku. Duriez, na kolanach, oparty o stertę¹⁾, odstrzeliwi się zawzięcie. Nagle karabin wypada mu z rąk. Dostaje się w ręce Niemców.

Wówczas pluton nieprzyjacielski powraca do pościgu. Szybko zyskuje na odległości, poprzedzany przez szpicę w sile czterech ludzi. Z chwilą gdy tylko któryś ze szperaczy dojdzie na dogodną odległość, Aubert, przyczajony za drzewem, węglem muru, lub stogiem, wita go grzmotem swego karabinka. Rozoy zaś z rewolwerem w dłoni stoi wpogotowiu na wypadek, gdyby szpica, przeszedłszy w galop, chciała ich atakować. Nie dochodzi jednak do tego, ponieważ kawalerzyści niemieccy zdradzają wielki brak skłonności do ryzyka. Na odgłos strzału Auberta za każdym razem rozbiegają się po obu stronach drogi i płaszcą się za najbliższą zasłoną. Większość z nich uważa, że dostatecznie spełniła swój obowiązek, posuwając się za

¹⁾ Duriez wrócił do ojczyzny w roku 1916, jako ciężko ranny. Później został powtórnie ranny pociskiem z bardzo bliska i rana ta wywołała konieczność odjęcia mu ręki.

szperaczami, nie próbując wysłania choćby kilku sekcji naprzelaj przez pola w celu odcięcia drogi uciekającym. Klęska straży przedniej wyraźnie ostudziła ich zapał.

Uciekający dopadają wreszcie mostu pod Chérisy na 200 do 300 metrów przed pościgiem. Po przejściu rzeki oficer zostawia Auberta na obserwacji u wejścia do wsi, sam natomiast klusem dogania czołową grupę w chęci przekonania się, czyby nie można choćby resztką sił oderwać się ostatecznie od nieprzyjaciela. Dopędza ich u przeciwnego końca wsi, w miejscu, gdzie brukowana droga stromymi serpentynami prowadzi na górę. Poleca im posuwać się po zboczu stępem, a dopiero na samej górze przejść w klusa.

Zaledwie zdążył wydać rozkazy, gdy tętent galopady nadlatuje od strony mostu. Czyżby się zdecydowali zaszarżować patrol w tej ciastninie? Klusem za wszelką cenę!... Rozoy zawraca, aby połączyć się z Aubertem u stóp wzniesienia, gdy gwałtowny łomot skłania go do obejrzenia się za siebie. Koń kaprała Castel potknął się na wszystkich cztery nogi i padł na bruk, wyrzucając swego jeźdźcę na kilka kroków. Castel, oszołomiony upadkiem, podnosi się mozolnie, podczas gdy jego koń zrywa się i ucieka nadół. Oficer puszcza się za nim. Na szczęście zwierze daje się łatwo zatrzymać Aubertowi, który podprowadza je w rękę.

Lecz kiedy obaj wracają na miejsce upadku, nie znajdują już nikogo. Bourgeois i Warroteaux pokłusowali naprzód, Castel zaś zniknął bez śladu. Rozoy i Aubert wołają ze wszystkich sił.

— Castell!... Castell!...

Nikt nie odpowiada. Prawdopodobnie kapral w obawie przed niewolą ukrył się w jednym z przydrożnych domów. Bądź jak bądź dłużej czekać niesposób. Na dole, w uliczkach wioski słychać już chrapliwe głosy Niemców oraz stukot kopyt na bruku. Pozostaje tylko życzyć kapralowi, żeby mu się udało uciec przez ogrody.

Oficer wraz z luzakiem rychło doganiają swych dwóch towarzyszy, którzy, doszedłszy do lekkiego pochylenia drogi, ruszyli klusem. Czas pewien maszerują razem. Lecz oficer nie może pogodzić się ze stratą jednego człowieka. O 300 metrów od miejsca, gdzie zaczyna się spadek szosy ku Chérisy, zatrzymuje się i obserwuje całe wzgórze na północ i na zachód od wsi. Dostrzega jednego tylko szperacza niemieckiego, stojącego na szczycie wzniesienia. Postawiono go tam zapewne w celu ubezpieczenia kolegów, którzy przeszukują wieś. Trzeba wyrzec się nadziei odnalezienia kaprała Castel.

Niemcy zaprzestali dalszego pościgu.

W pół godziny później patrol spotyka straż przednią brygady i maszerującego z nią pułkownika Rabillot. Podporucznik składa mu raport. Nie kryje przytem swej rozpacz z powodu, że nie zdołał wypełnić zadania i że stracił dwóch ludzi, lecz konie jego, już przedtem zmordowane, musiały przejść 35 kilometrów w ciągu niecałych czterech godzin, w czym koło siedmiu kilometrów kłusem i galopem naprzelaj.

Niemniej jednak jego doskonała kobyła jeszcze się może zdobyć na nowe rozpoznanie, na które również Rozoy ma ochotę, o czym melduje pułkownikowi.

Ten wysłuchał go w milczeniu, wkońcu, patrząc na kwadratowy zakrwawiony otwór w rękawie skórzanego płaszcza, zapytuje:

— Co się panu tam przytrafiło?

— Pchnięcie lancą, panie pułkowniku.

— Spodziewam się, że ten, który je panu zadał, nie żyje?

— Są wszystkie dane, że tak, panie pułkowniku.

— Dobrze.

— Czy mogę raz jeszcze pojechać?

— Nie. Proszę kazać się opatrzyć.

W taborze bojowym lekarz pułkowy oznajmia podporucznikowi, że miał niezwykle szczęście. Grot przebił grubą skórę płaszcza, mundur, metalową sprzążkę szelek i na dwa, do trzech centymetrów pogrążył się w ramię. Rana jest lekka, gdyż pchnięcie zostało bardzo osłabione. Skończy się na unieruchomieniu ramienia przez dwa tygodnie. Po założeniu opatrunku sanitariusze pomagają mu dosiąść konia i podporucznik wraca do swego szwadronu.

Nazajutrz dopiero dowiedział się, że kapral Castel¹⁾, ukrywając się na strychu, zdołał ujść poszukiwaniom nieprzyjacielskim, a w nocy wymknął się i przedostał do 9 pułku dragonów.

¹⁾ Kapral Castel, mianowany później wachmistrzem, przeniósł się do piechoty, gdzie już jako podporucznik znalazł śmierć chwalebną.

SZARŻA POD CHAUDUN

(30 maja 1918 r.).

Czwarty szwadron 10 pułku strzelców konnych spędził noc z 29 na 30 maja 1918 r., biwakując na południe od Chaudun, na polach obok folwarku Maison-Neuve. Noc była wiosenna, ciepła i pachnąca świeżością, noc drżąca od straszliwej kanonady, która od trzech dni wstrząsa ziemią i niebem i w samym Paryżu wywołuje dreszcz zgrozy. Noc bezsenności oraz oczekiwania dla kapitana d'Avout i jego oficerów. Czy o świcie nie zostaną wezwani do wsparcia swymi słabymi siłami olbrzymiego wysiłku Francji w celu wstrzymania nawały niemieckiej. Od 27 maja Niemcy przerwali front między Anizy-le-Château, a Berry-au-Bac. Powodzą trzydziestu dywizyj zalali słabe jednostki francuskie i angielskie; zabrali Chemin-des-Dames, potem Fismes, Grouy, Fère-en-Tardenois, Soissons; dochodzą już prawie do Marny.

74 dywizja, do której jest przydzielony 4 szwadron 10 pułku strzelców, została ściągnięta 17 maja z odcinka Godat i miała być przewieziona na północ. Zaalarmowana natychmiast, została rzucona w pożar bitewny na linii Fort-de-Condé — Margival. Od trzech dni walczy w warunkach przeraźliwie ciężkich, miażdżona artylerią, bez punktów oparcia, bez okopów, w nieznannej okolicy. Wieczorem, dnia 29 jej dwa pułki piechoty nie liczą więcej jak 1000 ludzi, a trzy bataljony strzelców ledwo mogą wystawić 500 karabinów.

Szwadron strzelców konnych nie działał dotychczas w całości. Nie znaczy to, że stał beczynnie. Od chwili, gdy jego dywizja została rzucona w ogień, bez przerwy współpracuje z piechotą przy pomocy łączników i patroli, a nawet porucznik Cacciaguerra ze swym plutonem i z wszystką bronią samoczynną został oddany dnia 28 do

dyspozycji 299 pułku piechoty. Przez dwa dni nie było o nim wiadomości. Koledzy przypuszczali, że zginął lub dostał się do niewoli. Powrócił dopiero 29 wieczorem, z trudem oderwawszy się od nieprzyjaciela. Od 26 konie zaledwie kilka godzin stały bez siodel. Ludzie i zwierzęta umierają ze zmęczenia. Głupstwo! Każdy jednym tylko żyje pragnieniem, jedną nadzieją, że dane będzie wspomóc kolegów z piechoty siłą swego ramienia i oręża, że pójdzie w burzę bitwy, aby służyć krajowi, aby ratować ojczyznę straszliwie okrwawioną.

Świta dzień, witany zdwojonym grzmiotem dział i karabinów. Żołnierze, zeszytniali z zimna, otrząsają się i przytupują buciskami, podczas gdy oficerowie, tak samo przemarznięci, zebrani w gromadkę, z melancholią spoglądają na rozległe płaskowzgórze, pokryte zielenią młodego zboża. Lekka mgła snuje się nad niem, wpełzając powoli na wzgórze. Czy wszystkie te bogactwa, te zboża i owsy, te olbrzymie folwarki mają podzielić los tamtych części przebogatego kraju, które zaciekłość ludzka pustoszy pożogą, zniszczeniem i mordem. Jak okiem sięgnąć w kierunku północno-wschodnim, wszędzie wznoszą się kłęby dymu, włóczą się po ziemi, rozwiewają i na nowo ulatują do góry. Rzeź trwa dalej.

Wtem nadjeżdża cyklista. Zgarbiony nad swoją maszyną, ukazuje się na wyboistej drożynie między łąkami, prowadzącej do folwarku Cravançon. Tam znajduje się posterunek dowództwa generala Lardemelle, dowódcy dywizji. Cały szwadron nieruchomieje, wszyscy podnoszą głowy, wstrzymują oddech. Rozkaz. Kapitan d'Avout odczytuje półgłosem zmięty papiererek:

„Z chwilą otrzymania tego rozkazu szwadron przejdzie na wzgórze 158, na drodze z Villers-Cotterêts do Soissons, o 3 kilometry na południe od folwarku Cravançon, gdzie będzie oczekiwał dalszych instrukcyj“.

To wszystko. Szwadron siada na koń i stępem dochodzi do nakazanego miejsca. Tam się spiesza. Zaczyna się nowe czekanie. Wzdłuż drogi tam i sam kręcą się maruderzy, gońcy, jaszczce i wozy, tworząc przy wtórze ryku dział tragiczny obraz, przedstawiający odwrotną stronę bitwy. Aż nagle koło godziny 6 zjawia się samochód dowództwa dywizji. Zatrzymuje się na wysokości szwadronu. Wysiadają kapitan sztabu generalnego Fleury i szybkim krokiem podąża ku kapitanowi d'Avout, idącemu na jego spotkanie. Po przybladłej nieco twarzy przybysza domyślają się wszyscy, że już się zbliża moment gorącej roboty. Gdzie? Jakiej? To niesamowita

tajemnica bitwy. Obaj oficerowie witają się uściskiem dłoni. Bezbarwnym głosem sztabowiec objaśnia.

— Kochany kolego, generał mnie przysyła, abym panu przedstawił położenie oraz powtórzył jego rozkazy. Mianowicie: wskutek gwałtownego natarcia na wzniesienie, leżące na południe od Berzy-Le-Sac, 299 pułk musiał się cofnąć z dużymi stratami. Jego ludzie są wyczerpani do ostatka, a Niemcy gotują się do nowego natarcia. Trzeba pułk odciążyć jak najrychlej. Generał nakazuje panu poprowadzić szwadron w taki sposób, by móc konną szarżą wpaść na prawy bok nieprzyjaciela i zepchnąć go do wąwozu. Trzeba dać 299 pułkowi czas i możliwość do przegrupowania i umocnienia się w terenie.

Zatrzymuje się na sekundę, potem dodaje dwa słowa, które padają jak ostrze gilotyny.

— Wykonać natychmiast!

Daremnie kapitan d'Avout stara się dowiedzieć kilku choćby szczegółów o położeniu nieprzyjaciela i własnej piechoty. Skąd można wiedzieć... W zamęcie tej rozpaczliwej walki położenie zmienia się z minuty na minutę. Przed godziną 299 pułk zamykał dostęp do płaskowzgórza, lecz Niemcy ściągnęli w nocy na ten punkt świeżą dywizję, która po krótkim, ale gwałtownym przygotowaniu artyleryjskim wdarła się na wzniesienie. 299 pułk musiał oddać broniony przez siebie teren i cofnąć się z dużymi stratami. Obecnie zapewne jest gdzieś w tamtej stronie, między Pevisy a początkiem wąwozu Chazelle. O ściślejsze określenie trudno. Kapitan d'Avout nie nalega.

— Dobrze, postaramy się zrobić, co będzie można.

Kapitan jest tęgim oficerem, o umyśle jasnym i zimnem usposobieniu. Pięć lat już dowodzi szwadronem, a przez cztery lata wojny przywykł do przyjmowania ze spokojem każdego zadania. Żądają dziś od niego rzeczy, uchodzącej za szaleństwo przy współczesnej broni: ma szarżować na zwycięską piechotę. Nie dyskutuje się nad takim rozkazem, tylko się go spełnia. A poza tem czyż nie jest to historyczna rola kawalerzysty: Essling, Waterloo, Reichshoffen i tysiąc innych przykładów uwiecznia te cudną tradycję naszej broni.

Wolnym krokiem wraca do swych dowódców plutonów i oznajmia im półgłosem.

— Będziemy szarżowali.

Szarża... Jedynie tylko ci, którzy uczestniczyli w wojnie i to na koniu, mogą pojąć podniecające a straszliwe znaczenie tego słowa.

W tym wypadku rzecz polega nie na potyczce patrolu, co natknąwszy się na inny patrol, naskakuje nań z szablą, czy też lancą w garści, jak to w upojeniu robiło w roku 1914 wielu kawalerzystów. Trzeba wychynąć na płaszczyznę rozwiniętym szwadronem i rzucić się wściekłym galopem na niewidzialną linię tysięcy karabinów, karabinów maszynowych i armat, które natychmiast zaczną kosić wszystko, co wznosi się ponad ziemią. To szarża, ale szarża beznadziejna, to ofiara w celu uratowania towarzyszków, goniących ostatkiem sił. Niech się stanie.

Czterej dowódcy plutonów wyprężyli się bez słowa, zamieniając jedynie spojrzenia, zdające się mówić: jesteśmy gotowi. Jest między nimi pierwszy oficer, porucznik Richert, stary żołnierz, wzór odwagi i poświęcenia, jest porucznik Cacciaguerra, który wczoraj i przedwczoraj dokazywał cudów, walcząc ramię w ramię z piechotą, jest podchorąży Letellier de Brothonne i plutonowy Jaspard. Kapitan wie, że może na nich liczyć. Może również być pewny swoich ludzi. Połowa wśród nich to rezerwiści z Paryża, a wszyscy niezawodni w ogniu. Trochę pyskacze, trochę niezadowoleni, ale zawsze posłuszni woli swego dowódcy i w godzinach krytycznych dający z siebie wszystko bez zastrzeżeń.

Na rozkaz szwadron wsiada na koń i czwórkami defiluje po szosie. Kapitan, stanąwszy na nasypie, ostatni raz przegląda swych ludzi. Nie słyszeli oni wprawdzie nic, lecz jednak domyślają się, że czekają ich rzeczy niezwykle. W godzinie czynu atmosferę pola walki przebiegają niedostrzegalne fale, które uchwycić i zrozumieć może jedynie przeczulony umysł wojownika. Strzelcy 4 szwadronu wyczuli, jak przeszło mimo nich to straszliwe ostrzeżenie. Poważni, wzruszeni, starają się czytać w oczach swego dowódcy, sami zaś zapewniają go spojrzeniami: „Należymy do ciebie, rozporządzaj nami aż do śmierci”.

A teraz, naprzód. Klusem po szosie szwadron dochodzi najpierw do folwarku Cravançon, zostawia go za sobą o jaki kilometr, potem puszcza się naprzelaj, na prawo. Znajduje się już w samym środku pasa bitwy, rozwija się zatem na rozkaz kapitana w linię plutonów czwórkami.

Idzie przede wszystkim o znalezienie pozycji, bronionej przez 299 pułk, aby oczyścić przed nim przedpole. Na szczęście zagłębiony nieco teren i wysokie żyto zasłaniają przemarsz oddziału. I — rzecz dziwna — na tym wycinku pola bitwy śmiertelna cisza zapanowała po poprzednim zgiełku. Zamilkły zupełnie armaty,

słysząc tylko rzadkie strzały karabinowe. Rzeczy można, że tysiące ludzi, zgromadzonych dla mordy na tym kawałku Francji, nadstawiają uszu, aby usłyszeć odgłos szwadronu, maszerującego wśród falujących kłosów z rzadkim od czasu do czasu brzękiem metalu, szczękiem oręża lub podkowy. W rzeczywistości nikt się nie ludzi. Z jednej strony napływają napastnicy i grupują się do nowego natarcia, z drugiej zaś oddziały francuskie, wyczerpane do ostatka, leżą na ziemi w oczekiwaniu ataku.

Kapitan d'Avout galopem doskoczył do przednich szperaczy, którzy, wysunięci o setkę metrów naprzód, przeszukują teren. Czasem zatrzymuje się, staje w strzemionach, usiłuje coś zobaczyć, coś zrozumieć. Nic. Bezmiar falujący i zielony, a nieco dalej, w stronie Berzy, krzewy wieńczące wawóz, dalej jeszcze, na północno-wschód, czarne dymy, wzbijające się ku niebu: płonące folwarki lub wioski.

Szarżować... W jakim kierunku... Na co...

Wtem nadjeżdża galopem jakiś jeździec, zdaleka już wymachując gwałtownie rękami. Jest to podoficer artylerji.

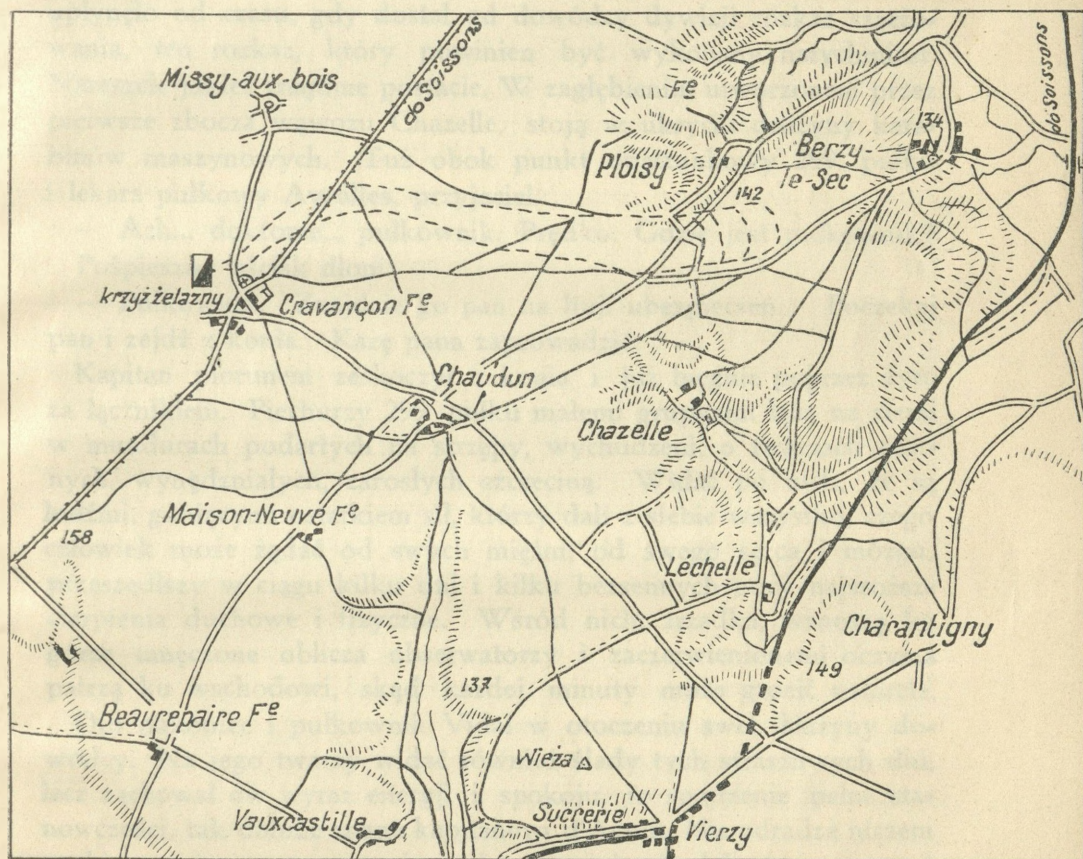
— Panie kapitanie — krzyczy, zatrzymując konia na miejscu — uwaga. Znajduje się pan w polu ostrzału artylerji dywizji marokańskiej... jej dowódca przysłał mnie z ostrzeżeniem, że nie bierze odpowiedzialności za następstwa w razie rozpoczęcia ognia, jeżeli pan będzie się nadal posuwał w tym samym kierunku...

Doskonale. Dywizja marokańska, wyładowana w ciągu nocy, miała wzmocnić lewe skrzydło 74 dywizji. Szwadron znalazł się tedy zanadto na północy. Kapitan zwraca na prawo.

Natyka się nareszcie na słaby posterunek 7 strzelców marokańskich, ukryty w zbożu. Dowodzący nim sierżant nie ma pojęcia o niczem. Ach, oto i oficer... To porucznik tego samego pułku, którego pluton leży za nieznacznym wzniesieniem terenu.

— 299 pułk. Nie widziałem go. Zajmujemy właśnie stanowiska. Podobno nieprzyjaciół jest tam... w stronie Berzy, lecz od czasu, jakśmy się znaleźli tutaj, panuje zupełna cisza... Niech się pan uda trochę bardziej na prawo, znajdzie pan tam dowódcę kompanji... może on będzie coś wiedział.

Niesposób posuwać się dalej tak poomacku. Kapitan d'Avout zatrzymuje szwadron w zagłębieniu, gdzie nie będzie widzialny dla nieprzyjaciela. Dowództwo nad nim powierza porucznikowi Richert. Szwadron ma zostać na koniach w gotowości i na pierwszy znak... naprzód. Poczem oddala się kłusem w towarzystwie wachmistrza szefa szwadronu.



Szarża 4 szwadronu 10 p. strzelców

Spotyka innych strzelców marokańskich, leżących małemi grupkami za każdą zasloną terenową. Ich kapitan wstaje.

— Tak jest, 299 pułk znajduje się gdzieś na prawo od nas. Przed godziną był celem gwałtownego natarcia. Poniósł ciężkie straty. Idzie pan w dobrym kierunku. Znajdzie pan części tego pułku w odległości kilkuset metrów stąd.

Kapitan d'Avout rusza galopem. Jest zrozpaczony. Ileż minut upłynęło od czasu, gdy dostał od dowódcy dywizji rozkaz szarżowania, ten rozkaz, który powinien być wykonany natychmiast. Nareszcie jakieś znajome postacie. W zagłębieniu, utworzonym przez pierwsze zbocza wąwozu Chazelle, stoją w ukryciu drużyny karabinów maszynowych. Tuż obok punkt opatrunkowy 299 pułku i lekarz pułkowy Ayrolles, przyjaciel.

— Ach... doktorze... pułkownik. Prędko. Gdzie jest pułkownik?

Pośpieszny uścisk dłoni.

— Pułkownik. Znajdzie go pan na linji ubezpieczeń... Poczekał pan i zejść z konia. Każe pana zaprowadzić.

Kapitan piorunem zeskoczył z konia i już biegnie poprzez żyto za łącznikiem. Piechurzy 299 pułku małemi grupkami leżą na ziemi w mundurach podartych na strzępy, wychudzeni, o twarzach czarnych, wynędzniałych, zarosłych szczecina. Widać po nich, że są ludźmi, goniącymi ostatkiem sił, którzy dali z siebie wszystko, czego człowiek może żądać od swych mięśni, od swego serca i mózgu, przeszedłszy w ciągu kilku dni i kilku bezsennych nocy najsroźsze cierpienia duchowe i fizyczne. Wśród nich, zrzadka, wznoszą ku górze umęczone oblicza obserwatorów i zaczerwienionemi oczyma patrzą ku wschodowi, skąd każdej minuty może grozić natarcie.

Oto nakoniec i pułkownik Vidal w otoczeniu swej drużyny dowódcy. Na jego twarzy widać również ślady tych straszliwych dni, lecz zachował ów wyraz energii i spokoju, to spojrzenie pełne stanowczości, tak dobrze znane kapitanowi d'Avout. Nie zdradza niczem gnębiącego jego serce niepokoju, bo przecież wie dobrze, czem grozi jemu i kilkuset jego zuchom tajemnica najbliższej minuty. Pułkownik Vidal, ujrzawszy w tem miejscu dowódcę kawalerji dywizyjnej, okazuje wyraźne zdziwienie, niemniej jednak wita go niezwykle serdecznie, zbliżając się doń z ręką wyciągniętą do uścisku i z życzliwym uśmiechem.

— Czegóż, u diabła, szukasz tutaj, kochany panie... To jest całkiem niewłaściwe miejsce dla kawalerzysty.

Kapitan d'Avout w kilku słowach zaznajamia go z otrzymanym rozkazem i prosi o wyjaśnienie położenia. Na twarzy pułkownika nieznacznie tylko stężyły rysy. Natychmiast prowadzi kapitana na mały pagórek, skąd można ogarnąć spojrzeniem całe płaskowzgórze.

— Zostaliśmy zaatakowani o godzinie 4 rano. Mam przed sobą oddziały nieprzyjacielskie, rozwinięte na prawo i na lewo od tego samotnego drzewa, które pan widzi tam, w odległości kilkuset metrów. Wiem jednak, że posiłki niemieckie nadchodzą od Berzy i grupują się za tym grzbietem. Natarcie rozpocznie się znowu, a wówczas...

Ruchem głowy wyraża wszystką ukrytą gorycz swych myśli, po czem ciągnie dalej już prawie szeptem:

— Pomyśl pan... Od 27 ludzie moi biją się bez wytchnienia, jeden przeciwko dziesięciu. Bez chwili wypoczynku i prawie bez jedła. Straciłem dwie trzecie mego stanu. Jeśli nie wytrzymamy, Chaudun jest stracone, droga do lasu Villers-Cotterêts otwarta...

Lecz opanowuje się znowu. Ponieważ generał przysyła mu na pomoc kawalerję dywizyjną, trzeba zrobić wszystko w celu naprawienia położenia. Zaszarżować linię nieprzyjacielską z boku. Nawet marzyć o tem nie można. Znaczyłoby to bowiem rzucić się w pole ostrzału artylerji sąsiedniej dywizji, której pomoc w każdej chwili może być niezmiernie pożyteczna. Trzeba więc będzie szarżować czołowo w najniekorzystniejszych warunkach. Trudno. Zostaje tylko jedna szansa ratunku, trzeba ją wyzyskać za wszelką cenę.

Pułkownik zgadza się na propozycję kapitana d'Avout i przyrzeka wesprzeć go.

— Niech się pan nie lęka o swoje prawe skrzydło — zapewnia — karabiny maszynowe 299 pułku wezmą pod ogień zbocza wąwozu Chazelle. Nadto daję panu pułkownikowskie słowo, że z chwilą gdy pańscy kawalerzyści przejdą moją pierwszą linię, podrywam swój pułk i idę za wami na bagnety. Bez względu na zmęczenie moich Sabaudczyków, ręcę za nich, jak za samego siebie. Nie zostawię swoich kolegów w niebezpieczeństwie.

Ręka piechura ścisła mocno dłoń kawalerzysty, niby dla przypięczętowania układu i kapitan powraca do swych koni. Rozkazuje wachmistrzowi galopem wracać do szwadronu: niech powie porucznikowi Richert, żeby przyprowadził szwadron w linii plutonów schodami w prawo. Odstęp i odległość między plutonami 50 metrów. W miarę nadciągania plutonów będzie je wpuszczał do szarży. Wachmistrz odjeżdża pełnym galopem.

Podczas tej krótkiej przerwy szwadron nie ruszył się z miejsca. Za-
trzymanie to było tą krytyczną chwilą oczekiwania przed szarżą,
kiedy się napinają nerwy, gdy gorączkowo pracuje mózg, a niekiedy
słabną miększe serca. Oficerowie milczą z zaciśniętymi zębami. Ob-
serwują swych ludzi, śledzą ich spojrzenia, a nadewszystko obawiają
się, aby ten czy ów pod jakimkolwiek pozorem nie zsiadł z konia.
Czyby wsiadł nań potem? Na szczęście nikt nie zdradza podobnego
zamiaru.

Eskadra samolotów nieprzyjacielskich przelatuje na niewielkiej
wysokości, spostrzega skupiony oddział i bierze go pod ogień kara-
binów maszynowych, na szczęście niecelny. Ludzie pochylają
grzbiety i dla ulżenia sobie miotają przekleństwa przez zaciśnięte
zęby.

Ah! Wachmistrz szef powraca. Teraz los już przesądzony. Wszyst-
kich porywa zapał, wszyscy rwą się do czynu. Żadnego wahania, żad-
nego żalu. Niezmierna żądza sławy rozżarza wszystkie serca.

Prowadzony przez wachmistrza szefa szwadron w nakazanym
szyku kłusem podąża do małego lasku, gdzie oczekuje go kapitan.
Po drodze kilka szkap zaplątuje nogi w druty telefoniczne, rozpięte
przez artylerzystów. Trzeba zsiąść z koni i zostawić kilku ludzi do
wyplątania ich — zły początek. A jednak nie... z niezwykłym pośpie-
chem pozostawieni strzelcy dosiadają znowu wierzchowców i galo-
pem wracają na swoje miejsca.

Kapitan z obnażoną szablą w dłoni wita szwadron. Następuje
krótka przerwa.

— Konie juczne oraz ludzie, nieuzbrojeni w szable ...wystąpić z sze-
regów.

Rozkaz zostaje wykonany niezwłocznie. Tylko w plutonie poruc-
nika Brothonne sanitariusz, acz bezbronny, nie chce zostać w tyle.

— Panie poruczniku, błagam, chcę iść razem z kolegami.

I Brothonne zgadza się patrzeć przez palce na jego udział w szarży.

Teraz szwadron został zmniejszony do 80 ludzi. Cóż może dzia-
łać tak słaby oddział przeciw idącej naprzód zwycięskiej piechocie.
Do diabła... Nie o to chodzi.

— Szable w dłoni.

Osiemdziesiąt brzeszczotów błysnęło, jak osiemdziesiąt błyskawic.
Osiemdziesiąt serc zabiło żywiej. Niech się dzieje wola Boska!

— Poruczniku Richert, do szarży w jeden szereg. Odstęp dwa me-
try... Na piechotę niemiecką... Galopem. Kierunek: samotne drzewo,
widoczne przed wami... Marsz!

Porucznik Richert szablą żegna pułkownika i sztab 299 pułku. Piechurzy, bladzi ze wzruszenia, odpowiadają mu żołnierskim ukłonem. Ich zdaniem szarża ta jest śmiertelną wyprawą, a przecież dla nich — wiedzą o tem — te zuchy porywają się na rzecz niemożliwą. Pluton rozwija się, jak na ćwiczeniu, mija linję piechoty własnej, której cała obsada, zerwawszy się na równe nogi, śledzi przerażonemi spojrzeniami bohaterski cwał. Poszli...

Zatrzeszczały niemieckie karabiny maszynowe. Na szczęście biją za nisko, kosząc żyto. Tylko dwa konie padają.

— Marsz, marsz.

Budzi się artylerja nieprzyjacielska. Grad szrapneli pęka pod niebem z przeraźliwym hukiem.

— Cacciaguerra, na pana kolej.

Rusza drugi pluton, za nim trzeci. Kapitan d'Avout staje na czele ostatniego, którym dowodzi plutonowy Jaspard.

— Kierunek za mną.

Ruszając, wzorem innych dowódców plutonów, pałaszem kłania się pułkownikowi, który krzyczy doń donośnym głosem:

W imieniu 299 pułku dziękuję... Kawalerzyści idziemy za wami!

Szarża huraganem pędzi po płaskowzgórzu. W wyciągniętym cwale, pochyleni ku szyjom końskim, strzelcy ryczą za swymi oficerami:

Hura, Hura!

Karabiny maszynowe walą zewsząd; z jednej strony niemieckie, z drugiej 299 pułku, wspierające natarcie z prawego skrzydła. Kilka koni i kilku ludzi pada.

Za szwadronem pułkownik Vidal poderwał swój pułk na bagnety. Kawalerzystów dolatują od tyłu okrzyki:

— Naprzód! Naprzód! Hura!

Niemcy nie mają czasu na zrozumienie, co się święci. Zaskoczeni niespodzianą szarżą, nieświadomi, że mają do czynienia z tak słabą liczebnie garstką kawalerzystów, oficerowie nie zdążyli wydać żadnych rozkazów. Na pierwszej linji żadnego oporu. Ich strzelcy pokładli się na brzuchach, płaszcząc się pod tornistrami. Szwadron przelatuje nad nim niczem trąba powietrzna.

Teraz gna ku stromym zboczom wąwozu, którym biegnie linja kolejowa Vierzy-Soissons. Utrzymując ciągle ugrupowanie schodami na prawo, zajmuje front około trzystu metrów. Straty ma dotąd nieznaczne. Ze swego miejsca na czele czwartego plutonu kapitan dolił czył się zaledwie około dziesięciu koni padłych, mimo gęstego ognia

karabinów maszynowych i zapory szrapnelowej, którą grzmi artylerja niemiecka. Co się stanie, gdy plutony dopadną drugiej linji, linji niewidzialnej i mającej dosyć czasu do zdania sobie sprawy z położenia...

Upojeni szarżą strzelcy nie zastanawiają się zgoła nad tem zagadnieniem. Jedno tylko ponosi ich pragnienie: dopaść nieprzyjaciela i roznieść go na szablach. Wtem przed pierwszym plutonem, tuż nad brzegiem wąwozu, oddział piechoty niemieckiej podrywa się z ziemi i wyrasta ponad kłosa zboża. Oficer daje komendę — ognia. Zagrzmiały karabiny, zagwizdały kule. Koń porucznika Richert pada ranny. Czuć pewne wahanie w szeregach plutonu, trwa ono jednak sekundę tylko. Dzielnny Richert błyskawicznie zrywa się na równe nogi i z szablą wzniesioną nad głową krzyczy:

— Naprzód... Naprzód!

Pluton wymija go w dalszej szarży, podczas gdy oficer wskazuje na swego konia, który dźwignął się z ziemi.

A w tej chwili oczom strzelców odsłania się niezwykle widok. Ze wszystkich stron nad brzegiem wąwozu pokazują się żołnierze niemieccy, nie poto jednak, aby ogniem plunąć w twarze napastników, lecz aby uciekać. Jedni zbiegają wdół wąwozu z karabinami na ramieniu, inni rzucają kaski i broń i uciekają co tchu. Niestety ...po stromem zboczach ścigać ich nie można.

Na rozkaz kapitana d'Avout szwadron zbiera się frontem ku północy. Na tej części płaskowzgórza tkwią jeszcze drużyny niemieckie, przedłużające linję, po której szwadron przed chwilą przejechał. Przerażeni galopadą, nadlatującą na nich od tyłu, wystraszeni widokiem pułku strzelców marokańskich, nadciągających z bagnetem w ręku, żeby wesprzeć natarcie 299 pułku, ludzie rzucają karabiny i podnoszą ręce do góry. Marokańczycy zbierają ich jak opadłe gruszeki.

Szarża w ciągu kilku minut przeleciała około dwóch kilometrów, zamiatając równinę najpierw od zachodu na wschód, później z południa ku północy. Za nią skoczyli na bagnety piechurzy 299 pułku. Jedyńm ich trudem było odsyłanie wtył grenadierów 7 pułku, którzy po przejściu szarży poddali się bez oporu. Niema już ani jednego uzbrojonego Niemca na płaskowzgórzu. Piechurzy 299 pułku obsadzają brzegi wąwozu, zajmując pozycję, utraconą rano. Nieprzyjaciel nie ponawia natarcia i zachowuje się biernie do końca dnia.

Szwadron kapitana d'Avout stępem powraca do małego lasku, skąd wyruszył do tej cudnej szarży. Tam się odbywa apel. Brakuje

czternastu koni i ich jeźdźców, dziesięć koni jest rannych. Bolesna to chwila. Ilu z pomiędzy nieobecnych kolegów nie powróci już nigdy... Czas nie zwleka z pociechą. Jeden za drugim wracają brakujący kawalerzyści do swego szwadronu, przyczem większość z nich dźwiga na grzbiecie rymsztunek poległych koni, co jest dowodem niezwyklej wartości moralnej tego znakomitego oddziału. Jeden strzelec jest ranny. Ani jeden nie został zabity.

Jakżeż można po takim przykładzie utrzymywać, że kawalerja nie będzie mogła nigdy szarżować na piechotę. Niewątpliwie będą to rzadkie wypadki. Trzeba, żeby dowódca wyczuł chwilę, kiedy podobne wystąpienie będzie niezbędne i możliwe. Zaskoczenie nieprzyjaciela, zaskoczenie zupełne, jest tutaj warunkiem koniecznym. Trzeba również, aby szarża taka była prowadzona „na całego“, bez wahań, z zapalem, przez oddział o silnym duchu, aby była prowadzona przez dowódcę, orjentującego się wlot i obdarzonego niezwyklej mocą charakteru.

Przedewszystkiem należy zmiażdżyć ducha przeciwnika. Ten skutek osiągnął szwadron kapitana d'Avout nagłym pojawieniem się w pełnym cwale przed frontem zwycięskiej piechoty nieprzyjacielskiej. Komunikat niemiecki z dnia następnego wspomina o „szarżach“ kawalerji francuskiej na płaskowzgórzu Chaudun. Kawalerję tę reprezentowało mniej niż osiemdziesięciu jeźdźców francuskich. Ale zuchy z nich były pierwszorzęдне.

W ciągu kilku minut nie tylko złamali piechotę, mającą za sobą trzydniowe nieustanne powodzenie, ale rzucili swą postawą popłoch na nadciągające posiłki.

Nigdy szarża nie była przeprowadzona w warunkach bardziej niebezpiecznych i nie zyskała takich owoców przy tak małych stratach. Będzie ona tytułem do wiecznej sławy dla dowodzącego nią kapitana oraz dla oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy w niej uczestniczyli.

PIERWSZY SZWADRON 7 PUŁKU HUZARÓW POD MAREUIL

(22 sierpnia 1918 r.).

Łyse, pełne wykrotów pole, które granaty zamieniły w chaos prawdziwy; obok droga, rozbrzmiewająca jednostajnym rozgwarem kolumn taborowych, podwożących ku frontowi żywność i amunicję, na zboczu zaś pobliskiego wzniesienia dywizjon armat 75 mm, strzelający bez przerwy, oto tło i rozgwar, wśród jakich 1 szwadron 7 pułku huzarów stanął na niewygodnym biwaku, przybywszy w nocy na miejsce przeznaczenia.

Szwadron przecisnął się z trudem przez tłok, panujący na wszystkich drogach, tłok nieunikniony na tyłach dywizji piechoty, która poprzedniego dnia zmusiła oddziały niemieckie do odwrotu na głębokość kilku kilometrów. Ten marsz zbliżania wśród zupełnych ciemności, poprzez płataninę sekcji taborów pułkowych i przeróżnych tyłowych oddziałów, Niemcy zrobili jeszcze uciążliwszy przez gęste ostrzeliwanie pociskami gazowymi francuskich linii komunikacyjnych i wąwozów, leżących na południe od Morsain. Trzeba było posuwać się poomacku, z maską gazową na twarzy. Nareszcie jednak szwadron jest tam, gdzie być powinien, to znaczy obok posterunku dowództwa 17 dywizji piechoty, do której przynależy organicznie.

Szwadron to okryty sławą. Służą w jego szeregach ludzie z Wandei, z okolic Angevin, Berrichon i Poitevin, morowcy setni, o wyglądzie nieco zimnym, lecz chłód ten świadczy o charakterach niezłomnych, o łbach twardych jak skała, o poświęceniu i bezgranicznym zaufaniu do ich nieustraszonego dowódcy, kapitana Franciszka du Paty de Clam.

Dowodzi on nimi od 11 listopada 1914 r., to jest od dnia, gdy pierwszy szwadron 7 pułku huzarów zdobył pierwszy ze wszystkich

jednostek kawalerji pochwałę w rozkazie dziennym armji. Dzień to był ciężki, lecz chwalebny. Nacierając w szyku pieszym, bez bagnętów zdobyli wówczas most kolejowy pod Zwartelen, oddany Niemcom przez francuską piechotę. Poległ wtedy kapitan Thonassin, a w dziedzictwie po nim otrzymał szwadron kapitan Paty de Clam.

W jego rękach oddział ten nie stracił na wartości, to pewne. Ale oficerowie i huzarzy wcale nie są zadowoleni. Niezła to rzecz nacierać w szyku pieszym, lecz dla kawalerzysty lepszą rzeczą jest atak konny — szarża. Od 15 lipca szwadron czeka na sposobność dobrania się szablami do skóry Niemców, wzorem swych przodków z wielkiej armji, podkomendnych pierwszego huzara świata Lasalle'a. Pułk 7 huzarów należał bowiem do sławnej „piekielnej brygady”, która zdobyła Szczecin i za Lasallem szarżowała pod Zehdenick, Prenzlów, Locknitz, Lubeką pod Gołyminem, Liebarkiem, Królewcem i t. d. Taka przeszłość obowiązuje. Szwadron chce szarży.

Stan jego skurczył się obecnie do osiemdziesięciu szabel. Poza kapitanem ani jednego oficera niema w szeregach. Wszyscy zostali ranni w poprzednich rozprawach z wyjątkiem jednego, wysłanego do dywizji w celu utrzymania łączności. Czterema plutonami dowodzą podoficerowie, plutonowi Chauvin, Lachaize, Fradin i Souchard. Trudno o lepszych dowódców, bo podoficerowie ci są dzielnymi wiarusami, znającymi się na ludziach i mają w małym palcu wszystkie subtelności zawodu kawaleryjskiego. Kapitan może być spokojny.

Jest godzina dziesiąta. Słońce praży niemiłosiernie, ludzie więc drzeмиą wyciągnięci przed swojemi końmi. Siedemdziesiątki piątki milkną. Przejmująca cisza następuje po ich huku. Rzeczyby można, że niezmierzona pustka dzieli przeciwników. Chwila ta przypomina pierwsze dni wojny i owe wyczekiwanie, wlokące się w nieskończoność, za występem lasu, za grzbietem jakiegoś wzgórza w przyniatającej ciszy, zmieniającej się często z sekundy na sekundę w trudny do opisanja zgiełk bitwy.

Kapitan przechadza się powoli frontem swego oddziału, gawędząc o tem i owem z wachmistrzem szefem Trédelle, swym wiernym pomocnikiem. Lecz myślami jest daleko. Myśli o Lasalle'u i pościgu po bitwie pod Jeną. I teraz także Niemcy są pobici i cofają się. Na co czekają nasi dowódcy, aby puścić w trop za nimi huzarów. Chwila jest wyjątkowo sprzyjająca. Trzeba nawiązać styczność z pobitym nieprzyjacielem, naciskać nań, następować mu na pięty patrolami, uwijającemi się jak roje pszczoł, a przy pierwszej sposobności skończyć z szablą, wzniesioną do cięcia, na tylną straż lub odsłoniętą

flankę. Krew prawego kawalerzysty nie może nie zawrzeć wobec takich możliwości. Bezczytność oburza go i doprowadza do rozpacz. Ma wrażenie, że darmo traci czas, że minuta dogodna może mu się wymknąć. Chciałby, aby jego własne siły i energja jego żołnierzy zostały wyzyskane natychmiast, zamiast rozpływać się nieużytecznie w jałowych marzeniach. Lecz nagle budzi się nadzieja. Huzarzy zrywają się na równe nogi, jak jeden mąż. Bez rozkazu, samorzutnie stają na baczność u pysków swych koni, zapewne aby prędzej być w gotowości na każde skinienie dowódcy. Dostrzegli bowiem oficera łącznikowego, porucznika Fournier-Sarlovèze, zbliżającego się galopem. Jakieś nowiny.

— Panie kapitanie, generał rozkazuje panu udać się natychmiast do dowódcy 68 pułku piechoty; szwadron podąży za panem, gdy tylko będzie gotów do marszu.

Jednym skokiem kapitan jest w siodle. Zmęczenie, senność, odrętwienie — wszystko zniknęło wobec nadziei działania. Jednym rzutem oka upewnił się, że jego ludzie zrozumieli powagę i dostojność takiej chwili. Gotowi są na wszystko.

— Trédelle, obejmijcie dowództwo nad szwadronem i doprowadźcie go do posterunku dowództwa 68 pułku. Ja śpieszę naprzód...

W kilka minut potem w piwnicy zniszczonego pałacu Vasaponin, gdzie mieścił się sztab pułku, pułkownik Rossy wyjaśnia oficerowi kawalerji, czego od niego oczekuje.

— Nieprzyjaciółka zemknął przed świtanem... potrzebna mi jest styczność z nim na froncie dywizji, to znaczy na linii folwarków Loire, Saint-Léger, Bonnemaizon, Mareuil ...i bardziej na wschód, jeśli to będzie możliwe.

Rzuciwszy okiem na mapę, kapitan du Paty odpowiada z oczyma, wbitemi w oczy pułkownika.

— Może pan liczyć na nas, panie pułkowniku.

Pułkownik serdecznie ściska jego dłoń.

— Nigdy o tem nie wątpiłem — odpowiada.

Czy doprawdy nie wątpił o tem nigdy? Jak prawie wszyscy piechurzy, nie wierzy w skuteczność działania kawalerji nawet przeciw cofającej się piechocie. Jeden karabin maszynowy wystarczy do skośszenia całego szwadronu, a Niemcy hojnie używają broni samoczynnej. Nadto na zachód od szosy do Brunenhaut są jeszcze okopy. Z chwilą pojawienia się huzarów, czeka ich tam gorące powitanie... Bezwątpienia takie są jego przypuszczenia, ale zarazem w duchu liczy na to, że huzarzy, ściągając na siebie ogień, pozwolą mu odna-

leżć gniazda karabinów maszynowych, ułatwią marsz straży przedniej i oszczędzą mu wiele trudów i strat.

Zresztą cały pułk 68, oczekujący z bronią u nogi rozkazu do dalszego marszu, rozumie jak korzystna będzie dla niego pomoc kawalerji, przeto okrzykami żegna defilujący przed nim szwadron. Szwadron ten, rozwinięty przed czołem posuwającej się dywizji, jest dla nich rękojmią bezpieczeństwa i pozwala im iść naprzód bez troski, na ślepo. Inaczej ma się sprawa, gdy przyjdzie do bitwy... Lecz do bitwy jeszcze daleko.

W drogę.

Początek marszu jest nader uciążliwy. Trzeba przejść przez mnóstwo starych okopów, rowów dobiegowych, przez sieci drutu kolczastego, wszystko porwane granatami i usiane olbrzymich rozmiarów lejami. Z trudem, ale bez strat, wywiązują się konie z tego zadania. Szwadron rozczłonkował się szeroko, przyczem plutony posuwają się w dwustometrowych odstępach, wykorzystując wszystkie zasłony terenowe.

Upał jest nie do zniesienia. Południowe słońce pali niemiłosiernym żarem i utrudnia pochód. Huzarzy oddychają mozolnie i pod swem ciężkiem oporządzeniem ociekają potem. Lecz z każdym krokiem naprzód coraz większy zapal wojenny ogarnia serca. Przed kilku dniami szwadron ożywiony duchem poświęcenia, cechującym zawsze kawalerję, wysunął się już przed linię piechoty i upajał się tchnieniem wielkiej przestrzeni przed strażami przednimi. Zatrzymany nad rzeką Asine, pod Sermoise, nie zaznał rozkoszy walki wręcz, lecz za cenę krwawych strat oszczędził swej piechocie wielu niespodzianek i bolesnych zaskoczeń. Ale od czterech lat huzarzy nasi oczekują takiej godziny jak obecna. Przez cztery nieskończone długie lata, pełniąc swój obowiązek i częstokroć oddając życie, zawsze mieli uczucie, że nigdy nie znajdują się na właściwym dla nich miejscu, bo miejsce to jest na przodzie, zawsze na grzbiecie końskim, z szablą obnażoną w garści. Upał, zmęczenie, niebezpieczeństwo, wszystko razem... furda! Jedna tylko myśl zaprzęta umysły, jedno pragnienie żarzy się w duszach: dopaść wroga i szarżować.

Szperacze, wysłani do folwarków Loire, la Forest i Saint-Léger, znaleźli zabudowania puste. Szwadron mija je, przyczem kapitan idzie ze swoją szpicą w sile jednej sekcji pod dowództwem podoficera. Prawie natychmiast zaczynają grzmieć strzały, świstać kule. Nie wiadać nic, lecz zdaje się, że Niemcy strzelają z folwarku Bonnemaison. Przedewszystkiem trzeba się przekonać, z kim sprawa, zanim się

zaryzykuje cały szwadron. Narazie kapitan ukrywa swych ludzi w parowie, znajdującym się nieopodal. Podczas gdy on zajmie się wyjaśnieniem położenia, dowódcy drużyn zarządzają przekopanie wyjść w celu ułatwienia plutonom szybkiego wydostania się z kotłowni. Na widnokręgu bujają się ociężałe dwa niemieckie balony obserwacyjne, ale szwadron, dobrze ukryty, znajduje się poza ich polem widzenia. Kapitan de Paty w otoczeniu swoich podoficerów bada okolicę przez lornetkę. Zadanie szwadronu polega nie na bezcelowym kręceniu się w terenie, lecz na meldowaniu dywizji, jakie jest położenie nieprzyjaciela. Otóż nieprzyjaciel ukrywa się. Gdzie? Jest tylko jeden sposób dowiedzenia się tego: trzeba go wymacać.

Na prawo od drogi, która jest osią marszu szwadronu, znajduje się głęboki wąwóz, niedostępny dla koni, na lewo płaszczyna pokryta płataniną drutów kolczastych, a folwark Bonnemaizon jest prawdopodobnie obsadzony. Najważniejszym punktem jest duży folwark Mareuil, wznoszący się na prawo u szczytu zboczy wąwozu. Niewątpliwie siedzą w nim Niemcy, ale w jakiej sile?

Kapitan rzuca w jego stronę pluton, dowodzony przez plutonowego Lachaise. Otacza on folwark rozdzielonymi sekcjami, jedną od lewej strony, drugą od prawej, trzecią zaś od frontu. Wszędzie widać je karabiny maszynowe gradem pocisków, lecz podoficer z podziwu godną zimną krwią obserwuje punkty obsadzone, przypuszczalne gniazda karabinów maszynowych, znamienne cechy terenu i możliwe podejścia, poczem wraca ze sprawozdaniem do swego dowódcy. Teraz wypadki potoczą się szybko.

Czoło kolumny dywizji piechoty, posuwającej się na prawo od siedemnastej dywizji, ukazuje się na północ od folwarku Bonnemaizon. Czując, że zagraża im obejście, Niemcy zaczynają wiać. Sposobność jest zbyt nęcąca...

Pośpiesznie dawszy rozkaz karabinom maszynowym, aby stanęły na pozycji celem wsparcia szwadronu, kapitan krzyczy:

— Szwadron — za mną...

I rzuca się naprzód ze wzniesioną szablą. Plutony czekały tylko na to wezwanie. Z podoficerem na czele wyskakuje każdy przez przejścia, przygotowane w zboczach parowu. Zapewne, nie jest to szarża w wyrównanej linii, według pojęcia naszych przodków. Jest to raczej wściekła galopada, gdzie każdy żołnierz stara się pędzić wślad za swym dowódcą, a każdy plutonowy dostosowuje się do kapitana, starając się odgadnąć jego myśli i być gotowym na każdy jego znak.

Sam du Paty galopuje spokojnie, zdając sobie sprawę, że, jeżeli nie dopadnie uciekających, zanim dobiegną do okopów wzdłuż szosy na zachód od Brunehaut, będzie musiał wyrzec się przyjemności wzięcia ich na szablę. Postanawia jednak w tym wypadku rzucić się na karabiny maszynowe i na obrońców folwarku Mareuil. Szarża ruszyła z miejsca, musi tedy za wszelką cenę być owocna.

Naraz, w chwili kiedy się znajduje na wysokości drogi z folwarku Mareuil do Bonnemaizon, zdaje sobie sprawę, że nie zdąży dogonić uciekających. Zapędzić się ze szwadronem dalej, znaczy narazić go na pogrom przed okopami pod Brunehaut. Doskonale. Rzuci się więc na obrońców folwarku Mareuil.

Daje znak szablą, skręca w prawo i wpada cwałem na drogę, prowadzącą wózem do folwarku, krzycząc do plutonowego Chauvin, aby go wyprzedził w tym kierunku. Szwadron, świetnie wyćwiczony, zrozumiał wlot zamiar swego dowódcy i wykonał zmianę kierunku po mistrzowsku. Nieprzyjaciel sypnął na szarżujących szrapnelami. Za późno. Szwadron przeleciał.

Teraz już wypadki toczą się piorunem. Chauvin krzyczy: — Do mnie... Niemcy...!

Zdzieliwszy ostrogami konia, kapitan wyskakuje z zagłębienia drogi, a wślad za nim lecą jego dwa pierwsze plutony. Wpadają na karabin maszynowy, stojący na pozycji, nie dając mu czasu na zmianę frontu. Daje on wprawdzie kilka strzałów na wiatr, poczem obsługa rzuca broń i podnosi ręce do góry. Jedynie tylko feldfebel, z poza pleców jednego ze swych ludzi, pali z mausera do huzara Drouot, rani go i zabija jego konia. Sam pada od cięcia szablą.

Podczas tego dowódca trzeciego plutonu z własnej inicjatywy rzuca się na drugi karabin maszynowy, okopany na zboczu. Obchodzi go pełnym cwałem, czwarty pluton zaś naciera na niego od frontu.

Piechurzy niemieccy nie czekają na uderzenie, lecz rzucają broń i biorą nogi za pas.

Zdobycie folwarku nie zajęło nawet minuty czasu. Dzięki szybkiej decyzji kapitana Paty de Clam oraz rozmachowi i karności jego ludzi, 1 szwadron 7 pułku huzarów zdobył i zajął nadzwyczaj ważny punkt oporu, przeszkodził jego obrońcom w zadaniu ciężkich strat własnej piechocie, przyczem zdobył dwa karabiny maszynowe i wziął do niewoli dziesięciu strzelców pruskiej gwardji.

Sam poniósł straty względnie nieznaczne. Oprócz huzara Drouot, zranionego przez feldfebla, padł huzar Gitrier, jako ofiara swej odwagi. Kiedy obsługa drugiego karabina maszynowego rzuciła się do

ZA PRZYKŁADEM LASALLE'A

Zdobycie Napluzy.

(21 września 1918).

Historja jest niewdzięcznicą. Zapomina często albo wspomina tylko przelotnie o czynach, które powinny być wyrte na frontonie jej przybytku, rozdmuchuje natomiast znaczenie innych, zasługujących najwyżej na skromną wzmiankę, gdyby nie wrzawa, czyniona dokoła nich przez głosy zainteresowanych.

Historja wielkiej wojny okazała się szczególnie niesprawiedliwa względem oddziałów francuskich, posłanych w dalekie strony w celu reprezentowania tam ojczyzny. Zgubione w krajach ledwie znanych, lub zatopione w fali znacznie liczniejszych formacyj cudzoziemskich, przeszły prawie niespostrzeżone. A tymczasem ileż wykazały wielko-duszości, ile bohaterstwa! W jak dramatycznych znajdowały się nieraz okolicznościach! Historycy, zajęci badaniem ogromu wypadków, które rozegrały się w Europie, zbyt często nie zwracali dostatecznej uwagi na to, co się działo poza jej granicami.

Komu, na przykład, znane są czyny gromadki kawalerzystów francuskich, noszących złożoną nazwę „kombinowanego pułku marszowego kawalerji Lewantu”? A jednak oddział ten zasłużył sobie na poczesne miejsce w kronikach wojny, zdobył bowiem nieśmiertelną sławę w Palestynie, w armji dowodzonej przez generała Allenby.

Był to mały pułk, jeśli brać pod uwagę jego liczebność. Składał się bowiem tylko z trzech szwadronów, a mianowicie: z dwóch szwadronów strzelców afrykańskich, pod rozkazami kapitanów Guichard i Francou, oraz jednego szwadronu spahisów pod kapitanem Wi-

dolffem. Całością dowodził podpułkownik Lebon. Istniał jeszcze ponadto czwarty szwadron kapitana de Kerversan, przeznaczony do uzupełnienia pułku, ale nie zdołał połączyć się z poprzednimi. Statek przewożący go został storpedowany pod Port-Said, przyczem szwadron stracił dwudziestu trzech ludzi i wszystkie konie.

Mimo swego słabego stanu liczebnego pułk kombinowany był znakomitym oddziałem, chociaż został sformowany w początkach 1918 r. w bardzo niezwykłych okolicznościach. Pośpiech dotkliwy, brak środków, ciągle polecenia „radźcie sobie sami” i rozkazy „za wszelką cenę” towarzyszyły jego narodzinom. Te trzy szwadrony były prawdziwym zlepkiem, utworzonym z przedstawicieli wszystkich oddziałów kawalerji afrykańskiej, przyczem osiemnastoletni kawalerzyści byli pomieszani z czterdziestoletnimi i starszymi rezerwistami.

Trzeba ich było zespolić w jedną całość, wyszkolić i ożywić wspólnym duchem. Na szczęście materiał ludzki był doskonały, a podpułkownik Lebon umiał sobie z nim poradzić. Szwadrony, przewiezione z początkiem marca do Egiptu, przeszły, dzięki długiemu odpoczynkowi przed projektowaną ofensywą generała Allenby, prawdziwą zaprawę moralną i fizyczną. Kiedy 21 sierpnia pułk kombinowany został przydzielony do 5 brygady australijskiej generała Onslow, dorównywał już najlepszym jednostkom kawalerji na froncie francuskim. To określa chyba dostatecznie jego wartość.

Brygadzie generała Onslow daleko było do takiego poziomu. Nie z powodu braku zapалу i męstwa. Przeciwnie. Lecz kulała pod względem wyszkolenia wojskowego, które na wojnie ma swoje znaczenie. Rządowi australijskiemu przyszło z łatwością zebranie potrzebnej ilości młodych rekrutów, obeznanych z koniem. Ilu to ludzi w tym kraju nie zna innego środka lokomocji. Zaopatrzone ich w znakomite wierzchowce i odpowiednio bogate oporządzenie, poczem z powodu braku instruktorów powierzono ich dobrej woli, instynktowi oraz świeżo nabytej wiedzy zaimprowizowanych kadr.

Brygada składała się z dwóch pułków 14 i 15 „Australian Light Horses Regiments”. Oddziały te, po przybyciu kolegów francuskich, osłupiały z podziwu nad ich karnością, sprawnością i zwartością. Ponieważ los szczęśliwy dostarczył im tak dobrych wzorów, dla czego z nich nie skorzystać. Generał Onslow bez długiego wahania postanowił, że aż do dnia ofensywy Francuzi będą doradcami jego Australczyków. Tak też istotnie się stało. Wynikło z tego nader serdeczne koleżeństwo między trzema pułkami, koleżeństwo, które nie zawiodło nigdy.

Gdy 19 września armja generała Allenby ruszyła do natarcia na pozycje, trzymane przez IV, VII i VIII armje tureckie z generałem Liman von Sanders na czele, brygada gen. Onslow była już doskonałą jednostką, a pułk kombinowany pułkownika Lebon był jej wyborowym oddziałem. Brygada została przydzielona do 21 korpusu angielskiego, jako kawalerja korpuśna.

W dniu przełamania tureckiego frontu francuskie trzy swadrony pokazały swym kolegom, że wartość ich wytrzymała próbę ognia. Do wieczora tego dnia zdobyły na własną rękę 1800 jeńców, 17 dział, 1500 pojazdów wszelkiego rodzaju, a ponadto kasę nieprzyjacielskiej IV armji.

To było niezłe, ale wypadało zrobić jeszcze coś lepszego. Dnia 20 września po czterdziestokilometrowym nocnym marszu pułk wraz z resztą brygady zniszczył most kolejowy między Napluzą (Siszim) a Dżenin w celu uniemożliwienia wycofania materiału wojennego i opóźnienia odwrotu wojsk tureckich.

Po powrocie do Tul Keram, skąd wymaszerowała poprzedniego dnia, brygada dostała rozkaz ruszyć zaraz nazajutrz na Napluzę, gdzie znajdował się sztab VII armji nieprzyjacielskiej i gdzie według planów tureckich miał być zorganizowany ośrodek oporu w celu opóźnienia pocięgu angielskiego.

O świcie następnego ranka brygada opuściła kwatery, kierując się na Napluzę z 15 pułkiem australijskim w straży przedniej. Z chwilą ukazania się słońca nastał straszliwy skwar. Konie, które w ciągu dwóch dni przeszły 140 kilometrów, z czego znaczną część w boju, posuwały się z trudem. A tymczasem nie wolno stracić ani minuty, bo każda zwłoka, darowana Turkom, pozwala im wzmocnić obronę miasta i poczynić wszystkie przygotowania do odparcia ataku.

Marsz odbywa się bez żadnych przygód. Wszystko, co po stronie nieprzyjacielskiej wyszło cało z bitwy, umknęło do Napluzy albo górami przemyka się ku północy.

Około południa 15 pułk australijski podchodzi pod miasto. Wita go natychmiast grad pocisków armatnich i grzechot karabinów maszynowych. Patrole badają otoczenie miasta. Jest ono silnie obsadzone. Karabiny maszynowe wraz z baterjami, starannie okopane, bronią dostępu doń, wkońcu liczne szeregi strzelców kryją się w otaczających miasto ogrodach.

Ponieważ nad brygadą zaczynają pękać pociski, generał Onslow rozczłonkowuje oddziały i rozmieszcza je pod osłoną wzniesień, ciągnących się wzdłuż drogi. Potem wraz ze swym sztabem wysuwa

się naprzód, aby zdać sobie sprawę z położenia. Nieświatnie się ono przedstawia. Na zaskoczenie liczyć już nie można, a pozycje nieprzyjacielskie są prawie nie do zdobycia przy pomocy środków, jakimi rozporządza kawalerja. Miasto jest nietylko obronne wysokim i grubym murem, ale ponadto nazewnątrz dokoła tego muru znajduje się prawdziwy labirynt ogrodów i gajów palmowych, ogrodzonych kamiennymi murami, otaczający miasto pasem szerokim na 500 do 800 metrów. W tych warunkach łatwo będzie obrońcom wystrzelać nacierających, wystrzelać bez pudła i bez ryzyka.

Generał Onslow jednak nie chce się wyrzec zdobycia miasta. Liczy nietylko na przypadek i szczęście, które są na wojnie najlepszymi niejednokrotnie sprzymierzeńcami, ale ponadto na demoralizację, panującą w oddziałach tureckich od chwili przełamania frontu. Coś w każdym razie trzeba zrobić, o coś się pokusić, chociażby o usadowienie się w części ogrodów w celu ułatwienia późniejszego zadania piechocie.

Postanawia spieszyć oba pułki australijskie i rzucić je tyraljerami na zachodnie przedmieścia miasta. Aby poprzeć ich posuwanie się naprzód, ustawia wszystkie karabiny maszynowe na wzniesieniach z rozkazem ostrzeliwania przede wszystkim tureckich artylerzystów. Trzy szwadrony francuskie zostają w odwodzie.

Na szczęście teren, w tym miejscu bardzo nierówny, pozwala Australczykom na spieszenie oraz na rozwinięcie się po obu stronach szosy w dogodnych warunkach. Nieprzerwaną linią tyraljerską, skokami, posuwają się ku miastu.

Ruch ten został dostrzeżony przez nieprzyjaciela, który skupia ogień swej artylerji, karabinów maszynowych i karabinów na otwartej przestrzeni przed ogrodami. Niemniej przeto Australijczycy posuwają się naprzód, wykorzystując wszystkie zasłony terenowe, lecz to posuwanie odbywa się niezmiernie powoli, a zatrzymuje się z chwilą podejścia strzelców pod ogrody.

Teraz przeciwnicy ograniczają się do gwałtownej walki ogniowej, bez wielkiej korzyści dla którejkolwiek ze stron. Turcy nie zdradzają ochoty wyjścia ze swych stanowisk, dobrze ich ukrywających, Australijczycy zaś wzdragają się przed wyskoczeniem na teren zupełnie odkryty, gdzie natychmiast zaczną ich dziesiątkować karabiny maszynowe i artylerja nieprzyjacielska.

Generał Onslow zaczyna się niecierpliwić. Czyż będzie zmuszony dreptać w miejscu przez dwadzieścia cztery godziny, przerywając pościg, od dwóch dni po mistrzowsku prowadzony. Spróbuje jeszcze

wesprzeć natarcie swych Australijczyków dwoma samochodami pancernymi, przydzielonemi do brygady.

Pełnym gazem wyjeżdżają one naprzód, dochodzą do tyraljery, mijają ją, docierają aż pod ogrody. Tu zostają zmuszone do zatrzymania się, nie mogą bowiem zejść z drogi, gdzie są znakomitym celem dla artylerji nieprzyjacielskiej, obsypującej je dokoła granatami. Nadto dowódcy wozów pancernych dostrzegają, że Turcy, aby uniemożliwić im posuwanie się w głąb pozycji, zbudowali mały kamienny mur na całą szerokość szosy. Po wystrzeleniu tedy kilku taśm w gęstwę ogrodów, oba wozy muszą pośpiesznie umykać za najbliższą zasłonę.

Jest godzina 13 minut 30.

To ponowne niepowodzenie denerwuje i zbija z tropu generała. Wydaje mu się, że położenie jest bez wyjścia. Stoi wobec konieczności cofnięcia swej tyraljery i oczekiwania jutra. A w tym czasie ostatnie oddziały VII i VIII armji, które znalazły oparcie w mieście, będą mogły się wycofać bez wielkich strat. Cóż jednak począć w terenie tak poprzecinanym przeszkodami, oko w oko z pozycją tak silnie obronną.

Te myśli doprowadzają generała do wściekłości. Niski, krępy, z twarzą zaczerwienioną drepce nerwowo tam i sam w miejscu, gdzie znajduje się jego posterunek dowództwa. Od czasu do czasu obrzuca przytem przelotnem spojrzeniem oficerów swego sztabu, jakby szukając u nich pożądanego rozwiązania zagadnienia.

Aż nagle zatrzymuje się ze wzrokiem, utkwionym w młodego porucznika spahisów, stojącego skromnie na uboczu. Jest to porucznik Néret, oficer łącznikowy pułku kombinowanego. Generał Onslow patrzy nań, jakgdyby widział go po raz pierwszy; wzrok jego ożywia się, oczy zaczynają błyszczeć, źrenice się rozszerzają. Można odgadnąć jego myśli...

— Do licha... W samej rzeczy... Francuzi...

Byli przecież nauczycielami moich ludzi... Czyż nie wynika z tego, że powinni być ich przewodnikami i czyż nie do nich należy znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Idzie prosto do porucznika i, podkreślając każde zdanie lekkim uderzeniem trzciny w pierś młodego oficera, mówi doń:

— Uda się pan do pułkownika Lebon. Niech wyśle jeden szwadron w celu rozpoznania dostępów do miasta. Polegam na nim zupełnie co do wypełnienia tego zadania. Zależy mi na wiadomościach o sile liczebnej nieprzyjacielskiej, o pozycjach, jakie zajmuje,

nadto o słabych punktach, na które mógłbym zaryzykować rozstrzygające natarcie przy użyciu całej brygady. Niech się pan śpieszy. Czas pili.

Porucznik Néret jest nie tylko atletą, lecz należy zarazem do ludzi rozmiłowanych w przygodach, awanturach i bohaterskich galopadach. Już w roku 1914, na czele dwóch ludzi z 8 pułku huzarów, gdzie wówczas był plutonowym, zdołał postawą energiczną i brawurą przegnać cały szwadron niemiecki. Mało tego, rzuciwszy się w pościg za jego szpicą, zamienioną w tylną straż, wziął do niewoli jednego ze szperaczy, poprostu ściągnawszy go za kołnierz z konia. Zostawszy oficerem w piechocie, ciężko ranny na froncie pod Salonicami, dostał się wkońcu do pułku kombinowanego, gdzie z niecierpliwością oczekuje sposobności do wznowienia swych dawnych poczynąń. Nadarzy mu się ona niedługo.

Natychmiast po otrzymaniu rozkazu skacze na konia bez pomocy strzemięcia i pędzi wyciągniętym cwałem przez grad kul karabinowych i pękających szrapneli. W kilka sekund dopada do podpułkownika Lebon, który na czele swych trzech szwadronów, ukrytych w zagłębieniu terenowem, czeka na rozkazy.

Dowódca kombinowanego pułku słucha z uwagą przekazanych mu poleceń. Zebrani dokoła niego trzej kapitanowie pilnie baczą na każde słowo porucznika. Zadanie, przypadające im w udziale, roi się od niebezpieczeństw. Jak można się spodziewać, że uda się podejść do miasta? Czyż jeden szwadron zdoła przedostać się przez niebezpieczny pas ogrodów, jeśli się to nie udało całej spiesznej brygadzie i samochodom pancernym.

Lecz jak rozkaz, to rozkaz. Trzeba go wykonać, jak można najlepiej.

— Guichard, kolej na pana!

W mgnieniu oka szwadron kapitana Guichard siada na koń. Po twarzach wszystkich jego ludzi widać, że młodzi i starzy płoną tym ujętym w karby zapalem, tym ogniem świętym, ową żądzą sławy, których owocem jest rozpęd niepohamowany. Kapitan wyznacza jako straż przednią pluton porucznika Zamił. Rusza on z miejsca wyciągniętym kłusem. Porucznik Néret przez chwilę zмага się sam ze sobą. Nie ulega wątpliwości, iż po spełnieniu swego zadania powinien powrócić na swe miejsce oficera łącznikowego przy dowódcy brygady. Lecz jakże dopuścić, aby koledzy sami poszli w taniec. Chciałoby się i jemu uczestniczyć w zabawie. Czyż zresztą

nie należy często do obowiązków oficera sztabu upewnienie się, że przywiezione przez niego rozkazy zostały należycie wykonane? Napoleon wymagał tego zwykle od swych oficerów ordynansowych. Oto doskonały wykręt. W dwóch susach dopędza porucznika Zamit i strzebię w strzebię z nim galopuje na czele szwadronu.

Początek marszu zbliżania odbywa się gładko dzięki wzniesieniu, zasłaniającemu ludzi i konie. Powodowany przezornością kapitan Guichard podzielił plutony na małe grupki, przedstawiające cele niezwykle ruchliwe i niewielkie.

Oto samochody pancerne, stojące nieużytecznie, oto tyraljera, przygwożdżona do miejsca. Trzeba opuścić teren, leżący za naszym drogą, ponieważ staje się niemożliwy dla koni. Szperacze przedni wyskoczyli już na szosę i już widać chmurki pyłu, wywołane kulami padającymi dokoła nich. Néret i Zamit wychodzą na szosę wślad za szperaczami.

Przed nimi droga biegnie zupełnie prosto, aby po kilkuset metrach skrócić gwałtownie w stronę miasta, otoczonego zewsząd ogrodami, w których gęsto siedzi turecka piechota.

Oficerowie australijscy, klęczący lub wyciągnięci na ziemi za swoimi strzelcami, spostrzegli tych dwóch jeźdźców, którzy, zatrzymawszy się na drodze, uważnie badają teren. Dają im jakieś znaki rękami i wykrzykują po angielsku jakieś uwagi, zagłuszone grzechotem karabinów i wybuchami pocisków armatnich.

— Czego oni chcą od nas? — pyta Zamit.

— Radzą nam wiać stąd do cholery, bo nas tu wystrzelają bez pożytku.

Położenie istotnie jest nie do wytrzymania. Artylerja, dostrzegłszy kilku jeźdźców, zaczyna ich zasypywać pociskami. Niema czasu na namysły. Trzeba albo się cofać, albo gnać naprzód. Kilka sekund wystarczyło do powzięcia decyzji. Teren po obu stronach drogi uniemożliwia posuwanie się konno, ale sama droga, prosta i gładka, nęci znakomitą do galopu powierzchnią. Do nieprzyjaciela niedaleko. Może, rwąc naprzód „na całego“, uda się dopaść bez wielkich strat do tych armat, które tam, z prawej strony, biją z odległości 500 metrów najwyżej.

Obaj oficerowie porozumieli się wlot.

— Walimy na nich — powiada Néret. Z temi słowami dobywa szabli i rusza galopem. Zamit wraz z całym swym plutonem idzie za jego przykładem, bez wahania, bez namysłu. Każdy strzelec ma

świadomość, że znalazł się na miejscu honorowem i że musi okazać się godnym tego zaszczytu. Płoną oczy... wspinają się rumaki. Zamit ledwo zdążył krzyknąć do plutonowego Rosfeldera:

— Skoczcie powiedzieć panu kapitanowi, że szarżujemy prosto przed siebie... Naprzód... Dwójkami... odległość dziesięć metrów... Maaarsz!!

Obaj oficerowie pędzą naprzędzie, reszta gna za nimi, niezbyt przestrzegając nakazanych odległości, z ostrogami wbitemi w boki końskie. Byle jak najprędzej dopaść wroga. Oslupieni Australczycy przerwali na chwilę ogień i podnoszą nosy ponad spaloną przez słońce trawę. No... no... ci Francuzi... Dostali napadu wściekizny... Żywa noga z nich nie zostanie.

To się jeszcze pokaże.

Jakiemi słowami opisać taką galopadę. Słowa są za powolne, zdania niby hamulce zwalniają wicher tego cwału, trwającego kilka minut zaledwie. Pocziwe berberyjskie koniki, jakby rozumiejąc konieczność zwyciężenia czasu, rwą po szosie, niby w jakichś szaleńczych harcach.

Obsługa australijskich karabinów maszynowych, spostrzegłszy tę garstkę jeźdźców, pędzących ze wzniesionymi szablami, zdwaja natężenie ognia. Ze wszystkich stron trzeszczą karabiny maszynowe, zalewając ogniem skraje ogrodów i przypuszczalne stanowiska bateryj.

Néret, dosiadający najściglejszego wierzchowca, bodąc go ostrogami, wysuwa się na czoło. Pochylony ku szyi końskiej, z szablą złożoną do sztychu, gna prosto przed siebie. Dokąd pędzi, jaką zasadzkę, jaką przeszkodę napotka. Tego nie wie i o to nie dba. Gdy się ma w żyłach krew, jak ukrop gorącą, mięśnie stalowe, a przytem wściekłą ochotę do bijatyki, niedobrze jest zbytnio się zastanawiać. Cechą kawalerzysty jest zamiłowanie do ryzyka. Trzeba najpierw dopaść nieprzyjaciela, wziąć go na szable, a potem... zobaczymy... Napluza jest niedaleko...

Z poza murów podmiejskich ogrodów wybucha gwałtowna strzelanina, ale odkrytą przed nimi przestrzeń przebywają z chyżością błyskawicy. Kilka koni pada pod kulami. Nikt się nie ogląda. Za oficerami pędzi cwałem jeszcze osiemnastu zuchów, całem sercem gotowych do spełnienia swego obowiązku, jeśli tego zajdzie potrzeba.

Już dopadają do barykady, wzniesionej wpoprzek drogi w celu zamknięcia przejścia samochodom pancernym. Czyż można wyma-

gać skoku przez nią od koni, obładowanych ciężkim rynsztunkiem i wymęczonych trzydniowymi marszami i utarczkami. Precz ze złudzeniami.

Na ułamek sekundy lęk ogarnia Néreta. Lęk niezwłocznie przezwyciężony. Na lewo i na prawo od barykady Turcy zostawili ciasne przejście, dostateczne jednak, aby konie pojedynczo mogły się przez nie przedostać. Nie zwalniając biegu, oficer wpada w jedno z nich, a za nim przelatują jego żołnierze.

Teraz oficer zbliża się do miejsca, gdzie droga skręca gwałtownie w prawo. Co znajdzie za zakrętem? Znowu czeka go skok w nie wiadome. Może cały pluton czeka tam zagłada, na jakiejś przeszkodzie niemożliwej do przebycia, może marny koniec w zdradzieckiej zasadzce?

Instynktownie skróciwszy koniowi wodze. Néret szybkim rzutem oka bada nowy odcinek drogi... I nagle kuszący, upajający dla kawalerzysty widok przedstawia się jego żrenicom. O sto metrów przed nim na prawo, tuż obok drogi, stoją dwa działa, strzelające pośpiesznie. Nadstawiają mu bezbronny bok. To się nazywa piękny łup.

Nie czekając na pulton, Néret rzuca się na armaty z szablą wzniesioną do cięcia, lecz skutek poprzedniego zwolnienia biegu mija go w cwale szarży plutonowy Duniel. Wysuwając się przed oficera, krzyczy:

— Panie poruczniku, będę przed panem przy armatach!

Zapałem szlachetnego współzawodnictwa niesiony, każdy z szarżujących kawalerzystów ma jedno tylko pragnienie, jedną ambicję: być pierwszym w niebezpieczeństwie, pierwszym w sławie. Duniel i Néret pędzą zawzięcie, jeden tuż za drugim.

Kanonierzy spostrzegają szarżę, gnającą na nich z nienacką od prawej strony. Większość z nich porzuca swe działa i ucieka, co sił w nogach. Podczas gdy Duniel, chudy, nerwowy, jednym cięciem szabli obala celowniczego pierwszego działą, który usiłuje stawiać opór. Néret doskakuje do drugiej armaty, siejąc dokoła spustoszenie swym strasliwym szabliskiem.

W czasie tej piorunowo szybkiej rozgrywki dopędza ich podporucznik Zamit z resztą plutonu. I oto osiemnastu jeźdźców gna kupą, po warjacku, ku miastu.

Mury otaczające gród są już niedaleko, a w nich szeroko otwarta brama. Między tą bramą a naszymi kawalerzystami znajduje się tylko około pięćdziesięciu piechurów tureckich, uciekających w popłochu.

po daniu odruchowego strzału, na wiatr. Potężnemi razami szabel nasi strzelcy wyrąbują sobie drogę poprzez ciżbę uciekających. Idzie o to, komu pierwszej uda się wpaść do miasta.

Ciężkie podwoje zatraskują się z łoskotem. Przez małą furtkę wybiega kilku wartowników tureckich i usiłuje stawić opór. Rozpędzają ich na cztery wiatry strzelcy Sauvat i Saumet, a tymczasem trzeci kawalerzysta, prześlizgnąwszy się przez furtkę, otwiera bramę naoścież.

A wówczas zdarza się rzecz jedyna w historii. Osiemnastu kawalerzystów, pod wodzą dwóch dzielnych oficerów, opanowuje ufortyfikowane miasto, liczące 20.000 mieszkańców, siedzibę głównej kwatery armji, bronioną przez kilka tysięcy żołnierzy, przez karabiny maszynowe i liczne baterje.

Zapewne, że sam słaby plutonik nie mógłby podołać temu zadaniu. Kapitan Guichard nie zawahał się wesprzeć całym szwadronem szarży, rozpoczętej przez porucznika Néret w chwili uniesienia i natchnienia. Dla dowódcy szwadronu jest to tytuł do sławy nie mniejszy, niż gdyby był sam powziął jej inicjatywę. Wiele bowiem charakterów mniej zahartowanych załamałoby się na myśl o odpowiedzialności za taki czyn.

Kapitan Guichard nie zawahał się nawet przez sekundę. Na meldunek plutonowego Rosfeldera odpowiedział prosto:

— Dobrze. Ruszam za nim całym szwadronem.

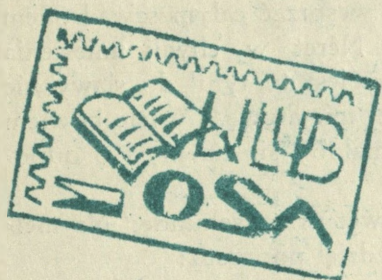
I ze swej strony, posławszy podoficera z meldunkiem do podpułkownika Lebon, śpieszy na czele pierwszego plutonu za swą strażą przednią, a za nim w odpowiednich odległościach idą pozostałe plutony, aby niebawem już w mieście połączyć się z porucznikiem Néret i z plutonem podporucznika Zamit.

Oni tymczasem przebiegli wyciągniętym galopem przez całe miasto. Niema mowy więcej o walce, albowiem ludność wita Francuzów jak zbawców; starcy i kobiety płaczą ze szczęścia; okrzyki radości lecą na spotkanie zwycięzców, którzy przynoszą wolność temu ludowi, ciemżonemu wiekową tyranją. Oddziały tureckie, znajdujące się jeszcze w mieście, nie myślą o obronie. Żołnierze rzucają broń i poddają się.

Zresztą podpułkownik Lebon, podobnie jak kapitan Guichard, pchnął niezwłocznie swoje pozostałe dwa szwadrony z pomocą pierwszemu. Wślad za nimi poszły samochody pancerne. Kawalerzyści zewsząd sprowadzają jeńców, zbierając w ciągu krótkiego czasu 700 Niemców i Turków na rynku miasta.

Oba pułki australijskie dołączają się wkrótce do swych francuskich kolegów. Defilując przed nimi, nie mogą się powstrzymać, aby głośnemi okrzykami nie okazać im swego podziwu. Widzieli przecież, jak wygląda działanie kawalerji, wykonane z należytych rozmachem. Skłaniają głowy przed swymi mistrzami.

A Lasalle, nasz mistrz, mistrz wszystkich kawalerzystów świata, zadrżał pewnie z radości w grobie, widząc, że jego wnuki godne są zostawionego im przezeń przykładu.





28334/2